

23, rue Taitbout, PARIS 9<sup>e</sup>

CENA 2 F.  
PRIX 18 F.B.

8-15 sierpnia  
août 1971

Rok wydania XIV

Nr 32-33 (720-721)



# Tygodnik Polski

## LA SEMAINE POLONAISE

LOVE STORY  
CINEMA



WAKACJE  
1971!

PARIS  
25 km

FOP 2373



## UWAGA! ZAPROSZENIE NA 8 SIERPNIA

W niedzielę, 8 sierpnia br. o 10.30 na Polskim Cmentarzu I Dywizji Pancernej w Urville-Lan-gannerie odbędzie się z okazji 27 rocznicy bitwy pod Falaise-Chambois uroczystość oddania hołdu, składania wieńców oraz msza polowa. Organizuje ją Koło byłych Żołnierzy I Dywizji Pancernej w Potigny (Calvados) z udziałem władz cywilnych i wojskowych francuskich oraz polskich.

W sobotę 7 sierpnia nastąpi zwiedzanie muzeum w Arromanches oraz pola bitwy w okolicy Chambois.

Koło byłych Żołnierzy I Dywizji Pancernej serdecznie zaprasza na tę uroczystość Polonię francuską.

## „MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives) tel. 52-08-86  
Siedziba: 199, rue de Paris LILLE tel. 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca  
◆ suknie ◆ spódnice ◆ swetry  
◆ bluzki ◆ popeliny tergal i płaszcze  
PIERZE ◆ WSYPY ◆ POSZWY ◆ DAMASY

Ceny

niskie Na żądanie wysyłamy próbki

RODAKU! czy już byłeś w nowo otwartym  
spożywczo-alkoholowo-garmażeryjnym

## SKLEPIE POLSKIM

przy 11, rue Jouffroy, Paris 17  
Metro Wagram tel. 622-55-52

Przyjmujemy zamówienia na urządzenie przyjęć z okazji chrzcín, Komunii świętej, imle-  
nin oraz wesel.

Sklep nieczynny w niedziele.

## NIŻSZE STAWKI CELNE W KRAJU

Jaki upominek zabrać ze sobą wyjeżdżając w odwiedziny do bliskich w Kraju? Co kupić na pamiątkę z Polski?

Z myślą o ułatwieniu takich decyzji zamieszczamy pełną informację na temat zmian w taryfie celnej, jakie w Polsce weszły w życie od 28 lipca br.

Wyjeżdżając z Kraju, warto wiedzieć, że wolne od cła są tkaniny lniane i konopne, polskie stroje ludowe, a także odbiorniki radiowe produkcji krajowej, płyty szybkoobrotowe i na pocztówkach. Obniżono cło wywozowe między innymi na pierze i puch, obuwie, nakrycia stołowe, płyty gramofonowe wolnoobrotowe.

O połowę a nawet więcej zmniejszono cło za przywóz — jak to nazywają w Kraju, „ciuchów” czyli konfekcji, pończoch i wielu innych artykułów.

Zniesione zostały opłaty za przywóz do Polski owoców, przypraw, ryb, naczyń, mebli.

Szczegółową informację na ten temat zamieszczamy na str. 4.

# PZYJEMNYCH WAKACJI! PRZYJEMNEJ LEKTURY!

W NUMERZE POLECAMY M. IN.:

- Ilustrowany reportaż o 17-letnim licealiście, muzyku i sportowcu pt. **Jean-François z Bernay** (str. 5).
- Relację Uruszuli Kozierowskiej z wizyty u Państwa Włodarczyków w Pontoise, których dzieci, chociaż urodziły się we Francji, znają język polski i kultywują tradycje Starego Kraju (str. 6).
- Fragment książki znanego pisarza Mariana Brandysa pt. **„Kłopoty z Panią Walewską”**. Autor rzuca nowe światło na podłoże romansu szambelano-wej z cesarzem (str. 11 i 13).
- „Emaus” to nazwa miasteczka leżącego blisko Jerozolimy, uwiecznionego w ewangelii. Co znaczy ona dla krakowian — dowiemy się z fotoreportażu na str. 12 i 13.
- O urodzonym w Warszawie brukselczyku, światowej sławy uczonym wulkanologu, prof. **Haronie Tazieffie**, traktuje artykuł **„Oko w oko z piekłem”** (str. 15).
- Kolejną serię dokumentów z teki pośmiertnej **Domicelli Szmidówny** w opracowaniu **Krystyny Kozłowskiej** pt. **„Skromna nauczycielka w kręgu wielkich nazwisk”** przedstawiamy na str. 16—18.
- Szklanki św. **Jadwigi**, których 10 zachowało się w świecie, a dwie w Polsce, przy czym jedna znajduje się w Skarbcu Katedralnym na Wawelu, druga zaś w Muzeum Śląskim w Opolu — o nich, jak również o innych pamiątkach historycznych ze Skarbcza Katedralnego pisze **Jan Rakoczy** na str. 20 i 21. Zamieszczone przy jego relacji zdjęcia wykonane zostały za zezwoleniem kanonika krakowskiej kapituły metropolitarnej specjalnie dla naszego pisma.
- **Kiedy wynaleziono armatę?** Na to pytanie nie ma sprecyzowanej odpowiedzi. Natomiast jej historię oraz muzealne zdjęcia publikujemy na str. 29.
- Obszerne wyjątki z pamiętnika **Wawrzyńca Skorupki** pt. **„Moje morgi i katorgi”**, za który autor uzyskał II nagrodę krajowego tygodnika „Polityka”, znajdują Czytelnicy na str. 32—34.
- Miłośnicy sportu znajdą dla siebie pełne trzy strony. Tematyka — do wyboru — o **sukcesach polskich szermierzy w Wiedniu**, o **sztuce w sporcie**, o **młodych utalentowanych sportowcach**, **dzieciach mistrzów** i inne aktualne wiadomości.
- **Kto jest zwolennikiem gimnastyki intelektualnej** — tego odsyłamy na str. 43 — cała kolumna **rozrywek umysłowych** zapewni parogodzinny odpoczynek nie tylko na zielonej trawce.
- Nie zapomnieliśmy też o wiernych Czytelnikach stałych tygodniowych pozycji — są jak zwykle: **Gawęda Mariana** i wiadomości **„Prosto z Polski”** (str. 10) ● Dla pań i o paniach (str. 26) ● **Martine** (str. 35) ● **Czy wierzycie w duchy?** — to pytanie zadał **Józef Grzybek** w swym liście na str. 40.

**DO  
ZOBACZENIA  
ZA  
DWA TYGODNIE**

„Jesteście z nami na stadionach świata...”

## Z EUROPY i AMERYKI na OLIMPIJSKI SEJMIK

Były chwile wzruszenia i panował nastrój powagi. W pięknej Sali Białej Ratusza Głównomiejskiego w Gdańsku uroczysto otwarto II Światowy Sejmik Działaczy Polonijnych Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Na Sejmik przyjechało ok. 80 delegatów ze wszystkich niemal krajów europejskich, a także z Kanady, USA i Australii.

Obrady otworzył zastępca przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej dr BRONISŁAW MARYNIUK. Witając miłych gości przypominał, że zebrali się w Gdańsku, mieście, które przez wieki zmagало się z germańskim naporem, i w którym rozpoczęła się II wojna światowa.

A potem na salę weszła delegacja sportowców gdańskich; wśród nich wielokrotny reprezentant Polski w koszykówce dr JERZY MŁY-NARCZYK. Z Gdańska od czasów wyzwolenia wywodzi się 61 olimpijczyków, spośród

których aż 15 zdobyło medale.

— Z okazji Sejmiku chciałem Wam, drodzy Rodacy, podziękować w imieniu swoim i wszystkich polskich sportowców za to, że gdziekolwiek jesteśmy na kuli ziemskiej i rozgrywamy trudne spotkania, nigdy nie czujemy się osamotnieni, gdyż na wszystkich stadionach świata Wy jesteście z nami. Swą obecnością i żarliwym dopingiem dodaje-

Dalszy ciąg na str. 39



Edward Gierek wśród uczestników katowickiego zlotu

Fot. CAF

## 22 LIPCA w KRAJU

ZLOT W KATOWICACH • ODZNACZENIA •  
HUTA MIEDZI „GŁOGÓW” ODDANA DO UŻYTKU

W tym roku z okazji Święta Lipcowego nie było uroczystej defilady w Warszawie. Centralną imprezą w Kraju stanowią zlot młodzieży w Katowicach, z udziałem 6 tysięcy młodych ludzi, przodowników nauki i pracy. Katowice — serce najbardziej przemysłowego regionu Polski, miasto, które staje się z roku na rok piękną, nowoczesną metropolią powitało i przyjęło młodych gości nadzwyczaj serdecznie.

Główną imprezą katowickiego zlotu było spotkanie działaczy państwowych i partyjnych z młodzieżą w nowo zbudowanej, jednej z największych i najpiękniejszych

w Europie, Hali Sportowo-Widowskiej.

Do młodzieży przemówił Edward Gierek, którego słowa: „Liczymy na Was, wierzymy w Was — spełniajcie swoje pragnienia” — powitane zostały burzliwą owacją.

Młodzież miała możliwość zapoznać się z ciężką pracą górników, hutników, metalowców: w 130 kopalniach i fabrykach Śląska i Zagłębia odbyły się spotkania połączone ze zwiedzaniem zakładów produkcyjnych i urzędzeń socjalnych. Dla wielu młodych ludzi pozostanie na zawsze w pamięci pierwszy w życiu zjazd w podziemiu kopalnianym, bezpośredni kontakt z górniczą bracią.

\*\*\*

Z okazji Święta Lipcowego w Belwederze wręczone zostały odznaczenia państwowe. Wśród odznaczonych Orderem Budowniczych Polski Ludowej znajduje się: **Henryk Bielecki** — brygadzysta Stocznicy Północnej w Gdańsku, **Tadeusz Kullisiewicz** — plastyk, **Michał Specjał** — przewodniczący Zarządu Głównego Związku Zawodowego Górników, dr **Józef Tkaczow** — dyrektor Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie, **Kleystut Zemaitis** — profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Krzyżami Komandorskimi Orderu „Polonia Restituta” odznaczeni zostali m.in. dwaj księża: ks. **Feliks Litewka**, proboszcz z Wielunia (woj. łódzkie) i ks. **Andrzej Wystychowski**, proboszcz Kościoła Garnizonowego w Sopotcie a także **Maria Zientarowa-Malewska**, pisarka, zasłużona działaczka Warmii i Mazur.

\*\*\*

Jak co roku, w przeddzień Święta Lipcowego oddawane są do użytku nowe zakłady produkcyjne. W tym roku uruchomiono m.in. olbrzymią hutę miedzi „Głogów”. W uroczystym otwarciu uczestniczyli: **Edward Gierek** i premier **Piotr Jaroszewicz**.



## PRZYJĘCIE W AMBASADZIE

JAK co roku, z okazji święta narodowego Polski odbyło się w Ambasadzie Polskiej w Paryżu wielkie przyjęcie, na które licznie przybyli przedstawiciele świata politycznego, gospodarczego i kulturalnego Francji, dyplomaci, dziennikarze, przedstawiciele Polonii francuskiej, Francuzi — przyjaciele Polski.

Wśród osobistości, na przyjęciu byli obecni m. in. — p. Jean de LIPKOWSKI — sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, rzecznik prasowy rządu francuskiego p. Léo HAMON, pani THI BINH — minister spraw zagranicznych Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Republiki Wietnamu Płd. i przewodnicząca delegacji Wietnamu Płd. na paryską konferencję, członkowie Biura Politycznego KC Francuskiej Partii Komunistycznej z p. Georges MARCHAIS i p. Jacques DUCLOS na czele, Ambasador Związku Radzieckiego we Francji p. Walerian ZORIN i inni.

Wszystkich gości serdecznie witał w salonach Ambasady Polskiej p. ambasador **Tadeusz Olechowski** z małżonką wraz z attaché wojskowym Ambasady płk. **Marianem Bugajem** z małżonką.

Przyjęcie upłynęło w bardzo serdecznej atmosferze.



Podczas przyjęcia z okazji 22 Lipca w Ambasadzie PRL (wyżej), Pani Thi Binh — minister spraw zagranicznych Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Republiki Wietnamu Południowego (od prawej) podczas rozmowy z p. Jean de Lipkowskim — sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Francji (drugi od prawej) oraz ambasadorem p. T. Olechowskim i panią Olechowską (zdjęcie obok)  
Fot. Wl. SŁAWNY

## KOMANDOR ORDERU ŚW. GRZEGORZA

Papież Paweł VI przyznał wysokie odznaczenie — Komandorium Orderu Świętego Grzegorza — znanemu pisarzowi koszubskiemu z Władysławowa, Augustynowi Neclowi: świadectwo uznania za niezamordowaną działalność społeczną i patriotyczną, za twórczość literacką, szczególnie za książkę „Nie rzucim ziemi”, obrazującą martyrologię księży katolickich i ich walkę z pruskim i hitlerowskim uciskiem. Papieskie od-



znaczenie, jak wiele innych (m. in. Order „Polonia Restituta”) przyznanych Neclowi przez Polskę, przypomina epokę zmagania ludu kaszubskiego o Ojczyznę.

Dotychczasowa twórczość literacka Augustyna Necla zamyka się jedenastoma pozycjami. Są to: „Kutry o czerwonych zagłach” (1954), „Saga o szwedzkiej checzy” (1956), „Maszopi” (1959), „Okretownicy spod nordowej gwiazdy” (1959), „Krwawy sztor” (1962), „Łosos wszechwładny” (1964), „W pogoni za ławicami” (1967), „Nie rzucim ziemi” (1969), „Wolność i niewola” (1971), „Z deszczu pod rynnę” (1971). W przyszłym roku ma ukazać się, wydana przez „Wydawnictwo Śląskie”, książka pt. „Od szkuty do liniowca”.

Obecnie pisarz pracuje nad korektą I tomu wspomnień z okresu od najwcześniejszej młodości do 1939 r. Trzy tomy ukazały się w edycji wydawnictwa „Czytelnik”.

Na stronach 8 i 9 za tygodnikiem „Panorama Północy” zamieszczamy (z niewielkimi skrótami) opowieść o Augustynie Neclu. W jednym z najbliższych numerów opublikujemy fragment książki „Nie rzucim ziemi”.

## Lettre à la Rédaction

„TYGODNIK” EST UN  
HEBDOMADAIRE  
FORT INTERESSANT

Nous vous envoyons un chèque bancaire pour un abonnement d'un an à „Tygodnik Polski”. C'est en effet un hebdomadaire fort intéressant sur plusieurs points. Il nous permet de rester en contact avec la vie polonaise en France, avec les Polonais de Pologne, avec la langue polonaise. Les articles historiques sont très intéressants. Les romans que vous publiez nous permettent de mieux connaître les grands écrivains polonais.

Merci beaucoup. Cordialement.

M-me Claude Feo  
94-VITRY

DZIECI z ANGLII  
GOŚĆMI ZBOWID

Na zaproszenie Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację przebywa w Polsce kilkudziesięciosobowa grupa dzieci polskich kombatanów z Wielkiej Brytanii. Mali goście zostali przyjęci przez ministra Janusza Wiercorka, szefa Urzędu Rady Ministrów i przewodniczącego Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, na ręce którego złożyli ofiarę pieniężną na budowę Centrum Zdrowia Dziecka, pomnika upamiętniającego bohaterstwo i męczeństwo polskich dzieci, których 1.800.000 zostało wymordowanych przez hitlerowców.

Jak powiedział w imieniu swych kolegów i koleżanek Wiktor Archutowski, syn skoczka spadochronowego spod Arnheim i obecnego prezesa Stowarzyszenia Warmii i Mazur w Wielkiej Brytanii — „ta skromna ofiara zebrana wśród nas — niech będzie wyrazem naszego duchowego związku z Ojczyzną naszych Ojców — Polską, która jak matka otwiera dla nas swoje serca i przyjmuje nas w swym gościnnym domu”.

Przez trzy tygodnie goście przebywać będą na obozie w Giżycku, a program pobytu w Polsce zakończony zostanie wizytą w Żelazowej Woli, Palmirach i zwiedzaniem warszawskich zabytków.

## NA ŁAMACH PRASY POLSKIEJ I FRANCUSKIEJ

## „Czy zamach na Daladiera i Weyganda?”

Pod takim tytułem ukazał się niedawno temu w krajowym tygodniku „PANORAMA PÓLNOCY” ciekawy artykuł pióra Jana Boenigka. Bohaterką tego artykułu jest mieszkająca dziś w Szczecinie siedemdziesięcioletnia p. Maria Baranowska. Dzielną ta patriotka urodziła się w rodzinie emigrantów polskich w Saksonii. Rodzice jej pochodzili z Wielkopolski. Jeszcze przed pierwszą wojną światową osiedliła się w Berlinie i wyszła tam za mąż za Piotra Baranowskiego. „Drugim domem Baranowskich były polskie organizacje — pisał Jan Boenigk. — To właśnie jedni z tych licznych patriotów polskich na obczyźnie, którzy do obywateli imienia Polski nie splamili nigdy. Z tego właśnie powodu rodzina musiała się borykać przez wiele lat z najrozmaitszymi trudnościami”.

Piotr Baranowski przepłacił swoje przywiązanie do polskości życiem. W lipcu 1941 r. został on aresztowany przez Gestapo i osadzony w obozie Hamburg-Neuengamme, skąd pod koniec wojny wywieziono go wraz z innymi więźniami na morze i utopiono. Hitlerowcy zaaresztowali również jednego z synów Baranowskich, a drugiego wcielili do Wehrmachtu. „Pierwszy, po półrocznym pobycie w więzieniu, został uwolniony do kompanii karnej Wehrmachtu i zginął na froncie” — informuje autor artykułu.

Po Marię Baranowską przyszli gestapowcy w kilka dni po zabiciu Piotra. Najpierw wywieziono ją do obozu w Ravensbrück, gdzie przebywała do 10 marca 1944 r., a następnie wcielono ją do SS-Sonderkommando Dachau do obsługi internowanych członków rządu francuskiego w zamku Iler, na szczyście Wysokiej Salvi (Hohe Salve), w kitzbulskiej części Alp w Tyrolu. W obowym zamku straż złożona z około trzydziestu doborowych SS-manów i dwóch SS-manek strzegła takich m. in. osobistości, jak Edouard Daladier i gen. Maxime Weygand. Hitlerowcy nosili się z zamiarem zamordowania zarówno internowanych Francuzów, jak i składającej się z więźniów obsługi. Ich dowódca, zażarty nazista nazwiskiem Józef Wiemer, zwykł był mawiać: „Pierwszy pójdzie ten pies Weygand”. Szczęściem, zbrodnię swojego planu zrealizować nie zdołał.

— Było to pod sam koniec kwietnia, względnie zaraz na początku maja 1945 r. (...) Artyleryjski pocisk, jak piorun z jasnego nieba, zniszczył całe skrzydło Iler, celnie uderzając w pomieszczenie na piętrze, gdzie widywano Daladiera i gen. Weyganda. (...) Do dziś jestem przekonana, że był to po-

cisk wystrzelony przez SS w celu uśmiercenia Weyganda i Daladiera. Zamach się jednak nie powiódł. W momencie uderzenia pocisku cała grupa francuska znajdowała się w drugiej części budynku, na parterze — powiadła reporterowi „Panorama Północy” Maria Baranowska.

Pani Maria pracowała w Iler w kuchni. Zarówno do niej samej, jak i do innych więźniów i więźniarek francuscy internowani odnosili się bardzo serdecznie. „Z ust ich często padały słowa otuchy” — tłumaczyła swojemu rozmówcy. Zdarzyło się, że pani Weygand, wykorzystując momenty nieuwagi czy nieobecności straży, ukradkiem uchylała drzwi kuchni i częstowała ją tabliczką czekolady lub porcją kawy. Czasem zaglądali do kuchni również i Daladier, i gen. Weygand. Pozdrawiali więźniów uśmiechem i serdecznym „dzień dobry”, a niekiedy mawiali także do Baranowskiej: „Maria, wir gehen bald alle nach Hause”.

Po wyzwoleniu Marią Baranowską troskliwie zaopiekowała się pani Weygand. „Maria Baranowska jeszcze dziś z zachwytem mówi o wielkiej serdeczności Francuzów” — stwierdza Jan Boenigk.

## „Tarcza herbowa Sobieskiego”

„Znawcy przedmiotu powiadają, że podług ostrożnych obliczeń, na przestrzeni ostatnich lat dwudziestu pięciu ukazało się na kuli ziemskiej mniej więcej trzydzieści tysięcy utworów literatury fantastycznonaukowej, rozmaicie przedstawiających oblicze przyszłości” — pisał niedawno temu w jednym ze swoich felietonów Józef Grzybek. Ostatnio ta gałąź beletrystyki wzbogaciła się o nową pozycję zatytułowaną „L'écu de Sobieski” („Tarcza herbowa Sobieskiego”). Autorem tej powieści, którą opatrzył przedmową wybitny francuski biolog Jean Rostaud, jest nauczyciel gimnazjalny z Onnaing (Nord), Constant Ruffin. „Tarcza herbowa Sobieskiego to nazwa mgławicy. Tak nazywa się także w powieści statek kosmiczny, którym grupa mieszkańców układu słonecznego odbywa podróż trwającą sześćdziesiąt lat świetlnych” — wyjaśnia dziennik

„LA VOIX DU NORD”, który opublikował omówienie tej „optymistycznej i poetycznej powieści filozoficznej”. Może ten oryginalny tytuł tłumaczy się także sympatią autora do najpopularniejszego z polskich monarchów albo do Polski w ogóle?

Skoro wypadło nam pisać o literaturze fantastycznonaukowej, przypomnijmy, że w ostatnich latach ukazały się w przekładzie francuskim aż trzy książki najwybitniejszego z pisarzy polskich uprawiających ten gatunek, Stanisława Lema. Książki te to: „Solaris”, „Le Brèveaire des robots” („Brewiarz Robotów”), i „Cyberiad” („Cyberiada”). Wydała je w serii „Présence du Futur” znana paryska firma Denoël.

## Pamiętnik Poli Negri po francusku

Przyszła na świat w Polsce, gdzie już w wieku dziewięciu lat była podziwianą baletnicą. Prawdziwe jej nazwisko brzmi: Apolonia Chaupie. Życie jej było wielką, oszałamiającą przygodą: po wyjeździe z kraju do Stanów Zjednoczonych została tam jednym z bożyszcz Hollywoodu, jedną z największych sław światowej kinematografii. Smałit do niej cholewki sam Chaplin, kochał się w niej sam Rudolf Valentino. Niezwykłą tę przygodę wskrzesiła Pola Negri — o niej to bowiem, jak już czytelnicy z pewnością zgadli, mowa na kartach książki, którą zatytułowała „Pamiętnik Gwiazdy”. Książka ta ukazała się niedawno temu w Paryżu w przekładzie francuskim nakładem firmy Robert Lafont pod tytułem „Mémoires d'une star”. Tygodnik kobiecy „ELLE”, który „Mémoires d'une star” recenzował, gorąco poleca te wspomnienia sławnej polskiej rwiensniczki Ernesta Hemingwaya, Glorii Swanson i Greta Garbo swoim czytelnikom.

## Roger Walkowiak hoduje owce

Podczas trwania tegorocznego „Tour de France” paryski dziennik „FRANCE SOIR” opublikował cykl artykułów o dawnych zwyczajach tego popularnego wyścigu kolarskiego. Jeden z tych artykułów poświęcony był znanemu kolarzowi pochodzenia polskiego, Rogerowi Walkowiakowi, który zwyciężył w „Tour de France” w 1956 r. Walkowiak wziął rozbrat z kolarstwem już w r. 1960. Zmusiła go do tego choroba. Dzisiaj — informuje autor artykułu, Francis Huger — żyje on w leżącej nieopodal Montluçon — miastu, w którym się urodził — miejscowości La Chapelle. Nabył tam gospodarstwo i zajmując się wraz z żoną hodowlą owiec, a ponadto pracuje — tak jak przed swoim krótkim romansem z szosą — w fabryce.”

## NIŻSZE STAWKI CELNE w KRAJU

## BEZ CŁA MOŻNA PRZYWOZIĆ:

Warzywa w przetworach i suszone, winogrona, banany, cytryny i inne owoce cytrusowe (także suszone i w przetworach), rodzynki, migdały, daktyle, pistacje, ananasy suszone i w przetworach, kasztany jadalne i chleb świętojański, orzechy wszelkie, przyprawy stołowe, m. in. wanilie, anyż, koper, liście bobkowe, cynamon, gałkę muszkatołową, goździki, paprykę, oliwki przyrządzone, pikle. Wolne od cła są też koncentraty zup, proszki do wyrobów ciast, budyniów, galaretek, lemoniad itp., mączki odżywcze i owocowe, słodycze, ryby łososiowate, jesiotrowate, plastugi, węgorze, sardynki i inne ryby wędzone i w przetworach, mleko w proszku lub zgęszczone, przetwory z jaj (proszek, masa).

## Od cła przywozowego wolne też są następujące artykuły przemysłowe:

Naczynia i wyroby kamionkowe, fajansowe i porcelitowe oraz porcelanowe, oprócz złożonych i barwionych, naczynia i wyroby garncarskie, piece kaflowe i szamotowe, forniry i sklejkki, meble, również bambusowe, wyroby drewniane rzeźbione, inkrustowane, tapicerowane itp.

Również konie, bydło, trzoda chlewna i wszelkie ptactwo, zwolnione są od cła przywozowego. CŁO PRZYWOZOWE ZOSTAŁO OBNIŻONE NA NASTĘPUJĄCE TOWARY:

Kawę surową ze 140 zł do 50 zł, kawę paloną ziarnistą i mieloną z 200 zł do 70 zł, ekstrakty kawowe z 600 zł do 150 zł, herbatę i ekstrakty herbaty z 150 zł do 50 zł, kakao z 150 zł do 10 zł, pieprz z 450 zł do 100 zł, kawior z 300 zł do 100 zł, olej oliwkowy z 50 zł do 10 zł, czekoladę i wyroby z czekolady z 50 zł do 20 zł, sacharynę i inne sztuczne środki słodzące z 1500 zł do 500 zł (wszystko za kilogram wagi).

## Obniżono także cło przywozowe na następujące towary przemysłowe:

Naczynia i wyroby porcelanowe zdobnicze, złożone, barwione z 45 zł do 5 zł od 1 kg. Dywany, chodniki dywanowe i materie wykonane na wzór dywanów wełniane i z włókien syntetycznych z 100 zł do 50 zł od 1 kg, z innych materiałów włóknistych z 50 zł do 25 zł od 1 kg; bielizna pościelowa i stołowa z 250 zł do 100 zł od 1 kg,

obruse, serwetki z materiałów plastycznych z 600 zł do 100 zł od 1 kg.

Bluzki, swetry, kamizelki z dzianin — pierwsze trzy sztuki — z 120 zł do 60 zł od sztuki — dalsze sztuki z 500 zł do 250 zł od sztuki; garsonki (komplety) i sukienki z dzianin pierwsze 3 sztuki z 200 zł do 100 zł od sztuki — dalsze sztuki z 1000 zł do 500 zł od sztuki; spodnice dziane pierwsze trzy sztuki z 100 zł do 50 zł od sztuki — dalsze sztuki z 400 zł do 200 zł od sztuki; spodnie dziane — pierwsze trzy sztuki z 100 zł do 50 zł od sztuki — dalsze sztuki z 500 zł do 250 zł od sztuki.

Płaszczki letnie z włókien syntetycznych z 800 zł do 300 zł od sztuki, płaszczki z materiałów naśladowujących futra z 2000 zł do 1000 zł od sztuki. Odzież pozostała, w tym dziecięca z dzianin, z jedwabiu naturalnego i z włókien syntetycznych z 800 zł do 400 zł od 1 kg, z wełny z 600 zł do 300 zł od 1 kg, z innych materiałów włóknistych, z materiałów naśladowujących skóry, z materiałów plastycznych oraz ceraty z 200 zł do 100 zł od 1 kg, ze skóry bez futra z 500 zł do 250 zł od 1 kg.

Pończochy z jedwabiu naturalnego i włókien syntetycznych z 80 zł do 30 zł od pary, wełniane z 40 zł do 20 zł od pary, z innych materiałów włóknistych z 10 zł do 5 zł od pary. Chustki na głowę z jedwabiu naturalnego i włókien syntetycznych z 80 zł i 160 zł od sztuki do 40 zł od sztuki, wełniane z 80 zł do 35 zł od sztuki, z innych materiałów z 20 zł do 10 zł od sztuki.

Ornamenty, przybory biurkowe, medaliony, statuetki itp. z metali nieszlachetnych z 180 zł do 80 zł od 1 kg; tworzywa sztuczne, jak: celulozoid, galek, nylon, igelit, polistyren itp. w proszku, ziarnach, kawałkach, blokach, płytach, rurach o średnicy powyżej 5 mm, prętach, taśmach i odpadkach z 200 zł do 30 zł od 1 kg, folia z tworzywa sztucznych (w tym skay, wistram itp.) z 200 zł do 40 zł od 1 kg, tworzywa sztuczne w arkuszach o grubości 2 mm i mniej z 500 zł do 50 zł od 1 kg.

W grupie zwierząt hodowlanych cła przywozowe zostały obniżone na następujące zwierzęta futerkowe licząc od sztuki:

Lisy z 500 zł do 200 zł, norki zwykle z 500 zł do 150 zł, norki kolorowe z 2000 zł do 150 zł, nutrie

zwykle z 200 zł do 50 zł, nutrie kolorowe z 500 zł do 50 zł, szynszyle z 5000 zł do 500 zł, szopy i opozy z 250 zł do 100 zł.

## CŁO ZOSTAŁO ZNIESIONE NA WYWOŻONE Z KRAJU:

Tkaniny lniane i konopne, polskie stroje ludowe, odbiorniki radiowe produkcji krajowej z wyjątkiem tranzystorowych z zakresu fal ultrakrótkich, płyty szybkoobrotowe i na pocztówkach.

## Poważnie obniżono stawki celne wywozowe na następujące artykuły:

Pierze i puch z 200 proc. do 100 proc. od wartości, kokdry, poduszki, pierzyny z puchu i pierza z 200 proc. do 100 proc. wartości, inne z 200 proc. do 100 proc. od wartości. Tkaniny i materie dziane z włókien syntetycznych, sztucznych i naturalnych (z wyjątkiem lnianych i konopnych) z 200 proc. do 100 proc. od wartości.

Obuwie dziecięce skórzane z 50 zł od pary do 50 proc. od wartości, dziecięce pozostałe z 20 zł od pary do 30 proc. od wartości, kierzce i pantofle domowe z 50 zł od pary do 20 proc. od wartości. Inne obuwie skórzane również z dodatkiem futra oraz obuwie futrzane na spodzie skórzonym z 300 zł od pary do 50 proc. od wartości, na spodzie nieskórzonym z 100 zł od pary do 30 proc. od wartości z tkanin i innych materiałów również z dodatkiem futra z 100 zł od pary do 30 proc. od wartości, z tkanin i innych materiałów, również z dodatkiem futra z 100 zł od pary do 30 proc. od wartości.

Koronki, hafty i wyroby z nich z 300 zł od 1 kg do 10 proc. od wartości, nakrycia stołowe, wyroby nożownicze z 200 proc. do 10 proc. od wartości, drobne wyroby z metali pospolitych do użytku domowego i osobistego z 200 proc. do 20 proc. od wartości, odbiorniki radiowe tranzystorowe z zakresem fal ultrakrótkich z 200 proc. do 50 proc. od wartości, płyty gramofonowe wolnoobrotowe z 15, 30, 50 i 80 zł od sztuki do 20 proc. od wartości.

Już wcześniej obniżono cło na przywożone do Kraju złoto (z 60 do 10 zł za gram), a także zniesiono cło na wywożone (po uzyskaniu zezwolenia) następujące urządzenia produkcji krajowej: telewizory, lodówki, pralki, odkurzacze, maszyny do szycia, akordeony, motocykle i motorowery, wózki dziecięce a także na serwetki, serwetki dekoracyjne oraz bieliznę pościelową, stołową i ręczniki z lnu.

# JEAN-FRANÇOIS z BERNAY

**B**ARDZO często mamy okazję pisać o młodych ludziach polskiego pochodzenia z Nordu, z Pas-de-Calais, którzy wyróżniają się w nauce, w sporcie, w muzyce... Jest ich dużo. W gęstym skupisku polskim w północnej Francji nazwiska ich szybko stają się głośne, Polonia jest z nich dumna, wiele o nich mówi i pisze.

Ale oto rodzina z zupełnie innego regionu, z Menneval-Bernay w Normandii, rodzina, która ma 17-letniego syna Jean-François, o którym również można już dużo powiedzieć.

Ojciec, p. Stanisław Lewandowicz, jest właścicielem szkółek drzew owocowych i dekoracyjnych. Przedsiębiorstwo jego ma nazwę: „Pépinières du Durcoeur Stanislas”. Zaopatrują się w nim w drzewa, drzewka i krzewy klienci z całego terytorium Francji. Okoliczne zarządy gminne wybierają go spośród grona licznych w Normandii szkółkarzy jako doskonałego fachowca, którego towar słynie z jakości. Jean-François będzie najprawdopodobniej kontynuował pracę ojca.

W tej chwili jest jeszcze licealistą. Nauka idzie mu doskonale. Egzamin z języka francuskiego; na zakończenie I klasy, nie stanowił dla niego problemu. Szkołę lubi, pracę domową organizuje sobie z systematycznym spokojem, tak że ma czas i na inne zajęcia.

Jean-François jest bardzo muzykalny. Gra na kilku instrumentach, ostatnio zapalił się do organów elektrycznych. Lubi przede wszystkim muzykę klasyczną, gra fugi Bacha, utwory Kabalewskiego i Bartoka. Ojciec sprawił mu niedawno instrument i uszczęśliwiony chłopiec spędza wszystkie wolne chwile przy klawiaturze.

Ale nie zaniedbuje akordeonu. Od siódmego roku życia gra na akordeonie i odnosi poważne sukcesy. W 1965 r. stanął po raz pierwszy do konkursu o Coupe d'Europe d'Accordéon w Paryżu i zdobył I nagrodę — puchar. W tym samym roku zdobył tytuł Champion CEA w Brukseli. W następnych latach stawał do konkursów regionalnych z równym powodzeniem. W r. 1966 w kategorii juniorów A w Bernay osiągnął 96% punktów przyznawanych przez jury kandy-



Bieg przez płotki ćwiczy chłopiec na miejscowym stadionie, na którym odniósł tyle sukcesów

datom. W 1967 znów zdobył puchar. W 1968 zgłosił się do konkursu półzawodowego o Puchar Paris-Normandie; jury przyznało mu 90% punktów. W 1969 r. I nagrodę i Złoty Medal zdobył w kategorii wirtuozów A, a w 1970 znów I nagrodę, puchar i 90% punktów w kategorii wirtuozów B.

A w tym samym czasie przecież kontynuował swe normalne zajęcia szkolne, zdał przed dwoma laty Brevet Elementaire premier cycle i przechodził z klasy do klasy z dobrymi stopniami.

Inną pasją Jean-François jest lotnictwo. Chodzi na wykłady w Bernay i przygotowuje się do egzaminu na brevet de pilote. Gdy skończy osiemnaście lat — zacznie pilotować. Dotąd miał okazję latania tylko raz.

Jean-François jest również sportowcem i to sportowcem nie byle jakim. Przed dwoma laty w kategorii minimów zdobył czwarte miejsce w biegu przełajowym o championnat departamentu. W r. 1970 był pierwszy w biegu na 600 m zorganizowanym przez Fédération Française de l'Athlé-

tisme zdobywając tytuł mistrza departamentu.

Sukcesy sportowe Jean-François są różnorodne: jest pierwszy w trójskoku w regionie Normandii, pobił rekord trójskoku departamentu Eure, jest czwarty w biegach na przełaj w mistrzostwach departamentalnych, a w lekkoatletyce w tym roku zdobył tytuł champion du departement de l'Eure. Inny sukces, to tytuł Champion de l'Académie de Rouen w biegu na 250 m przez płotki tytuł champion de la Haute Normandie w biegu na 110 m przez płotki i 6 miejsce w Championnat de France, zorganizowany przez Association Sportive Scolaire et Universitaire.

Jednym słowem dorobek sportowy bardzo okazały. Nie ma ważniejszych zawodów w regionie, w których nie figurowałoby nazwisko Jean-François Lewandowicza na zaszczytnym miejscu w Palmarès.

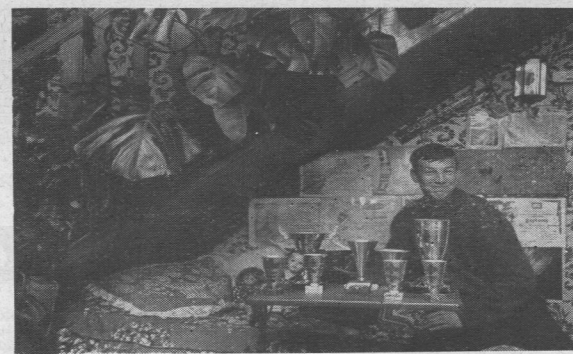
„Une nouvelle génération fait briller les couleurs de Bernay — pisało niedawno jed-



Po akordeonie przyszła pasja organów i p. Lewandowicz musiał sprawić synowi instrument



Rodzice i przyjaciele czekają na nowy rekord w trójskoku Jean-François



Kolekcja pucharów i dyplomów młodego akordeonisty. Wśród nich są dwa zdobyte przez ojca

Z podróży do Polski przywiózł Jean-François dla swej siostrzenicy lalkę w krakowskim stroju



no z miejscowych pism. — Il s'agit des minimes qui semblent partir sur une bonne voie, avec, à leur tête, Lewandowicz et Gilbert”.

„Lewandowicz est un grand espoir Bernayen — stwierdza „L'Evail de Bernay”. — Pour sa première année d'athlétisme il a réalisé des performances de valeur nationale” — „Lewandowicz jest wielką nadzieją Bernay. W pierwszym roku uprawiania lekkoatletyki ma osiągnięcia na skalę krajową”.

Często pojawia się nazwisko młodego Lewandowicza w prasie. Często pojawiają się wzmianki o jego sukcesach sportowych, muzycznych, a także fotografia chłopca. Uszczęśliwieni z sukcesów syna rodzice troszczą się o wszystko, co może dopomóc mu w wykształceniu i wszechstronnym rozwoju.

Na katalogu „Pépinières du Durcoeur” p. Stanisława Lewandowicza jest mały rysunek chłopca z grabkami, konewką i taczką pełną kwiatów. Rysunek ten wykonany został na podstawie fotografii syna, zrobionej przez panią Lewandowiczową. Jean-François nie pozował do niej specjalnie. Sam, z własnej chęci zajmuje się często roślinami, lubi szkółki, podoba mu się praca ojca. Będzie zapewne jego następcą. Ale zanim dojdzie do pełnoletności i zdobędzie odpowiednie kwalifikacje, chce jeszcze dokonać czegoś w dziedzinie sportu, a może i muzyki, może także i lotnictwa sportowego. Zanim obejmie kierownictwo głośnego w Normandii przedsiębiorstwa „Stanislas”, które pracy i fachowości ojca zawdzięcza swą renomę, pragnie sam również dokonać rzeczy, z których będą dumni rodzice, Bernay i Normandia. A jednocześnie i my wszyscy — francuska Polonia.

ZDJĘCIA: WL. SŁAWNY

Państwo Felicia i Kazimierz Włodarczykowie (z lewej) oraz reszta rodziny w komplecie. Córka Janine, synowa Paulette Włodarczyk, syn François, zięć François Joseph oraz wnuki: Marie-Claire Joseph, Claudine Włodarczyk, Dominique Joseph i Serge Włodarczyk (z prawej).

# Niedziela państwa Włodarczyków

Mimo przyzwyczajenia do ранnego wstawania, tego niedzielnego poranka, gdy pani Felicia schodziła wcześniej na dół z sypialni, poczuła się fatalnie. Ostatnie dni zresztą pracowała z taką energią, bo pracy w domu było sporo po malarzach, że sąsiadki mówiły:

— Pani Felicio, niech pani nie przesadza, bo dwudziestu lat już pani nie ma...

Cóż dobrze o tym wiedziała, ale przyzwyczajona była do tego, że wszystko musiało w domu błyszczeć, a w szafach wszystkie rzeczy musiały być tak poukładane, jak na wystawie. A dziś miały przecież przyjść dzieci...

No i stało się. Mimo całego wysiłku, by jakoś się trzymać, pani Felicia załbiała. Dostała dreszczy i trzeba było się położyć. I mimo że pan Kazimierz uspokajał małżonkę, jak tylko mógł, zdenerwowała się pani Felicia tym swoim stanem bardzo. Nie wszystko przecież jeszcze przygotowane do obiadu. Wiedziała, że córka i synowa zrobią, co trzeba, ale jednak... Chciała, by wszystko było gotowe.

Gdy więc przed południem zaludnił się domek państwa Włodarczyków rodzinami ich dwojga dzieci — François i Janine, córka — Janine i synowa — Paulette zakrzętały się w kuchni, co chwilę jednak zaglądając na górę, do sypialni, jak czuje się matka. Syn François wraz z ojcem zajął się przygotowaniem aperitif, mąż Janine — również François pojechał jeszcze do miasta coś załatwić, a dzieci rozbiegły się wśród zieleni bawiąc się w Indian. Wkrótce przyszli jeszcze Stanisław Włodarczyk — bratanek pana Kazimierza Włodarczyka oraz jego kolega, Jerzy Bruszniewski. Do niedzielnego

obiadu zasiadło więc kilkanaście osób. Brakowało pani Felicji. Zeszła dopiero na kawę — rozklejona, zziębnięta, na nogach z waty. Ale wraz z jej pojawieniem się rozpoczęła się prawdziwa niedziela. Cała rodzina była w komplecie, a wobec takiej serdeczności i harmonii rodzinnej i pani Felicja poczuła się lepiej.

Za chwilę wnuki — Claudine i Serge oraz Marie-Claire i Dominique — rozbiegły się po ogrodzie, a przy stole pozostali starsi — rodzice i dzieci.

Ile takich niedziel już spędzono? Wiele. Na pierwszy rzut oka nie różniących się od siebie i może nie specjalnie urozmaiconych, ale będących dla całej rodziny dużą radością. Jak to nieraz już bywało, mówiono o pracy, swoich domach i dzieciach, wypytivano się wzajemnie o sprawy ważne i mniej ważne i jak zawsze, rozmowa zeszła na Polskę, którą po wojnie odwiedził państwo Włodarczykowie już pięciokrotnie. Twierdzą zresztą z dumą, że Warszawę tak już zwiedzili, że lepiej ją znają od Pontoise, w którym przecież mieszkają 25 lat. Opowiadają dzieciom po raz nie wiadomo już który swe wrażenia z podróży po Polsce i zawsze na nowo się wzruszają.

— Tylko gdy po raz pierwszy pojechalismy do Kraju w 1958 roku, odwiedziliśmy rodzinę. Kolejne pobyty poświęciliśmy głównie na zwiedzanie — mówi pani Felicia. — Poza Warszawę odwiedziliśmy Kraków, Wieliczkę, Zakopane, przełom Dunajca, Gdańsk, Kołobrzeg, Poznań, Gniezno, Mazury, a w Krynicy pozwoliliśmy sobie na małą kurację wodą mineralną. Z miejsca na miejsce przenosiliśmy się po Polsce aeroplanem — dorzuca pani Felicia, używając nazwy samolotu, jaką pa-

mięta sprzed lat, gdy jako młoda dziewczyna żyła w Polsce. A we Francji jest już przecież 40 lat. Przyjechała, tak samo jak pan Włodarczyk, z pińcowskiego powiatu, by znaleźć tu pracę, bo na 10-morgowych gospodarstwach, jakie posiadali rodzice państwa Włodarczyków, trudno było wyżyć dziesięcio- czy dwunastoosobowej rodzinie. A we Francji była ciężka praca na fermach i odwieczne marzenie: „Żeby tylko dzieci wykształcić, żeby nie musiały tak ciężko pracować jak my!”

I to marzenie państwa Włodarczyków ziszczyło się. Syn François jest zastępcą dyrektora oddziału banku „Crédit Lyonnais” w St. Prix koło Pontoise, jego żona Paulette też pracuje w banku. Córka Janine — pracuje w hipotece, a jej mąż François, rodem z Gwadelupy — w jednym z paryskich garaży. Dziś więc, gdy pan Kazimierz jest już od dziesięciu lat na rencie, a pani Felicia zajmuje się tylko domem, poza życiem dzieci i wnuków, w którym żywo uczestniczą, żyją Polską i sprawami polskimi. Nie ma w Paryżu, czy okręgu paryskim polonijnej imprezy, konferencji Stowarzyszenia Obrony Granic na Odrze i Nysie, Stowarzyszenia „France-Pologne”, czy spotkania z Czytelnikami „Tygodnika Polskiego” w redakcji, żeby nie uczestniczyli w nich państwo Włodarczykowie. Tę miłość do Polski zaszczerpili również swym dzieciom, którzy nigdy Polski nie widzieli, ale mówią po polsku. W ich domach zresztą nie brak pamiątek z Polski, przywiezionych przez rodziców, a do niedzielnego popołudnia, tak serdecznie spędzanego, brakowało tylko polskich melodii, które pani Felicia po

swoim zjawieniu się przy stole od razu nastawiła na elektrofonie.

Późnym popołudniem syn zabrał matkę i kuzyna oraz jego kolegę, by pokazać nowy gmach prefektury w Pontoise, w którym mieszczą się kino, i kawiarnia, i bar, i nowoczesne sklepy, sala wystawowa, gdzie można obejrzyć makietę i plany zabudowy miasta. Pokazując to wszystko François Włodarczyk był pełen dumy. Pontoise — to przecież jego miasto. Tutaj zresztą, w pobliskim Maurecourt, wybudował już dla siebie i swej rodziny piękny dom, a przed nim zasadził świerk, który matka przywiozła mu z Polski.

Gdy z przejażdżki powrócono do domu, w ogrodzie na różnie piekło się już udzieli barani. Bardzo późnym wieczorem żegnano się dopiero serdecznie, a pan Włodarczyk odprowadził wszystkich na drogę. Pani Włodarczykowa zaś porządkując leżące na bufcie kartki raz jeszcze ze wzruszeniem przeczytała laurki wnuków, które otrzymała na Święto Matki.

„Ma chère Mémé, je t'aime de tout mon coeur. Claudine”. „Je te remercie pour les bons beignets et les bonnes crêpes que tu m'as fait. Serge”. „Nous te souhaitons Bonne Fête et ne t'oublions pas quand nous serons grands. Grosses bises. Marie-Claire, Dominique”.

I to chyba jest największa satysfakcja, jaką uświadomiła sobie pani Felicia tej niedzieli po odjeździe dzieci i wnuków, że za ciężką pracę jej i męża dzieci odpłacają dziś wielkim szacunkiem i miłością i tego samego nauczyły już swe dzieci — wnuków państwa Włodarczyków.

Urszula KOZIEROWSKA

## L'air du temps

L'été a vraiment du bon, surtout si le temps est au beau. Devant les librairies, une table est dressée et supporte toutes sortes de livres offerts à la curiosité des passants. Les librairies ne sont pas les seules à avoir introduit cette formule; devant les salles de cinéma, la formule est reprise, signalons d'ailleurs que les cinémas tiennent en permanence, tout au long de l'année, un petit kiosque à livres qui est très fréquenté par les personnes attendant la fin de la séance.

Si un autobus vous échappe, automatiquement vous faites quelques pas pour aller jeter un oeil sur les vitrines ou bien, vous êtes attiré par la table-librairie en plein-air. Parcourir quelques titres des yeux, feuilleter plusieurs livres, s'absorber dans la lecture d'un passage, voilà ce qui vous guette. Et vous retournez à la station d'autobus plus léger de quelques zlotys en moins et en possession de quoi occuper agréablement votre soirée.

La clientèle est très variée. Aussi l'étalage répond à tous les goûts. Il y a même des livres scolaires car déjà, hélas chante un choeur d'enfants, — la rentrée s'approche à grands pas, même les jours raccourcissent... Les bons élèves ne sont pas les derniers à regretter ces merveilleux jours de vacances, jours insouciantes, joyeux instants, remplis de baignades, de promenades, d'escalades, du cueillette de myrtilles, fraises des bois et champignons, de jeux et de lecture les jours de pluie. Si seulement on pouvait conditionner, compresser en petites tablettes le bonheur des vacances! Pouvoir, en user les jours de fatigue et de cafard, recréer un petit oasis ensoleillé! Ou ai-je la tête, c'est très simple, il suffit de rêver de se plonger dans la lecture de livres merveilleux, justement ces livres accessibles pour quelques zlotys à peine...

## EN COURANT... EN COURANT...

● Jerzy Grotowski, directeur du „théâtre-laboratoire” de Wrocław, s'est rendu à Marseille en compagnie de son principal comédien Ryszard Cieslak, sur l'invitation du „Centre National Dramatique”. Tous deux donneront des cours à des acteurs venus du monde entier, participer à un séminaire d'un mois. Rappelons que Jerzy Grotowski est professeur ordinaire de l'Ecole Supérieure Nationale de Marseille.

● Depuis très longtemps, le célèbre café „Telimena” à Cracovie, était l'objet d'une restauration. Voilà, aux pieds du Wawel,

rue Mikolajska, le café ouvert au public. On peut y boire du thé ou du café infusés de différentes façons. Les habitants sont ravis, et les touristes peuvent, sans crainte, y faire une halte.

● Il y a trois ans, la puissance du vent soufflant dans les Tatras se soldait par de catastrophiques dégâts. En quelques minutes, près de 250 000 m<sup>3</sup> furent ravagés. Il fallut d'abord enlever les troncs brisés et planter de nouveau de jeunes arbres. Actuellement, 80% de la surface a été reboisée. La fin du reboisement sera terminée en 1973.

## LES LEGENDES DES LACS DE POMERANIE

Les mers du Sud ne sont pas les seules eaux à s'entourer d'histoires fabuleuses de trésors enfouis. Dans tous les pays, les légendes populaires ont des lacs mystérieux et l'imagination aidant, les légendes, au cours des siècles, ont été embellies.

Comme chaque légende détient souvent une part de vérité, une expédition d'hommes-grenouilles s'est attaquée à plusieurs lacs de Poméranie auxquels s'attachent des histoires plus ou moins fabuleuses qui toutes, révèlent certains symptômes réels. Ainsi un lac dans la région de Chojnice devrait renfermer des trésors jetés par l'armée napoléonienne en déroute. Des premiers essais furent tentés il y a quarante ans, mais à cette époque l'équipement dont disposait les chercheurs ne permettait pas d'audacieuses et systématiques plongées. De plus

le fond du lac rappelle un bois submergé que les hommes-grenouilles contemporains ne redoutent nullement. Pleines d'attractions sont également les recherches entreprises dans les lacs situés près de Koronowo où un arsenal teuton serait enfoui. Ces dires ont été vérifiés. Deux lacs de la région de Mogilno devraient réserver des surprises, il n'y a pas longtemps, un casque du X<sup>e</sup> siècle fut trouvé et on parle d'un trésor appartenant aux chevaliers des premiers Piast, qui attendrait au fond du lac depuis des siècles.

L'ambition de l'expédition n'est pas une aventure folle, elle a pour but de vérifier les mystères des légendes, des dires et des écrits laissés par des chroniqueurs sur les lacs de cette région. Les recherches porteront sur cinq lacs uniquement.

## DES POLONAIS SUR LE PLUS HAUT SOMMETS DES ANDES PERUVIENNES

Des expéditions d'alpinistes polonais se répètent dans le monde entier, partout où il y a des massifs montagneux. Les succès remportés par les alpinistes sont déjà nombreux et la liste s'allonge continuellement.

Ainsi dernièrement, des alpinistes polonais du club de Haute-Montagne ont tenté de vaincre le plus haut sommet des Andes péruviennes, dans la Cordillera Blanca, le mont Huascarán d'une altitude de 6786 mètres. L'expédition a été couronnée de succès, les Polonais ont planté un drapeau polonais et péruvien sur le sommet ainsi qu'un fanion rappelant le 50<sup>e</sup> anniversaire de l'Insurrection de Silésie.

Les Polonais ne se sont pas arrêtés à cette victoire, ils rentrent au pays en septembre, mais avant ils tentent de parvenir au sommet d'autres monts invaincus jusqu'à présent, dans la région de Vilcanota, Vilcabamba et Carabaya.

Avant la guerre déjà, deux expéditions polonaises s'aventurèrent deux fois dans les régions peu connues des Andes, en 1933 — 34 et en 1936 — 37. Donc tradition demeure.

Signalons que dernièrement, une autre expédition polonaise s'est rendue en Afghanistan avec le but d'atteindre également des monts invaincus d'une altitude de plus de 6000 m. Des opérateurs accompagnent l'expédition pour fixer, sur la pellicule, la bataille livrée à la montagne par l'expédition.



Janek Brandt już zdecydował o swej przyszłości



Daniel Krawczykowski ma usposobienie spokojne. Może trochę tęskni za braciszkiem, Romkiem?

Krzysio Stala z wielkim zacięciem ćwiczy „strzały”. Sławni piłkarze też kiedyś tak zaczęli



## CHŁOPCY z ULICY ANGORSKIEJ

„Dlaczego w ścianach niektórych domów są dziury od kul?” — pytają chłopcy. To właśnie wzbudza w nich największe zainteresowanie. Warszawa jako miasto podoba im się bardzo, ale nie zdumiewa. Jest nowoczesna, duża, jak wszystkie europejskie stolice. Może mniej tu sklepów, mniej samochodów, niż w Brukseli. Te niki już w Warszawie ślady wojny interesują ich najwięcej.

Tłumacząc, że wiele z tych domów nadaje się znakomicie do mieszkania, że najpierw trzeba było zbudować bardzo dużo nowych budynków i nie można było myśleć o remontowaniu starych. A czy wiecie o Oradour, o wsi Valchevrière? — pytam. Zostały one całkowicie zburzone przez hitlerowców. Nie są odbudowywane, bo mają stanowić symbol ostatniej wojny. W Warszawie również pozostanie kilka zburzonych domów.

Gdy w 25 rocznicę Powstania Warszawskiego starsi uczestnicy kolonii pójdą w Aleje Szuca, a potem do muzeum na Pawiaku, przeżyją wiele nieznanym im dotąd wrażeń — trudnych, ale chyba ważnych i potrzebnych. Poza tym jednak cały program przygotowany dla młodzieży z Belgii (jest też 4 chłopców ze Szwecji) przewiduje rozrywki, zabawy, zwiedzanie Kraju.

Kiedy zapytałam ich, co im się na kolonii nie podoba, niewiele mieli uwag, a może chcieli być uprzejmi? Starsi chłopcy mówili jednak: „za mało zabaw i wieczorków tanecznych, za rzadko spotykamy się z dziewczętami i zbyt mało mamy tzw. „wolnego czasu”.

Ten wolny czas, to indywidualne wychodzenie do miasta, bez opieki wychowawców. Czy słuszne są uwagi chłopców? Na koloniach obowiązuje regulamin ustalony poprzednio z ich wychowawcami, a często i przy współudziale rodziców, a jego naczelną zasadą jest różnorodność wypoczynku oraz bezpieczeństwo wychowanków.

„Ja rozumiem, że wychowawcy za nas odpowiadają i że gdyby któremuś coś się stało, oni mieliby za to przykrości” — mówi René Janssen z Limburgii. „Mnie nie interesują zbytnio zabawy i dziewczęta więc nie mam pretensji”.

Z René rozmawiamy o sprawach najważniejszych, o jego planach na przyszłość. Ma 17 lat i wkrótce ukończy liceum. „Chciałbym przyjechać do Polski na studia medyczne. Bardzo się już przywiązałem do Polski, od sześciu lat przyjeżdżam tu na kolonie, a przecież tylko w połowie jestem Polakiem, bo mój ojciec jest Flamandem. Mama urodziła się we Francji. Jej ojciec, a mój dziadek, Nikodem Smolarkiewicz był powstańcem wielkopolskim. Po powstaniu wyemigrował do Francji, a potem do Belgii”.

To właśnie dziadkowi i babci a także szkółce sobotniej René zawdzięcza tak dobrą znajomość języka polskiego i sentyment do kraju matki.

— Wiesz bardzo wiele o Polsce, a czy czytasz polskie książki?

— Tak. Po flamandzku. W tym języku wydano u nas kilka pozycji polskich klasyków. Zresztą czytam wszystko o Polsce. Wynikiem tego są częste spory z moimi belgijskimi kolegami na temat gospodarki i kultury polskiej. Zadziwiający, ale oni tak mało wiedzą o Polsce, często ich wiadomości są fałszywe. To nie ich wina. Staram się jak potrafię prostować te informacje, wyjaśniać. Szkoda, że tak mało w Belgii wydaje się polskiej literatury.

— Czy masz jakieś hobby?

— Właściwie to kilka. Pierwsze, to numizmatyka. Zbieram monety, również i polskie. Ponadto

René Janssen zna Polskę lepiej niż jego koledzy. Potrafi doradzić, jaki upominek kupić rodzicom



Stadion X-lecia w Warszawie chłopcom bardzo się podoba, więc przychodzą tu pograć w piłkę. Grupa młodszych chłopców pozuje nam do zdjęcia

grywam w teatrze amatorskim. Ostatnio na Gwiazdkę w teatrze amatorskim w naszym Domu Polskim grałem główną rolę w takiej sztuce o Gallu Anonimie i innych wielkich postaciach z historii Polski. Chciałbym też tańczyć w „Krakusie”, ale nie starcza mi już czasu. Szczególnie, że aktywnie działam w belgijskim harcerstwie. Marzy mi się, żeby na przyszły rok zorganizować wycieczkę mojego zastępu do Polski. Może wówczas niektórzy moi belgijscy koledzy zmienią zdanie i nie będą wygłaszać zbyt pochopnie sądów na różne tematy związane z Polską.

Wraz z René na kolonii przy ul. Angorskiej w Warszawie przebywa jego kuzyn, Edward Skorski, a na koloniach dla dziewcząt z Belgii w Olsztynie siostra René, siostra Edka i jeszcze jedna ich kuzynka. Słowem niemal cała rodzina.

Mały Krzysio Stala, syn naszej znanej działaczki w ośrodkach polonijnych p. Wandy, mimo swoich 11 lat jest bardzo poważny i rzeczowy. Mieszka w Genk, w Limburgii. Jego mama jest nauczycielką języka polskiego w szkołkach sobotnich, a tatuś jest prezesem miejscowej organizacji PSL. Do Polski Krzysio przyjeżdża co roku, ale na koloniach jest po raz pierwszy. Bardzo chciałby zobaczyć Malbork i Kraków. Dobrze się składa, bo w programie kolonii przewidziano właśnie zwiedzanie tych miast.

Krzyś jeszcze nie wie, kim chciałby zostać w przyszłości. Natomiast jego rówieśnik, Daniel Krawczykowski z Liège już wie, tylko, że ma poważne wątpliwości. Chciałby być lotnikiem, ale, niestety, nosi okulary i obawia się, iż nic z tych marzeń nie wyjdzie. Dochodzimy jednak wspólnie do wniosku, że może być na przykład konstrukto-

rem samolotów.

Janek Brandt ma 14 lat, ale wygląda na więcej. Jest trochę niezadowolony, bo koledzy lubią mu dokucać.

— Biegaj dużo, uprawiaj sporty, to trochę schudniesz — doradzam — a kolegami się nie przejmuj.

Plany życiowe Janka są bardzo konkretne. Pragnie skończyć szkołę zawodową i iść do pracy. Chce być spawaczem. O wyższych studiach nie myśli. „Lepiej zdobyć dobry fach” — powiada — niż zajmować na uniwersytecie miejsce dla kogoś zdolniejszego”.

Opowiada mi o domu. Gospodarzą w Liège razem z ojcem, który jest już na rencie. Mama umarła przed rokiem. Janek chciałby, aby i jego tata też przyjechał do Polski, a nie był tu od czasów drugiej wojny światowej.

Dzwonek na kolację. Żegnaj się z chłopcami. Jeszcze mnie zatrzymują na chwilę. Chcą opowiedzieć, jak spędzili ostatnią sobotę.

— Było bardzo śmiesznie — mówią. Przyszły do nas koleżanki z sąsiedniej polskiej kolonii, pięknie je powitaliśmy. Wręczyliśmy kwiaty koleżankom i wychowawczyni.

— Nieprawda — wtrąca jeden z „maluchów”, bo nie wręczyliście kwiatów wszystkim dziewczętom, tylko co ładniejszym. Tak, tak, wyszukiwaliście te ładne.

Chłopcy śmieją się. Zabawa się udała, choć adapter trochę się psuł. „Mieliśmy płyty, które przywieźliśmy z Belgii. Wprawdzie u was tańczy trochę inaczej, ale jakoś się zgraliśmy”.

Chłopcy, z którymi rozmawiałam, wrócili już do swoich domów, ale wrażenia, którymi się dzielili się ze mną z pewnością pozostaną w ich pamięci.

**Z** Augustynem Neclem godziny mijają niepostrzeżenie, wypełnione o powieścią o niepospolitej barwie i głębokiej mądrości. Pan Augustyn, choć dochodzi siedemdziesiątki, mimo niewysokiego wzrostu nadal imponuje potężną, krępką sylwetką. Rysy twarzy, krzaczaste brwi, jakiś spokój w ruchach i sposobie mówienia, wszystko zdaje się świadczyć o opanowaniu i uporze, jakie zawsze cechowały Kaszuba, gdy szedł swoim życiem równie ciekawym, co burzliwym.

Kiedy, w 14 roku życia na 10-metrowej łodzi żaglowej typu „pomeranka” w zastępstwie chorego ojca zaczął wypływać w morze, zwano go Gustem. Barczysty, masywny chłopiec rychło przypadł do serca wytrawnym rybakom. Szyprem był Franciszek Gojka, mąż światły i doświadczony. Należeli do załogi — czyli maszoperii — stary Józef Pliński, Józef Ciskowski, August Styn, Jan Jeka i kilku innych.

„Ogniem i mieczem” wysłuchali ze szczerą aprobatą. Dopiero przy „Potopie” wybuchła na łodzi wrzawa i Kaszubów chwyciło oburzenie. Rozpoczęło się od zdrady Radziwiłła. „Dlaczego twój pisarz zajmuje się zdrajcą, a nie wspomina o naszym Jakubie Wejherze, co tak Szwedów gromił i wiernie służył polskiemu królowi?” — upominali się na łodzi. Nie jest sprawiedliwy ten „twój” pisarz — fukali na Augustyna rybacy. Wspomnienie wojen szwedzkich było żywe na Kaszubach. Przetrwwały przekazy o walkach z najeźdźcą, obronie nadmorskich miast i partyzantce kaszubskiej. Teraz poczuli się skrzywdzeni przez Sienkiewicza, wszak przodkowie bili się za króla, za Koronę Polską, siła braci zginęła, a pisarz nie upamiętnił tego. Na łodzi rozlegały się spory i słowa protestu, zaczęli Kaszubi wspominać swoich kaszubskich bohaterów i porównywać ich z Sienkiewiczowskimi. Stary Kąkol powtarzał uparcie:

— Trysza Żelk rębał lepiej, jak sam Włodyżowski — bo tak wy-



## NIE MA POLSKI BEZ KASZUB

„Gazeta Grudziądzka” drukowała podówczas w odcinkach „Trylogię” Sienkiewicza i Gust — gdy nadszedł kolejny numer pisma — miał zwyczaj zabierać go na morze. Odcinki były sporych rozmiarów i w czasie drogi na łowisko miał czas na czytanie. Pewnego dnia Gojka zaproponował, by Gust poczytał na głos. Odtąd przeszło to w zwyczaj i nawet wtedy, gdy na morzu panowała cisza i zwisały żagle, zaś załoga musiała chwycić za wiosła, Gusta sadzano w środku łodzi i z napięciem słuchano kolejnego rozdziału opowieści. Niezwykajny był to widok: rytmiczny ruch wiosel, starzy rybacy — i chłopiec z gazetą.

W Europie szalała I wojna światowa, na zachodzie grzmiała bitwa nad Sommą, na wschodzie krwawił front od Rygi po Bukowinę, nie istniała Polska... A oni z przejęciem wsłuchiwali się w Sienkiewicza, śledzili losy Wołodyżowskiego, Skrzetuskiego i Zagłoby. Potem czytanie poszło już szybciej, gdy nie musieli czekać na numery gazety, bowiem matka Gustka sprowadziła powieść Sienkiewicza w wydaniu książkowym.

mawiali Kaszubi nazwisko Wołodyżowskiego.

Wspominali rozwalone szwedzkie oddziały i okręty, mówili o 6 armatach odbitych pod Rozewiem, z których trzy do tej pory zdobią zamek „kwekra w Krokowie”... Kweker — to ujemne określenie Niemca. Zaś stary Pliński gorąco kochał się:

— Jówca z Jastarni bel mocniejszy od Podbipięty, bo przeniósł na plecach laskornowy bot!

Laskornowy bot, czyli duża łódź do połowy łososia, miał Jówca przenieść przez mierzeje, gdy wiejący od tygodni ost (wschodni wiatr) uniemożliwiał partyzantom kaszubskim opłynięcie Helu, kiedy chcieli zawładnąć „Krystyną” — admiralskim statkiem Gustawa Adolfa, który wpadł na mieliznę.

Tylko Gojka studził rozgorzałe kowane głowy.

— Dajcie chłopakowi spokój. I Sienkiewicz też nie winien, skoro nie był w naszych stronach i nie słuchał naszych gawęd.

— Jak Gust urośnie — mawiał Gojka — napisze, co Sienkiewicz pominął.

Któż by przypuszczał, że po kilku dziesiątkach lat Augustyn

rzeczywiście opíše, „co Sienkiewicz pominął”. W „Krwawym sztormie” i „Złotych kluczach” da barwny epos walki Kaszubów, zawsze wiernych Koronie.

\*

Tak mi opowiadał, przy strasznie mocnej kawie, pan Augustyn. Podszedł do okna. Za oknem biegnie szosa z Helu do Redy, dalej — wśród pól — pracowicie zmierzają do Swarzewa pociąg.

Tutaj przed trzystu laty rozciągał się poczerwieniał las — mówi gospodarz — jakieś dwa kilometry stąd rosły trzy wysokie świerki. Przy nich Kaszubi pojмали zdrajcę Sulickiego, który oddał Puck Gustawowi Adolfowi. Brat Sulickiego, Piotr, był wielkim patriotą, ów zaś zdrajca, na imię miał Bartosz, zmienił nawet nazwisko na Rittmeister von Sulizky...

Pod tymi świerkami, jak głosi przekaz, Kaszubi zdrajcę ubili belką — kijem o żelaznym haku, używanym do zabijania fok.

Były to czasy okrutne, lecz jeszcze gorsze przyszło Kaszubom przeżyć później, po 1939 roku. Ten okres znajduje się w twórczości Augustyna Necla szczególnie bogate odbicie.

Po I wojnie światowej odrodziła się Polska i Kaszuby powróciły do macierzy. Gdy generał Haller w 1920 r. na znak zaślubin z morzem we Władysławowie wrzucił złoty pierścień w jego wody, zewsząd przybyło na uroczystość tysiące Kaszubów. A później przyszły dni smutniejsze. Wytęskniona ojczyzna przyniosła za sobą trudną sytuację gospodarczą i wojnę na wschodzie... brak było zbytu na rybę.

Augustyn Necel zostaje marynarzem, w Gdańsku zamustruje na statek „Marie Siedler”. Nie istniała jeszcze polska flota.

Gdy po kolejnym rejsie otrzymał krótki urlop, w drodze do domu odwiedził swarzewski cmentarz. Na szarfach wieńca odczytał: „Zacnemu przyjacielowi i wieloletniemu przywódcy rybaków składają ostatnią przysługę rybacy polskiego wybrzeża.” Była to mogiła Gojki, starego, mądrego szypca, który przed laty przepowiedział Gustkowi że opíše losy Kaszubów.

Później służył na innych statkach. Z pijaną załogą pływał na „Marta Schroeder”, na „Merkurym” zawijał do Casablanki, Dakaru i Lagos. Na pokładzie „Lutzi Woehrmann” opływał Afrykę. Na brudnym, zapuszczonym statku osaczała go wrogość. Kiedy pełnił wachtę, łapy niemieckich szwiniaków wywlokły z szafy jego polskie książki i wrzuciły je do morza.

Mimo silnego organizmu i młodego wieku stracił w tropiku włosy. Poznał świat, widział ucisk Murzynów i wysysk załóg, przyjrzał się urodzie dalekich łądów i ludzkiej nędzy. Nie zwiedzał portowych knajp, każdą wolną chwilę przeznaczał zabytkom, muzeom, galeriom — i zawsze trapiła go nostalgia za Kaszubami.

Wreszcie powstały załóżki polskiej floty. Natychmiast przenosi się na jeden z pierwszych statków pod białoczerwoną banderą. Później pracuje w Morskim Laboratorium Rybackim, służąc swoim ogromnym doświadczeniem i gruntowną znajomością morza polskiej nauce. Profesor Demel, z którym współpracuje, zadedykuje mu po latach swoją wielką pracę — „Życie morza”: „Augustynowi Necelowi, staremu współpracownikowi z dawnych czasów helskich...”

\*

Gdy wybucha II wojna światowa, pozostawia swój kuter i w czwartym pułku strzelców konnych przeżywa losy września. Cofa się ze swoim oddziałem do Warszawy, a właściwie przebiega się do niej przez ciągle zaciskające się kleszcze hitlerowskich załóg. Niedaleko stolicy, nad Wisłą, w rejonie wsi Gasy i Czernice, oddziałek ułanów stacza potyczkę ze zmotoryzowaną szpicą niemiecką. Hitlerowcy, mimo wsparcia sprzętem pancernym, ponoszą w starciu dotkliwie straty. Skromny polski oddział, liczący 18 ułanów, po śmierci oficera dowodzonego przez kaprala Augustyna Necla, roznosi wielekroć liczniejszego wroga. Do dzisiaj żyje w okolicy pamięć o tym wydarzeniu. Po 25 latach Augustyn Necel w towarzystwie pułkownika odwiedza te strony. Wysłuchuje opowieści o garstce polskich żołnierzy, którzy starli Niemców. Gdy hitlerowcy rozkazali mieszkańcom pozbiierać zabitych, naliczono 4 poległych Polaków i 31 faszystów. Augustyn Necel przeżył chwilę wzruszenia, gdy go wsi rozpoznano. Jego łysina i charakterystyczna sylwetka przypomniły ludziom:

— To pan był tym pułkownikiem, co tak głośno krzyczał?

— Krzyżem krzyżalem — odparł Necel — lecz pułkownikiem nie byłem...

Czuł smutek. Po zwycięskiej potyczce, gdy oddział przeprowadził się wpław przez Wisłę, wszyscy zginęli w jej nurtach, porażeni z brzegu niemieckim ogniem. Uratował się jeden Augustyn Necel, silny, zaprawiony w pływaniu, umiejący w zanurzeniu przebywać długie odcinki. Świadek tragedii.







wzewoźnik przez Wisłę — Józef, opowiadał później z niedowierzaniem, że tylko jeden ułan się uratował. „bo szedł prawie cały czas pod wodą...”

Necel wrócił na Kaszuby. W jednej z książek opisuje swój powrót:

„Ja maszerowałem dalej wicherzystą drogą. Im bliżej byłem domu, tym o większych okrucieństwach się dowiedziałem. W Pucku mówiono mi, że hitlerowcy wymordowali potowę Wielkiej Wsi, że kilku puchkich Niemców, którzy za Polski żyli w dużym dobrobycie, teraz wyszła najlepszych Polaków do Piaśnicy, na śmierć.

Przygnębiony tymi wieściami doszedłem do Chłapowa, do domu moich rodziców. Zastałem tu żonę z dziećmi. Moje przybycie wszystkich uradowało, ale kiedy minęła pierwsza radość, ustąpiłem:

— Gestapo tu się o ciebie dopytywało. Niczego się nie dowiedziało. Musisz jednak mieć się na baczności!

Poszedłem więc z żoną do Wielkiej Wsi, na kolonię rybacką. Tam u mego brata byłem, jak mi się zdawało, najbezpieczniejszy. Ale niebawem musiałem opuścić to schronienie. Trzeba było zacząć coś robić, bo dzieciom chciało się jeść. Postanowiłem, mimo niebezpieczeństwa, choć na krótko, wpaść do Helu i przywieźć stamtąd trochę mego sprzętu rybackiego.

Ruszyłem w niebezpieczną drogę razem z Agnieszką.

W Helu rządzili strach. Ludność była przygnębiona. Zaraz się dowiedziałem, że wszystkich Polaków z kolonii rybackiej, kupców, latarników i kogo tylko zastano na miejscu, wywieźli Niemcy do Stutthofu. Ci natomiast, którzy byli podczas działań wojennych w Jastarni, musieli się codziennie meldować u SA-manów, których sam Forster przysłał do Helu, by zrobili z tutejszymi Polakami „porządek”...

Wojna i okupacja miała napisać ciąg dalszy kaszubskiej sagi. Najeżdźca, jak już tyle razy w dziejach tego ludu, zburzył spokój kaszubskich „checz” — chat pracowitych rybaków i chłopów. Rody Żelków, Kurów, Fabiszów, Neclów, Boldów, Jeków, Plińskich, Zelinów, Bożków, rody prastare i setki innych, stanęły przed widmem gestapowskich kaźni, plutonów egzekucyjnych i germanizacyjnej furii okupanta. Groby masowe w piaśnickim lesie skryły już 12 tysięcy ofiar, pracowała machina stutthofskiego obozu śmierci.

Gestapo gorączkowo poszukiwało Augustynę Neclę. Kaszubi we wsiach udawali zdziwionych: Augustyn Necel? Wszak już nie żyje, został przecie rozstrzelany! Siepacze uwierzyli.

Po wsiach szalał wiecznie pijany pełnomocnik gaulera Forstera, SS-owiec Lachmund. Charakterystyczne nazwisko. Po niemiecku „lachen” — znaczy „śmiać się”, „mund” — oznacza „usta”... Nie były pogodne ani śmieszne spotkania z Lachmundem. Miał on w zwyczaju zapowiadać: „Adolf Hitler nakazał zniszczyć Kaszubów w ciągu 10 lat, Forster skrócił czas do 2 lat, a ja wykonam zadanie w ciągu 3 miesięcy!”

Augustyn Necel zrazu przyciśnił się w rodzinnych stronach. Nie jako Necel.

Przyjął nazwisko Ryszarda Rybakowskiego.

Piaśnickie lasy spływały krwią — kolumny samochodów tygodniami zwoziły ofiary na miejsce kaźni. Okupant rozprawił się z Kaszubami, płacił im za to, że od niepamiętnych czasów Polskę nazywali „Matką”, że od pokoleń z prostotą wznosili toast: „Nie ma Polski bez Kaszub, a Kaszub bez Polski”. W kaszubskich osadach śmierć stała się losem zwykłym i powszednim, jak katownie gestapo i zsyłki do obozów.

Z obłądną furią zabrano się do germanizowania ludu. Rychło jednak się okazało, że dusze tu krnąbrne a charaktery uparte, jak zawsze, gdy ludzi kształtowała stulecia zmagania z morskimi żywiołami i surowa egzystencja.

Stary Fabisz, gdy w nocy przekradał się na miejsce hitlerowskich zbrodni, szeptał wstrząśnięty: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie!” — i ze zgrozą obmył swoje rybackie buty. Były umazane krwią, bo wszędzie ona była, powlekała trawy i mchy. Wśród pozornie opanowanych, powolnych Kaszubów gorzała nienawisć do niemieckich purtków — diabłów.

Fabisz zaczął kopać dół przed drzwiami. Tłumaczył synowi:

— Kopię synku, dół, gdy gestapo przyjdzie po mnie, tu wpadną, a ja ich wrzającą wodą zaparzę albo zarąbię belką do zabijania fok.

Opisał te wydarzenia w swoich książkach Augustyn Necel. Gdy teraz opowiada dziennikarzowi o koszarze okupacji, odnosi się wrażenie, że jest to relacja beznamietna. Powiada:

— Na cmentarzu we Władysławowie leży 53 naszych... albo:

— SS-owiec Lachmund zapowiedział, że zniemczy Kaszubów w ciągu trzech miesięcy. Nie wiedział hitlerowiec, co gada. Z serca Kaszuba żadna moc nie wydrze ani Polski, ani Boga...

Pan Augustyn ciągnie swoje wspomnienia głosem równym, nieco przytłumionym. Opowiada o starych rodach Żelków, Fabiszów, Kurów, Boldów, Jeków, o dziesiątkach rodzin, których dzieje stworzyły historię tej ziemi. Starsze niż wiele szlacheckich rodów, potężne dynastie kaszubskie przetrwały niejedną burzę. Szalona myśl — zgermanizować krew od tysięcy lat polską! Taki ród Neclów: wywodzi się z Neclowa, na zachód od Odry, z ziem słowiańskich Wioletów. Gdy wznosił się niemiecki napór, cofali się na wschód do słowiańskich, polskich pobratymców. W spisie polskich rodzin Szczecina — dokumencie z roku 1338!

— Neclowie figurują na czwartym miejscu. Później nadal ustępują przed germanizacyjnym naciskiem i na zawsze osiadają u ujścia Wisły. Spotykamy ich wśród gdańskich mieszczan i helskich rybaków, wśród żeglarzy i rzemieślników. Jako kaprowie służą Kazimierzowi Jagiellończykowi, wraz z flotą Zygmunta Wazy osaczeni zostają w Wismarze. Walczą z potopem szwedzkim i w powstaniu styczniowym... Siedziba rodu po wsze czasy zostają Kaszuby, choć często szli Neclowie w świat, do Bremy i Hamburga, na Wyspy Fryzjskie i do dalekiej Ameryki, nad brzegi Huronu i

Michigan. Również ojciec pana Augustyna popłynął do Ameryki, kiedy groziło mu wcielenie do niemieckiej armii. Na Hel powrócił natychmiast, skoro tylko minęło niebezpieczeństwo.

— Mój pradziad miał na imię Jan, a przydomek „Jank”, był rybakim — opowiada pan Augustyn — stark, czyli dziadek, miał na imię Józef, był rybakim. Ojciec, Jan, też był rybakim, miał przydomek „Prorok”, a to ze względu, że był ocytany i trafnie przepowiadał pogodę...

Myślał okupant o zniewoleniu, zbrodnią i terrorem chciał wymusić uległość, lecz zbierał tylko zajądą wrogość. Lachmund szalał, lecz był bezsilny. Rozpił się do tego stopnia, że nawet jego przełożony, dyrektor rybołówstwa na południowy Bałtyk, Stallenberg, nie nazywał go inaczej jak „pijaną świnią”. Mimo to i mimo faktu, że nie mógł się wykazać pożytecznymi dla Rzeszy osiągnięciami, Lachmund jakoś utrzymywał się na odpowiedzialnym stanowisku. Należał do pierwszych bojowników ruchu hitlerowskiego, jeszcze z czasów monarchijskich, stąd też cieszył się poparciem samego gaulera. Rybacy rozprzeczili wykorzystywali słabość SS-mana do wódki. Wysłuchiwali jego pijanych wrzasków i — gdzie tylko się pojawił — podsuwali mu szklanekę. Specjalnie dla niego sprowadzali samogon aż z Borów Tucholskich. Bruno „Kąkol z Kuźnicy, Leon Budzisz i Franciszek Jeko we Władysławowie zawsze trzymali w pogotowiu sagan bimbru i kawał łosiosa. Dzięki temu nad Zatoką Pucką zamiast niemieckiego ładu pannał pijany rozgardiasz. Zaś pieczętka, wyciągnięta nieprzytomnemu Lachmundowi z kieszeni posztużną do sporządzenia dokumentów, mających wagę ludzkiego życia.

Psuły się kutry, rwały sieci, przestała brać ryba. Dziwne nadeszły czasy — z Bałtyku jakby znikły łosiosie, flądry i śledzie. Ponurej zagadki żadne gestapo rozwiłać nie zdołało, choć zgłodziła Rzesza domagała się ryby. Chude połowy składały się głównie z „Volksdeutschów”, bo tak Kaszubi nazywali dorsz. „Volksdeutsche” odstawiano Niemcom, zaś flądra i śledź szły potajemnie na polskie stoły, szmuglowano je w głąb kraju, aż do Bydgoszczy i Torunia.

Nawet najprostsze zamierzenia niemieckie kończyły się fiaskiem, często ośmieszającym butnych zdobywców. Tak było ze sławetną wyprawą kaszubskich kutrów na... podobój Anglii. Oto pewnego sierpnioowego dnia 1940 roku popędzono wszystkie kutry w morze — na zachód. Działo się to w dniach, gdy Hitler sposobił się do napaści na Wyspy Brytyjskie. W Calais i Dunkierce planowano koncentrację wszystkich co pływa — by przez kanał La Manche przetrzeć do ataku wojska.

Kaszubscy szyprowie nie mieli ochoty na udział w tej wojnie, lecz w drogę ruszyć musieli, pilnowani przez niemiecką eskortę z wiecznie pijanym Lachmundem na czele. Gorliwy SS-owiec spodziewał się orderu i awansu, miotał się, ponaglał, wbił szyprom do głów, że uczestniczą w wielkiej, historycznej misji. Na cały Bałtyk wył żołnierską piosenkę: „...denn wir fahren gegen England...”. Rychło jednak miał przekląć Kaszubów, inwazję i własny los. Ledwie flotyła wypłynęła z portu, zepsuły się silniki kutrów Franciszka Jeki, Pawła Boldy i Franciszka Neclę. Zaczęły dziać się rzeczy niepojęte. Wytrawni szyprowie sprawiali wrażenie, jakby po raz pierwszy znaleźli się na morzu. Nie umieli poradzić sobie z pogodą i nawigacją, wpadali na mielizny, nie potrafili naprawić silników. Czterdzieści kutrów błądziło po Bałtyku niczym stado pijanych kaczek. Wściekał się Lachmund, groził piekłem i Stutthofem. Bez skutku. W Lebie, dokąd zawinęli pod pretekstem przeciwnego sztormu, rozegrały się nowe wypadki. Rybacy udali się do miejscowego „Jommu” wczasowego, spili niemiecką kapelę przygrywającą do tańca i polecili jej zagrać „Jeszcze Polska nie zginęła...” Stanęli na baczności Polacy, a z nimi oszołomieni zdarzeniem letnicy niemieccy. „Przeklęta polska banda!” — ryczał beznadziejnie Lachmund...

—



Powłada Augustyn Necel: „To odznaczenie jest nie tylko dla mnie zaszczytem, lecz przede wszystkim danym na chwałę ludu kaszubskiego. Kaszubi zawsze walczyli o swój polski narodowy byt, bili się ze Szwedami, i Niemcami, i stulecia całe opierali się germanizacji. Nie pozwolili wy-

trzebić ani ducha polskiego, ani wiary ojców. To właśnie uhonorował Paweł VI”.

Komandorium Orderu Świętego Grzegorza, purpurowy krzyż na białoczerwonej wstędze, znalazł się nad polskim morzem, pod kaszubskim dachem. Jest to fakt wymowny: nadano odznaczenie panu Augustynowi za działalność społeczną i patriotyczną, za twórczość pisarską, zwłaszcza za książkę „Nie rzucim ziemi”, opisującą martyrologię księży katolickich i ich walkę z pruskimi i hitlerowskim uciskiem. Jeszcze jedno świadectwo uznania dla polskiego ludu.

Zachował pan Augustyn hitlerowskie tajne dokumenty, odnalezione po wojnie. Oslawiony Lachmund pisał do wyższych władz w swoich comiesięcznych raportach: Sierpień 1942 — „Rybacy, należący do trzeciej grupy narodowościowej — pomijając absolutnie sporadyczne wyjątki — nie są w żadnej mierze godni, by państwowym sprzętem nadal uprawiać rybołówstwo. Ludzie ci od czasu „eindeutschowania” (tj. przymusowego zaliczenia do trzeciej grupy narodowościowej — przyp. mój) zachowują się w sposób urągający wszelkim opisom. W całej okolicy panuje kaszubska mowa, używana często w wyzywającej formie. Wychoywanie tych ludzi w miejscu ich zamieszkania jest całkowicie bezsensowne. Wygląda tak, jakby była tutaj zagranica i nadal istniała dawna Polska...” Październik 1942 — „...z minionym rokiem z dnia na dzień rybacy stają się elementem coraz bardziej niepewnym. Charakterystyczny przykład stanowi tutaj nie „eindeutschowany” dotąd rybak Albert Dettlaff, Wielka Wieś, dzierżawca państwowego kutra „Gro 32”, który powiedział do rybaka Franza Geoga Hermanna: „Gdy się tylko zmienią, ty także zostaniesz powieszony...” Grudzień — „...niezbędnie koniecznym byłoby szybkie i surowe wkroczenie w sytuację. Podobnie jak wyjaśnienie niektórych przywódców — za pomocą pół roku Stutthofu — o co Niemcy walczą...”



— Język kaszubski jest dialektem języka polskiego — mówi pan Necel. — O wiele bardziej on zbliżony do polskiego języka literackiego niż na przykład bawarski do niemieckiego literackiego...

Wiele ze starego słownictwa kaszubskiego, zwłaszcza w powieściach historycznych Neclę, „Bliza” — to latarnia morska, „checz” — to chata, „detki” — pieniądze, „diachel” — diabeł, „fity” — żarty, „łzykwioł” — kwiecień, „nenska” — matka, „szargulec” — łobuz, „obdarciuch”, „pomuchel” — dorsz...

Literatura niemal bez fikcji, każdy z bohaterów, wszystkie realia i najdrobniejszy epizod są prawdziwe i znalazły opisanie takie, jakimi faktycznie były. Zjął lub żył ludzie o tych samych nazwiskach, pływali statki o tych samych nazwach, wydarzenia i rozmowy przebiegały tak, jak je oddał na kartach swoich książek. Soczysta autentyczność tego nadmorskiego eposu: huczały wiatry i ławice szły dokładnie tak, jak je opisuje. Dokładny, kronikarski ścisły jest obraz haratu i walki upartego ludu.

W ciągu dziesiątków lat zgromadził Augustyn Necel obfity, fascynujący bogaty materiał; wysłuchiwał legend, opowiadań przez starych rybaków i odrzebywał dzieje kaszubskich rodów, przypatrywał się życiu ludzi na dalekich kontynentach i pływał po oceanach na starych statkach, dowodzonych przez pijanych kapitanów. Znał przyjaźni komunistów, odczuł niemiecką pychę. Nade wszystko był rybakim. Pasja, z jaką tropił dzieje swojego ludu, szła w parze z inną: tropieniem życiodajnych ławic. Nigdy nie był obserwatorem zdarzeń. Zmagał się z burzliwym morzem i walczył z ludzkim wrogiem. W tragicznym wrześniu bił pod Warszawą hitlerowców jako ułan czwartego pułku strzelców a później, znowu na Kaszubach, nieraz uniknawszy śmierci cudem i żyjąc pod fałszywym nazwiskiem — w podziemiu kontynuuje walkę wśród swoich rybaków.

Necel — rybak zebrał surowiec dla Neclę-pisarza. Zgromadził materiał bogaty i autentyczny, głęboki i przesycony morałem; później — gdy siadł do pisania — surowe fakty złożyły się na filozoficzne uogólnienie. Zresztą późno siadł do pisania, gdy już wybił mu piąty krzyżyk. Dzisiaj, choć już siedemdziesiątki dobiega, kreśli dalsze, dojrzałe rozdziały wielkiej, kaszubskiej sagi.

Janusz BRYLIŃSKI

# PROSTO Z POLSKI

## ● Rekordowe tempo odbudowy Czechowic

Hasło: „Czechowice” jeszcze przed „kilkoma tygodniami” mobilizowało wszystkich, którzy mogli pomóc w akcji ratowania tej rafinerii, teraz jest zawołaniem tych, którzy biorą udział w jak najszybszym przywróceniu jej zdolności produkcyjnej. Już w pierwszych tygodniach zrobiono wiele, jeśli chodzi o usuwanie skutków tragicznego pożaru. Daje to podstawę do przypuszczeń, że wszystkie prace związane z odbudową zostaną wykonane w ciągu trzech miesięcy, choć w normalnych warunkach wymagałoby to co najmniej półtora roku.

## ● Odznaczenie papieskie dla polskiego archiwisty

Długoletni zasłużony pracownik archiwum i muzeum archidiecezjalnego w Poznaniu i działacz społeczny p. Tadeusz Strugarek odznaczony został ostatnio przez Ojca św. Pawła VI krzyżem „Bene Merenti”. P. Strugarek wręczył odznaczenie ks. arcybiskupa Antoniego Baraniaka, metropolita poznański.

## ● Do pracy misyjnej w Afryce

W kościele franciszkańsko-reformatorów w Krakowie odbyło się pożegnanie dwóch członków tego zakonu, udających się do pracy misyjnej w Afryce. O. Wiesław Szymczyk wyjeżdża do diecezji Kamina w Kongo (Kinszasza), zaś o. Bonifacy Kotrys do diecezji Dapango w Togo. Misjonarze odprawili mszę św. koncelebrowaną wraz z prowincjałem o. Czesławem Drzygiewiczem, który wręczył im krzyże misyjne.

## ● Harcerze pomagają w żniwach

Do pomocy żniwiarzom przylączyła się młodzież przebywająca na wakacjach, w tym również harcerze — uczestnicy setek obozów zlokalizowanych we wszystkich zakątkach naszego kraju. Podobnie jak w roku ubiegłym, kryptonimem harcerskiej pomocy rolnikom brzmi — operacja „Chleb”.

Na harcerską pomoc czekają zwłaszcza starsi rolnicy i osoby samotne, inwalidzi. Apel Głównej Kwatery ZHP wzywa do organizowania brygad pomocy żniwnej, do przeprowadzania przy żniwach — przez każdy obóz i zastęp przynajmniej jednego dnia.

## ● Sześciolatki idą do szkoły

Od nowego roku szkolnego w warszawskich szkołach powszechnych rozpocznie naukę 1200 sześciolatek.

Próby z wcześniejszym podjęciem nauki zapoczątkowała stolica, jako pierwsze miasto w kraju. Pierwsze przeprowadziła je jedna ze szkół na Pradze. Dziś dzieci te przeszły już do klasy piątej.

Eksperyment ma dać odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu 6-letnie dzieci są przygotowane do rozpoczęcia systematycznej nauki i czy są w stanie opanować przewidziany program materiał. Program był taki sam jak w klasach siedmioletnich. Okazało się, że nie ma zasadniczych różnic między tymi dwiema grupami uczniów.

Próby te wiąza się z projektem wcześniejszego rozpoczęcia nauki przez wszystkie dzieci w kraju.

## ● Nowa siedziba Biblioteki Narodowej

W przyszłym roku rozpocznie się budowa nowych gmachów Biblioteki Narodowej, które staną na Polu Mokotowskim w Warszawie. Jako pierwszy wzniesiony będzie gmach-magazyn, który pomieści 5 mln książek.

Tak więc, po blisko półwiekowej tułaczce, Biblioteka Narodowa otrzyma własną siedzibę, której nigdy dotąd nie miała. Jej zbiory zawsze były rozproszone, przechowywane „tymczasowo”, bez stałego adresu. Przed wojną nie zdołano nawet dokonać pełnej ewidencji posiadanych ksiąg. W latach powojennych księgozbiory uporządkowano, powstał katalog z prawdziwego zdarzenia, odszukano i sprowadzono część dzieł wywiezionych i zagrabionych.

Zespół biblioteczny, jaki budowany będzie na Polu Mokotowskim, zgromadzi w jednym miejscu wszystkie agendy największej narodowej księżnicy, w siedzibie nowoczesnej i przestronnej. Wzno-

## ● Propozycja odbudowy Zamku Ujazdowskiego

Wychodzący w Warszawie a przeznaczony dla mieszkańców Mazowsza mieszczyk „Barwy” wystąpił z propozycją odbudowy Zamku Ujazdowskiego i przeznaczania go na siedzibę Mazowieckiego Centrum Kultury. Historia Zamku — piszą „Barwy” — jest ściśle związane z historią Mazowsza, a jego położenie w eksponowanym fragmencie stolicy — w Parku Ujazdowskim — w pobliżu będącej już w budowie Trasy Łazienkowskiej stanowić będzie jej ozdobę. Mieszkańcy województwa chcą przeciwstawić w Warszawie swoją regionalną stolicę.

wione zostały prace dokumentacyjno-projektowe I etapu budowy, kierowane przez autora projektu inż. arch. S. Fijałkowskiego. Magazyn liczyć będzie 10 kondygnacji, a jego kubatura wyniesie 54,5 tys. metrów sześć. obok — przewidziano lokalizację, w dalszych latach, bliźniaczego budynku magazynowego.

## ● Obrabiarki z Kuźni Raciborskiej

Obrabiarki „Rafametu” kupowane są przez Francję, Japonię, NRF, Anglię, kraje skandynawskie. Rodzina nowoczesnych maszyn z Kuźni Raciborskiej powiększyła się ostatnio o cztery nowe typy obrabiarek.

Patenty zastosowane w tegorocznej produkcji pozwoliły zmniejszyć ciężar obrabiarek przy równoczesnym wzroście ich mocy i zwiększeniu stopnia automatyzacji. Np. karuzelówkę KCG-320 wyposażono w scentralizowane sterowanie, dające możliwość toższenia i kopiowania. Uruchamia się produkcję karuzelówek uniwersalnych ze sterowaniem programowym.

Osiągnięciem w unowocześnieniu konstrukcji towarzyszy zwiększenie tempa produkcji — ważnego czynnika ułatwiającego wygrywanie międzynarodowych przetargów, na których liczy się nie tylko jakość, lecz i terminy dostaw. Spośród każdego 5 obrabiarek zbudowanych w „Rafamecie” 4 idą na eksport, który objął już ponad 40 krajów.

## ● Dzieła zebrane Norwida i Szelburg-Zarembiny

Przypadająca we wrześniu 150 rocznicę urodzin Cypriana Kamila Norwida, obchodzoną pod protektoratem Światowej Rady Pokoju, w

## Pierwsze pięcioraczki były z Polski!

Pisaliśmy przed kilkoma tygodniami, że urodzenie gdańskich pięcioraczków było pierwszym tego rodzaju wydarzeniem w Europie. Okazało się, że chociaż pierwszeństwo należy do Polski, to jednak pierwsze pięcioraczki urodziły się 13 stycznia 1900 r. Dzieło się to we wsi Turówek, położonej kilkanaście kilometrów na północ od Mławy. Potwierdza to wyciąg z Księgi Urodzonych Rzymko - Katolickiej Parafii Wiecznia. Pięcioraczkom nadano imiona: Jan, Adam, Ewa, Stanisław i Antoni. Niestety, żyły one tylko kilka tygodni.

A co z gdańskimi pięcioraczkami? Mają one już prawie trzy miesiące i czują się doskonale pod troskliwą opieką lekarską. Z całego kraju i od Polonii zagranicznej płyną dla nich prezenty. Rodzice, pp. Rychertowie otrzymali nowe mieszkanie w willi położonej w pobliżu Kliniki Położniczej w Gdańsku.

Kraju uczy się pełną edycją jego dzieł. Po raz pierwszy wydane „Pisma wszystkie” będą się składały z 11 tomów, do których wyboru tekstów dokonał, a także wstępem i komentarzem je opatrzył Juliusz W. Gomulicki. „Pisma wybrane” zawierają wiersze, dramaty, prozę, poematy, listy Norwida, a także ok. 250 ilustracji. Wydawnictwo to ukaże się w nakładzie 12.500 egzemplarzy.

W przyszłym zaś roku przypada 50-lecie pracy twórczej Ewy Szelburg-Zarembiny, która pochodzi z Lubelszczyzny i od lat związana jest z tym regionem kraju. W związku z tym Wydawnictwo Lubelskie podjęło się wydania dzieł zebranych tej znanej i cenionej pisarki. 6 tomów ukaże się jeszcze w tym roku, a pozostałe 5 — w roku przyszłym.

## Jednym ZDANIEM

● Dwie warszawskie popołudniówki rozpoczęły drukowanie niezwykle popularnej w okresie międzywojennym powieści Heleny Mniszkówny pt. „Trędowata”.

● W kolejnej telewizyjnej „Trybunie Obywatelskiej” odpowiada na bezpośrednie pytania telewidzów, głównie rolników, sekretarz Komitetu Centralnego partii Kazimierz Barcikowski.

● Od 15 lipca koszty wycieczek zagranicznych można opłacać na raty.

● Odbyły się uroczystości z okazji 560-lecia kościoła parafialnego pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny na Nowym Mieście, najstarszej świątyni w Warszawie.

## TYGODNIOWA GAWĘDA

- ▲ Wczasy, wczasy
- ▲ Cuda parków narodowych
- ▲ Urlop dla... niepalących

Dla Francuza czy Anglika — opowiadają w Polsce — urlop w Hiszpanii jest tani. Dla Polaka — nie. Wycieczki, organizowane przez biura podróży na Zachód, są prawdę mówiąc, drogie, i tylko niewielka część urlopowiczów może sobie na nie pozwolić. Wchodzą tu w grę też sprawy dewizowe, jak wiadomo, z zachodnimi dewizami w Polsce krucho. Łatwiej już jechać do „kadeelów”<sup>\*</sup>, zwabiszca wielu ludzi w tym roku wybiera lub wybrało się na Węgry (chyba z pół miliona), do Bułgarii, NRD czy Rumunii, gdyż skończyły się ograniczenia dewizowe, i Polak wyjeżdżający do tych krajów nie musi już obliczać, czy mu starczy jeszcze na filiżankę kawy.

Najwięcej ludzi wybrało się jednak na wczasy, jak zawsze, w Polskę. Wszelkimi chyba środkami lokomocji poza helikopterem. Prawda, nie wszędzie wczasowicz napotyka na dobre warunki odpoczynku, tzw. baza hotelowa pozostawia jeszcze wiele do życzenia, ale jest lepiej niż było. A poza tym — „piękna nasza Polska cała!” Gdzież na Zachodzie da się tak odpocząć na niefalszowanym tonie przyrody, jak w Polsce, gdzie takie jeziora i lasy, gdzie takie mchy i grzyby, trasy nie zatłoczone, nie zasmrodzone spalinami, nie rozwrzeszczane rozbawionym tłumem i wyciem transzystorów.

Coprawa, w najmłodniejszych od lat miejscowościach, w Sopocie czy Zakopanem tłok nadal nieprawdopodobny — na nieuleczalnych, a zwłaszcza na nieuleczalnych snobki nie ma rady: wolać jak śledzie w beczce gnieść się na sopockiej plaży czy też szukać wolnego stolika w zakopiańskiej kawiarni, ale znakomita większość wczasowiczów i turystów woli uciec, „nie uczesana” przyrodę. I owszem — morze, ale nie zatłoczone, i owszem — góry, ale dostojne i ciche. A poza tym lasy i jeziora, rzeki i rezerваты. A propos rezerwatów: zapadła decyzja utworzenia w części Bieszczadów parku narodowego. Będzie to już dwunasty park narodowy w Polsce. Największy z nich jest park Kampinoski (40.000 ha), a drugi z kolei — tatrzański niemal o połowę mniejszy. W parkach narodowych, jak nigdzie, zachowana jest przyroda w „stanie czystym” —

to istne cuda, których gdzie indziej nie zobaczy się. Namawiam Was gorąco, moi Mili, jeśli traficie na wycieczkę do Polski, nie zapomnijcie o parkach narodowych, chociażby o takim malutkim (1.440 ha) Ojcowskim ze wspinałymi i różnorodnym drzewostanem i tajemniczymi, pięknymi jaskiniami, warto to obejrzeć.

Oblicza się, że w ruchu turystycznym uczestniczy rocznie 60 milionów osób, czyli każdy mieszkaniec kraju (wliczając w to ludność wioską, niemowlęta i starców) dwa razy do roku „wypuszcza się”, choćby na krótko, na zwiedzanie. Oczywiście wliczone tu są również krótkotrwałe wycieczki, nie urlopowe, lecz weekendowe. Mieszkaniec stolicy może naprzykład zdobyć cenioną odznakę miłośnika Puszczy Kampinoskiej, wybierając się na pięszą piękną wędrowkę 21-kilometrową do podchodzącej „pod gardło” stolicy puszczy. Dla „nocnych turystów” PTTK organizuje dwudniowe wycieczki, z których korzysta przede wszystkim młodzież. Inni preferują tradycyjne wycieczki rowerowe.

Poza „normalnymi” wczasami ostatnio w modę weszły wczasy „specjalistyczne”. Na przykład: językowe. Ludzie, uczący się obcego języka, spędzają z sobą i z wykładowcą dwa tygodnie, rozmawiając wyłącznie po francusku, rosyjsku, angielsku czy niemiecku. „Specjalizacja wczasowa” idzie jeszcze dalej: oto próbuje się obecnie organizować „wczasy odwykowe” dla osób, pragnących się oduczyć palenia. Inicjatorem jest redakcja warszawskiego dziennika „Życie Warszawy”. Wczasy te pomyślane są — pisze gazeta — jako forma spędzenia normalnego urlopu. Zostaną tam po prostu stworzone warunki (atmosfera, dobór zajęć, dieta, opieka lekarska) ułatwiające wywołanie się ze szkodliwego i uciążliwego nawyku.

No cóż? Można i tak. Ja, Mili, ruszam starym obyczajem w Tatry, to też namyk, tyle, że nie szkodliwy, a na odwrót. Stamtąd wkrótce do Was napiszę.

MARIAN

\* Tak w gwarze turystycznej w skrócie określa się kraje demokracji ludowej.



...Inspiratorem i organizatorem cesarskiego romansu był Talleyrand...

MARIAN BRANDYS

# KŁOPOTY Z PANIĄ WALEWSKĄ



Nieznaný portret szambelanowej Walewskiej, późniejszej hrabiny d'Ornano

Książka znanego pisarza krajowego Mariana Brandysa dotycząca nieślubnej żony Napoleona I — Marii Walewskiej, pod tytułem „Kłopoty z Panią Walewską”, doczekała się już drugiego wydania, które szybko znika z półek księgarskich. Autor, w sposób niezwykle dociekliwy, przedstawia w niej kulisy tego związku w oparciu o zebrane a w wielu wypadkach po raz pierwszy ogłoszone dokumenty, oraz publikacje zarówno polskie, jak i francuskie. Prostuje on w swym dziele również fałszywe dotyczące Marii Walewskiej, usiłując dotrzeć, ile prawdy mieści się w legendach o tej kobiecie, a przede wszystkim, jakie było podłoże jej stosunku do cesarza: miłość czy też patriotyzm podyktowany chęcią służenia ojczyźnie.

Marian Brandys podjął także próbę odszukania grobu Walewskiej, z domu Łączyńskiej, a po drugim mężu hr. d'Ornano, wiadomo bowiem, że po śmierci przewieziono jej zwłoki do Polski i pochowano na wsi pod Łowiczem, serce jedynie pozostawiając na paryskim cmentarzu Père Lachaise. Dokładnego miejsca grobu Walewskiej nie udało się mu jednak ustalić.

Warto tu przypomnieć, że ze związku Napoleona z panią Walewską pochodził syn A.F.J. Walewski-Colonna, który był ministrem spraw zagranicznych Francji. Poniżej drukujemy jeden z rozdziałów „Kłopotów z Panią Walewską” (Red.).

Z drukowanych źródeł zdaje się wynikać ponad wszelką wątpliwość, iż inspiratorem i organizatorem cesarskiego romansu był Talleyrand. Tylko nieliczni kronikarze przypisują główną zasługę styczniowskiemu marszałkowi Murat, którego adiutantem był młody Flihaud — bohater „błotnej przygody” w Walewi-

cach. Nad techniczną realizacją scenariusza miłosnego czuwał generał Durroc, napoleoński „oficer do zleceń intymnych”. Bezpośredni wpływ na Walewską wywierały jej dwie przyjaciółki: „osiwiała w rajfurstwie” i chętnie wysługująca się Talleyrandowi pani de Vauban oraz jej zaufana pupilka, Emilia (Elżbieta) Cichočka, „blondynka z miną anioła, której życie było jednym ciągiem miłosnych awantur”. Sądzę, że ta doświadczona ekipa — przy energicznym poparciu ze strony młodych Łączyńskich i całkowicie b.ernym stanowisku sędziwego Walewskiego — wystarczała w zupełności do przełamania oporów dwudziestoletniej szambelanowej.

Ale w oświetleniu Massona i Ornano, jedynych interpretatorów wspomnień Walewskiej, jej „swatanie” z Napoleonem wygląda zupełnie inaczej. Obyczajowy melodramat rośnie w narodową tragedię. W rolach „swatów” pojawiają się czołowe osobistości napoleońskiej Polski. Przekonamy się jednak wkrótce ze wyznania szambelanowej wzbudzają wiele (uzasadnionych) zastrzeżeń.

Walewska prezentuje swój romans jako sprawę par excellence polityczną. Twierdzi, że uległa Napoleonowi pod naciskiem próśb i patriotycznych perswazji ze strony naczelnych władz warszawskich. Według niej całą intrygą od pierwszej chwili kierował książę Józef Poniatowski. On to, rzekomo, przyniósł jej pierwszy list od Napoleona, on — na balu w pałacu Pod Blachą — usiłował zorganizować jej pierwsze zbliżenie z cesarzem. Kiedy indywidualne starania księżniczki okazały się bezskuteczne, odbyło się z jego inicjatywą specjalne posiedzenie rządu, na którym omawiano środki mające przełamać jej opór. Przebieg tego posiedzenia rządowego wygląda w relacji Walewskiej dość osobliwie. Jeden z ministrów proponował podobno, żeby ją po prostu porwać i „związaną, z zakneblowanymi ustami dostarczyć do sypialni Napoleona” (Tak pisze Ornano). Ostatecznie zwyciężył jednak wniosek Poniatowskiego, aby się odwołać do jej patriotyzmu. Zgodnie z tym wnioskiem książę Hugo Kollataj opracował błagalny apel na piśmie, który podpisali wszyscy członkowie rządu. Następnego dnia Poniatowski i Kollataj doręczyli jej ten dokument osobiście. Dopiero pod presją rządowej delegacji zgodziła się po raz pierwszy pojechać na Zamek.

Tę właśnie scenę doręczenia Walewskiej memoriału rządowego niezwykle sugestywnie przedstawia w swej książce hr. Ornano.

Scena rozgrywała się w warszawskiej rezydencji Walewskich. Maria jest jeszcze przy śniadaniu, kiedy pojawiają się bez zapowiedzenia: Poniatowski i Kollataj jako wysłannicy Rządu Tymczasowego. Poniatowski informuje Walewską o trudnej sytuacji polityczno-strategicznej:

„...Cesarz waha się, czy prowadzić

dalej tę długą, krwawą i wątpliwą w skutkach kampanię. Co się stanie z nami jeśli Napoleon wycofa się z walki z wrogami Polski? Rosjanie i Prusacy z powrotem zagarną nasz nieśczęśliwy kraj, niosąc mu nędzę i zamstę”.

Walewska nie chce wierzyć, że Napoleon mógłby porzucić Polskę na pastwę losu.

— Mówię pani, czego dowiedziałem się od cesarza — odpowiedział gwałtownie Poniatowski. — Pani postępowanie wobec jego cesarskiej mości nie jest takie, jakiego oczekiwaliśmy od pani. Być może, iż dla pani Napoleon okaże się pożałowywany, niestety, nie jest on tak łaskawy dla całego narodu. I jeśli rozwój sytuacji skłoni go do wycofania się z naszego kraju i przeniesienia wojny gdzie indziej, nie będziemy mogli mieć do niego żadnej pretensji. Czyż nie tak, panie podkanclerzy?

— Jestem tego samego zdania, wasza wysokość — odrzekł Kollataj.

— ...Hrabino — mówił dalej Poniatowski — na ostatnim posiedzeniu gabinetu postanowiono zwrócić się do pani z oficjalnym apelem. Ktoś, ciesząc się naszym zaufaniem, musi koniecznie znaleźć się przy jego cesarskiej mości... ktoś, przyja obecność sprawi mu przyjemność. Proszę mi wierzyć, hrabino, gruntowne zbadanie sytuacji zapewniło nas, że ambasadorem, którego tak bardzo nam potrzeba, powinna być kobieta.

— Niestety, nie mam kwalifikacji na tak wysokie stanowisko — odparła Maria. — Żądacie ode mnie po prostu, abym poszła do mężczyzny?

— Do cesarza, hrabino!

— Ale również do mężczyzny!

— Mario, musisz iść do tego mężczyzny! To nie my, lecz cała Polska żąda tego od pani! Odwołuję się do pani patriotyzmu!

— Zapomnieliście, że mam męża?

— Czy aby pani nie przesadza? — przerwał gniewnie Poniatowski. — Wiem wszystko o pani młodości i o przyczynach pani niedobranego małżeństwa! Przypuśćmy, że pani piękność i wdzięk do tego stopnia oczarowały cesarza, że chciałby, aby pani została jego... powiedzmy... przyjaciółką... Czy byłoby to tak straszne? Cesarz ma wszystko, czego pragnąć może serce kobiety: potęgę, sławę, atrakcyjność. Jest jeszcze młody i uczyni wiele dla kobiety, która kocha. Czy jest pani aż tak szczęśliwa, że podobne rzeczy nic dla pani nie znaczą?... Dlaczego pan nic nie mówi? — wykrzyknął niecierpliwie, zwracając się do Kollataja. — Jeśli dobrze pamiętam, to na ostatnim posiedzeniu gabinetu wspominał pan o wielce cnotliwej niewieście, która stłumiła najgłębsze swe instynkty i wstąpiła do monarchy, aby uratować swój naród od niewoli.

— To prawda, wasza wysokość — odrzekł Kollataj — i chociaż osobi-

ście wolałbym aby hrabinie Walewskiej pozostawiono czas na powzięcie samodzielnej decyzji, muszę stwierdzić, że jej powinność wydaje mi się jasna i oczywista. Napoleon jest mężczyzną, hrabino, ale jest także naszym panem, a twoim niewolnikiem...

— ...Mam więc rozumieć, panowie, że przysłicie po to aby powierzyć mi zaszczytne stanowisko metresy cesarza?

Podkanclerzy skrzywił się i poruszył wargami, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale szarmancki książę go wyprzedził:

— Nic podobnego, nic podobnego, hrabino, mówiłem o stanowisku ambasadora!

Zbliżył się do niej i ojcowskim gestem ujął jej dłoń w swoje. Mówił dalej tonem o wiele łagodniejszym:

— Obawiasz się o swoją reputację, dziecko? Będę jej strzegł. Cała Polska strzec będzie twojej reputacji. Twoi rodacy widzieć będą jedynie twój patriotyzm i brak egoizmu. W ich oczach będziesz nie metresą Napoleona, lecz zbawczynią ojczyzny. A w oczach tych którzy wiedzą, będziesz jego polską żoną, kiedyś może cesarową?

Po tej rozmowie delegacji wręczyli Marii pismo rządu następującej treści:

„Pani! Małe przyczyny wywołują często wielkie skutki. Kobiety zawsze wywierały przemożny wpływ na politykę świata. Historia od czasów najdawniejszych do nowożytnych potwierdza tę prawdę. Dopóki namiętności panują nad ludźmi, wy, kobiety, będziecie jedną z najstraszliwszych potęg.

Będąc mężczyzną ofiarowałaby Pani swe życie godnej i słusznej sprawie Ojczyzny. Będąc kobietą, nie może jej Pani służyć w ten sposób. Pani natura na to nie pozwala. Ale istnieją inne rodzaje ofiar, na które stać Panią i które powinna Pani sobie narzucić gdyby nawet były przykre.

Czy Pani sądzi, że Estera oddała się Assuerosowi (Ahaszwerosowi) z miłości? Czyż przerażenie, jakim ją napłynął do tego stopnia, że padła zemdlona na jego widok, nie dowodzi, że uczucie było obce temu związkowi? Estera poświęciła się, aby ratować swój naród i uzyskała sławę dzięki temu że go uratowała. Obyśmy mogli powiedzieć to samo na chwałę Pani i na nasze szczęście.

Czyż nie jesteś, o Pani, córką, matką, siostrą i małżonką gorliwych Polaków, czyż nie tworzysz wraz z nimi szczerpu narodu, którego siła wzrasta dzięki liczbie i zjednoczeniu jego członków? Pamiętaj, co powiedział sławny człowiek święty i pobożny duchowny Fénelon: Mężowie, dzierżący władzę publiczną, nie osiągną swymi postanowieniami żadnego dobrego skutku, jeśli kobiety im nie dopomogą. Posłuchaj, o Pani, tego głosu, który przyłącza się do naszego, abyś potem mogła się cieszyć szczęściem dwudziestu milionów ludzi.”

DALSZY CIĄG NA STR. 13



Książę Józef Poniatowski — jemu Ornano przypisuje główną rolę w nakłonieniu M. Walewskiej do romansu z Napoleonem, co wg źródeł jest wątpliwe

Urna z sercem Marii Walewskiej na cmentarzu Père Lachaise w Paryżu





# EMAUS



**W**YDAWAŁO mi się, że o mieście „żywych kamieni”, Krakowie, wiem dużo — no, przynajmniej tyle, ile powinien wiedzieć każdy Polak. Zdarzyło się jednak, że zadano mi pytanie: — A o krakowskim „Emausie”, co wiesz młody człowieku?!

Nic, niestety nie wiedziałem.

Pan Piotr Czapik, to krakus z „krwi i kości”, dziś na emeryturze, niegdyś wychowawca, pedagog znający również dobrze młodziź, jak i historię miasta, z którym związał życie. O wawelskim zamku potrafi gawędzić godzinami, bo też zna go jak rzadko kto, a jeśli do tego może po nim oprowadzać, dopiero wtedy widać, jaki jest dumny i szczęśliwy.

Właśnie pan Czapik zadał mi podchwytliwe pytanie, a że nie potrafiłem na nie odpowiedzieć, zabrał się tedy do opowieści i na zakończenie dodał:

— Pamiętaj — „Emaus” musisz zobaczyć!

\*\*\*

Na zachód od Starego Miasta, w drodze na Kopiec Kościuszki przejeżdża się przez Zwierzyniec — jedną z najstarszych dzielnic Krakowa. Osada Półwsie Zwierzynieckie spotykana jest w dokumentach już z XII w., a wykopaliska prowadzone w tej okolicy odkrywają ślady obozowisk łowców mamutów. U zbiegu dwu rzek, Wisły i Rudawy, na wzniesieniu jurajskim stoją kościół i klasztor P.P. Norbertanek — fundacja Jaksy Gryfity z Miechowa z połowy XII w.

W Wiśle u stóp klasztoru kryje się wyspa ostrygowa. Przy niskich stanach wody można zbierać skamieniałe ostrygi.

Na stokach pobliskiego wzgórza stoi jeden z najstarszych zabytków



## KŁOPOTY z PANIĄ WALEWSKĄ

Dalszy ciąg ze str. 11

Tak oto wyglądało namawianie Walewskiej do romansu z Napoleonem według jej własnej relacji, przekazanej nam za pośrednictwem jej rodzonnego prawnuka.

Książka hrabiego Ornano ma wprawdzie formę powieści, lecz autor we wstępie zapewnia, że rozmowy i zdarzenia w niej zawarte zostały ściśle odtworzone na podstawie odręcznych notatek jego prababki. Zresztą „zbeletryzowany” przekaz Ornano we wszystkich punktach zasadniczych zgadza się z „naukowym” przekazem Massona.

A więc teza Walewskiej, ujmując rzecz krótko i brutalnie, brzmi tak: władze warszawskie z księciem Józefem na czele postawiły ją wobec alternatywy: albo położy się do łóżka z Napoleonem, zapewniając w ten sposób wolność i szczęśliwą przyszłość narodowi polskiemu, albo Napoleon zemści się na Polsce i wycofa się z wojny z mocarstwami zaborczymi.

Ale teza ta, powtarzana do dziś we wszystkich francuskich biografach Walewskiej, wzbudza poważne wątpliwości, zwłaszcza, że błędy rzeczowe w przekazie rodzinnego biografy wskazują na to, iż naszej Danae spod Łowicza musiało się coś we wspomnieniach pokręcić.

Na przykład: skąd bierze się w tej sprawie Kołłątaj? Walewska wyznacza mu w genezie swego romansu rolę dość zasadniczą. On redaguje rządowy memoriał, on obok księcia Józefa Poniatowskiego nawamia ją najgorliwiej do związania się z Napoleonem. Ale to wszystko nieprawda. Kołłątaj nie należał nigdy do władz napoleońskiej Polski, a w owym czasie nie było go w ogóle w Warszawie. Po zwolnieniu z więzienia austriackiego rezydował stale na Wołyniu pod czujnym nadzorem policji carskiej, a w styczniu 1807 roku odbywał właśnie przymusową podróż do Moskwy. Na terenie Księstwa Warszawskiego pojawił się dopiero w roku 1810.

Ten jaskrawy błąd (albo rozmyślny fałsz) w tak istotnym szczególe podważa prawdziwość całej relacji. Bo jeśli Walewska wymyśliła udział w swej sprawie Kołłątaja, to mogła również wymyślić udział księcia Józefa, a także ów osławiony memoriał „podpisany przez wszystkich członków rządu”. Możliwość takiej mistyfikacji wydaje mi się o wiele prawdopodobniejsza niż oficjalny udział rządu warszawskiego w stręczeniu kochanki Napoleonowi.

Bardzo być może, iż z miłością Napoleona do Polki istotnie wiązano początkowo pewne nadzieje polityczne. Bardzo być może, iż opór szambelanowej rzeczywistości przełamano szantażem patriotycznym. Ale trudno uwierzyć, że wyglądało to właśnie tak, jak w relacji Walewskiej, przekazanej nam przez Ornano i (z drobnymi odmiennościami) przez Massona.

Ustalenia Walewskiej mogły być przyjęte z najlepszą wiarą przez francuskich interpretatorów jej pamiętników, natomiast przez biografę polskiego musza być potraktowane nieufnie i podejrzliwie. Przede wszystkim dlatego, że inny był stosunek do faworyt monarchów we Francji, a inny w Polsce. We Francji — zgodnie z wielowiekową tradycją — faworyta króla była uznana instytucją polityczną. Kochanka Ludwika XV, pani de Pompadour, obalała rządy, przyjmowała obcych ambasadorów, wydawała rozkazy dowódcy armii, prowadziła pertraktacje z monarchami Europy. U jej następczyni, pani Dubarry, wyczekiwali w antyszambrah ministrowie i biskupi a koronowani goście zagraniczni dworu wersalskiego uważali za swój obowiązek składanie jej wizyt kurtuazyjnych.

W Polsce sprawy te wyglądały inaczej. Faworyta monarchy była jego prywatną słabością, wstydliwie ukrywana przed światem. Nie wywierała wpływu na życie polityczne i nie występowała oficjalnie. Chętnie korzystano z jej protekcji, ale czyniono to dyskretnie, tak jak się korzysta z protekcji zaufanego lokaja. Jeśli przyjmowano ją w towarzystwie, to jedynie jako czyjaś legalną małżonkę, jej intymne stosunki z monarchą pozostawały umowną tajemnicą. Nawet słynna pani Grabowska, wieloletnia konkubina Stanisława Augusta, której dzieci zrodzone z królewskiego związku wychowywały się na Zamku, do końca zapisywała je wszystkie na rachunek biednego generała Grabowskiego. Faworyty, nie chronione pozorami legalizmu, uważano powszechnie za zwykłe nierządnicę. Była to głęboko zakorzeniona tradycja. Czytelnicy mojej książki „Nieznany książę Poniatowski” pamiętają, jak ostro poczynał sobie w Wersalu z potężną panią Dubarry młody książę Stanisław.

Dlatego wydaje mi się mało prawdopodobne, aby najbardziej eksponowani członkowie rządu warszawskiego i rząd, jako całość, mogli się oficjalnie mieszać do napoleońskich amarów. Zresztą relacja Walewskiej na ten temat jest niekonsekwentna i roi się od zagadek. Opierając się na „zapiskach” prababki Ornano prezentuje jako „swatów” Poniatowskiego i Kołłątaja, natomiast Masson, korzystający z „pamiętników” Marii Walewskiej, przydaje Poniatowskiemu na współnika nie wymienionego z nazwiska „najstarszego, najbardziej szanowanego i darzonego największym posłuchem szefa rządu”, a więc raczej Stanisława Małachowskiego niż Kołłątaja. Odmienne też opisują dwaj interpretatorzy wspomnień Walewskiej przebieg jej spotkania z członkami rządu oraz sposób doręczenia memoriału rządowego. Sama treść memoriału jest w obu wersjach identyczna. Ale i to nie uwalnia od wątpliwości. Bo ta pompa, a zarazem nieporadna epistoła sprawia wrażenie dziwnie niepolitycznej. O autorstwo jej przed jej można by posądzać egzaltowaną i romansową czytelniczkę filozofów francuskich, panią de Vauban, niż któregośkolwiek z ministrów warszawskich. I jeszcze jedna trudna do rozwiązania zagadka: Masson i Ornano zgodnie stwierdzają, że pierwsze warszawskie spotkanie z Napoleonem zorganizował książę Józef na specjalnie w tym celu wydanym balu, w swoim pałacyku Pod Blachą; aliści prasa i kroniki towarzyskie owego czasu świadczą niezbicie, że w styczniu 1807 roku żadnego balu u księcia Józefa nie było. Podobnie wygląda sprawa z doręczeniem pierwszego listu. Ze wspomnień Constanta i z treści listów wynika, że doręczał je zaufany przyjaciel Napoleona, generał Duroc. Stosunek cesarza do Poniatowskiego był jeszcze wtedy tak chłodny i oficjalny, że nie mogło być mowy o używaniu go do tego rodzaju intymnych poruczeń.

Po przebrnięciu przez ten gąszcz zagadek i nieścisłości traci się ostatecznie zaufanie do ustaleń Walewskiej. W tej części swych „pamiętników” i „zapisek” piękna szambelanova musiała sporo nabeletryzować. Imponująca konstrukcja „narodowego dramatu” wali się w gruzy. Znikają Kołłątaj, Poniatowski, Małachowski i cały rząd. Na planie pozostają tylko dwie damy — hrabina de Vauban i pani Cichocka. Ich udział w nakłanianiu polskiej Danae do poddania się operacji złotego deszczu jest niewątpliwy. Potwierdzają go Masson i Ornano, pamiętnikarze polscy i francuscy, potwierdza go także Walewska, wskazując w liście do matki na te dwie przyjaciółki, jako na główne sprawczynie swej kapitulacji.

Kto był reżyserem owych pierwszoplanowych aktorek, kto z góry kierował całą grą — tego nie dowiemy się już nigdy. Naprawdę prawdopodobnie nie wiedziała tego i sama Walewska. Możliwe jest natomiast, że dwie panie spod Blachy, odwołując się do uczuć patriotyzmu opornej przyjaciółki, wmawiały w nią, że działają z polecenia księcia Józefa i innych wysokich autorytetów politycznych. Możliwe, że to one wymyśliły dla niej ową posiedzenie gabinetu. Możliwe nawet, że podsunęły jej anonimowe, ad hoc spreparowane pismo, przedstawiając je jako memoriał rządu i uzupełniając je ustnie nazwiskami jego rzekomych sygnatariuszy. Może później — już po swej „kapitulacji” — Walewska przejrzała fałszywą grę przyjaciółek i właśnie wtedy napisała o nich w liście do matki: „Nie chcę ich więcej znać... zdradziły mnie”.

Ale jeszcze później, po latach — kiedy zasiadała do porządkowania wspomnień, które miały oczach drugiego męża i synów usprawiedliwić jej romans z cesarzem — mogła fałszywą grę uznać za rzeczywistość. Mogła z takim samym talentem beletrystycznym, jaki odziedziczyła po niej prawnik, przekształcić urojenia i domysły w realne osoby i w realne fakty.

Trudno by było mieć do niej o to specjalną pretensję. Uległa Napoleonowi z pobudek emocjonalnych, w głębokim przekonaniu, że składa ofiarę na ołtarzu ojczyzny. Mogła więc pragnąć, aby jej najbliżsi ujrzeni tę ofiarę w oprawie najgodniejszej i najbardziej przekonującej. Sprostowań nie musiała się obawiać. W czasie gdy dyktowała swe pamiętniki — sławni Polacy, których wybrała na protagonistów swego dramatu, już nie żyli.

ków krakowskiego budownictwa — kościół Św. Salwatora, wzniesiony w X w.

W tym historycznym uroczysku raz w roku, w drugi dzień Świąt Wielkanocnych odbywa się odpust, festyn, zabawa ludowa.

Kiedy i jak się to zaczęło — trudno ustalić. Najprawdopodobniej tradycja ta wywodzi się z czasów pogańskich, z czasem zmieniła się w kościelny odpust, a ten z kolei przetrwał do dziś, nabierając bardziej świeckiego charakteru. Krakowianie mówią po prostu: „chodźmy na Emaus”! Nazwa „Emaus” pożyczona jest z ewangelii. W Poniedziałek Wielkanocny dwaj uczniowie Chrystusa Łukasz i Kleofas szli do Emaus, miasteczka leżącego blisko Jerozolimy i w drodze spotkali swego

mistrza. Festyn odbywa się w rocznicę tamtej wędrówki.

Wzdłuż ulicy Kościuszki wyrasta na ten dzień miasteczko straganów. Wirują karuzele. W „gabinecie śmiechu” krzywe lustra potrafią rozbawić największych ponuraków. No i oczywiście, co raz w tłumie wybucha krzyk i panika, ktoś oblewa wodą — wszak to śmigus dyngus! Wystarczy harmonia i bębenek — już jest orkiestra. Gra ich tu kilka, głośno, wrzaskliwie, zagłuszając muzykę z megafonów i odbiorników tranzystorowych.

A tłum przelewa się ulicą i wśród straganów, porywając z sobą gipsowe lwy, piernikowe serca, kapiszonowe pistolety...

**Tekst i zdjęcia:  
Donat ZATOŃSKI**



## TAJEMNICZE HANDLOWE AWANTURNICZE

# PODRÓŻE LUDZKOŚCI



Tak sobie wyobrażano lądowanie Kolumba w Ameryce: pokorni Indianie niosą dary — żeglarze wbijają znak krzyża w ziemię Ameryki. W istocie sprawy wyglądały zupełnie inaczej

sissippi dopłynąć do miejsca, gdzie w 1886 r. znaleziono ów tajemniczy kamień.

### Odkrycie tajemniczego plemienia

Samo znalezisko także nie wystarczy do dowodu istnienia kolonii starożytnych Żydów — plemienia Judy w Ameryce Północnej. Kamień mogła bowiem przywieźć znacznie później, już po odkryciu Ameryki przez Kolumba — grupa emigrantów żydowskich i zakopując go w kurhanie wziąć kraj w symboliczne posiadanie, jako nową Ziemię Obiecaną.

Taka wersja byłaby prawdopodobna. Sensacyjne jednak jest to, że w stanie Tennessee już od stuleci żyje w górach na wschodzie tego stanu lud zwany po angielsku Melungeons. Nazwa pochodzi z francuskiego „mélange” czyli określa tę liczącą kilkaset osób grupę etniczną jako mieszaniczą. Wypada zaznaczyć, że początkowo ta część Ameryki Pn. należała do Francji.

Istnienie tajemniczego ludu między różnymi szczepami indiańskimi tłumaczono dotąd, że są to potomkowie rozbitków portugalskich z początku XVII w., którzy osiedliwszy się w tym rejonie — założyli z indiańskimi kobietami rodziny. Inna wersja dowodziła, że lud pochodzi z mieszanki indyjskich squaw i żołnierzy

conquistadora hiszpańskiego Hernando de Soto, który szukał złota i przygód i nigdy nie wrócił do bazy wyjściowej, znajdując się w 1539 roku na Florydzie. Jeszcze inni uczeni amerykańscy przypuszczali, że jest to jakiś spóźniony szczerp indiański, który przywędrował z Azji i nie zmieszał się z dawnymi przybyszami, dzięki temu zachował jaśniejszą skórę.

Dopiero niedawno, w ostatnich latach, pozwolili Melungeons na naukowe badania swej kultury i legend. Okazało się wówczas, że w baśniach i pieśniach tego ludu tkwi opowieść o wyprawie, która przebyła szczęśliwie ocean z półwyspu iberyjskiego. Czy na fenickich okrętach, kupionych lub zdobytych? To już chyba nigdy nie będzie wyjaśnione.

### Dowód antropologiczny

Można by także i te legendy włożyć między bajki bez wartości naukowej, ale badania dowiodły, że z punktu widzenia rasowego Melungeons nie są ani Indianami ani Murzynami, gdyż reprezentują typ kaukaski — czyli antropologicznie należą do rasy białej. Indianie zaś należą do rasy mongoloidalnej. Ciekawe jest również to, że farmerzy ze stanu Kentucky znajdują na swoich polach hebrajskie monety z okresu powstania Bar Kochby (132—135 n.e.).

dowcem, zieloną wówczas Grenlandię, dotarli do północnych wybrzeży Ameryki i założyli osadę. Wiadomo z kronikarskich zapisów i śpiewanej w średniowieczu pieśni, że jego małżonka tęskniła, iż wyplakiwała, ale nie doczekała się swego małżonka. Dopiero towarzyszy wyprawy dotarli po latach do nieszczytliwej i doniósł o losie Wikinga Eriksona.

Można by ową pieśń potraktować jako fantazję poetycką, ale amerykańscy archeolodzy rzeczywiście odnaleźli kamienie z wyrytymi na nich znakami runicznymi Wikingów. W tym czasie Wikingowie nie byli jeszcze chrześcijanami, a składanie kamieni ze znakami runicznymi miało charakter magiczno-religijny. Jest to dowód ich bytności bardzo prawdopodobny, pokrywający się ze starą sagą. Niestety, innych dowodów jednak brak.

Podobnie jest ze sprawą Jana z Kolna. Lopez de Gomara pisze w dziele „La historie de las das Indias y canquista de Mexico”, wydanej w 1552 r. o tym, że na Labradorze była wcześniej wyprawa Norwegów z con el piloto Joan Scolvo.

Historyk holenderski, dobry znawca przedmiotu — Cornelius Wytfliet w dziele swoim „Rozszerzenie opisu Ziemi Ptolomeusza” traktuje, niezależnie od Gomary, naszego bohatera jako Polaka. Oto odpowiedni fragment dzieła: „Zaszczepił drugiego odkrycia tej ziemi nosił Polonus Johannes Scolvus, który w 1476 roku, w 86 lat po pierwszym odkryciu poślęzł w tamtą stronę przez Norwegię, Grenlandię i Fryzlandię, dotarł do północnej części pod kołem polarnym i został zaniesiony do ziemi Labrador oraz Estotiland”.

Na tym przekazie opierał się Lelewel, który upowszechnił sagę o Janie z Kolna. Nawiasem mówiąc Wytfliet uważa, że także nasz Polonus nie był pierwszym; za pierwszych na ziemi amerykańskiej uznaje on Skandynawów — braci Zeno.

### Trudne sprawy pierwszeństwa

Zresztą przypuszczalnie także Jan z Kolna, ani bracia Zeno, a już na pewno nie Kolumb byli pierwszymi, którzy przepłynęli Atlantyk. Co najmniej na 600 lat przed naszą erą wylądowali u brzegów Brazylii żeglarze fenicy. Zostawili tam wykute w skale napisy, ale też żadnych innych śladów. Skąd wzięły się tablice fenickie w nadbrzeżnych puszczach Brazylii?

Możliwość takiej wyprawy nie budzi dziś wątpliwości; mogła to jednak być wyprawa przypadkowa. Wielki cyklon, silne wiatry dmące w kierunku zachodnim być może pognały całą flotyllę lub jeden ze statków fenickich, który usiłował opłynąć Afrykę. Tej zaś sztuki Fenicjanie dokonali po raz pierwszy już wcześniej, na zlecenie jednego z faraonów egipskich. Władcy Egiptu także chodziło o znalezienie drogi dla handlu z Dalekim Wschodem.

Ostatnio nowy dowód możliwości przebycia Atlantyku na wysokości Równika dostarczył Theor Heyerdahl, który na łodzi z trzciny przebył szczęśliwie „wielką wodę”. Jeśli można było przepłynąć na

ślabej trzcinie — czemu nie mogliby tego dokonać Fenicjanie, doskonali przecież i odważni żeglarze?

### Nowa sensacja w Tennessee

Okazało się, że do pierwszeństwa w osiedleniu się na ziemi amerykańskiej mogą także pretendować... Żydzi. Historia, którą opowiedzieć wypada nie jest jeszcze zamknięta, bo nauka nie powiedziała swego ostatniego słowa. Faktem jest, że wewnątrz pewnego kurhanu grobowego nad Bat Greek w stanie Tennessee (USA) znaleziono w 1886 r. kamień z jakimś starożytnym napisem. Kamień przeleżał wiele dziesięcioleci w kurzu zbiorów instytutu Smithsonian. Przypadek zrzędził, że badane przez specjalistów fotografie napisu mylnie podały, gdzie jest góra kamienia — a gdzie dół. W wyniku tego ustalono, że kamień nosi inskrypcję Irokezów czy pokrewnych im szczatków indiańskich, które znały pismo.

Dopiero po z górą osiemdziesięciu latach od znalezienia kamienia zajął się nim profesor Cyrus H. Gordon. Amerykański uczyony długo analizował całość napisu i doszedł do zaskakującego wniosku. Inskrypcja jest sporządzona w języku hebrajskim i znaczy: „Dla kraju Judy”. Co więcej — cały kamień nosi na sobie charakterystyczne znaki, identyczne z tymi, które znajdujemy na monetach żydowskich z okresu obu powstań przeciwko Rzymianom (ok. 70 r. i ok. 132—135 r.). Z tych to szczegółów wyprowadza prof. Gordon wniosek, że grupa bojowników Bar Kochby — przywódcy powstania przeciw legionom cesarza Hadriana (132—135 r. n.e.) uciekała przed Rzymianami tak skutecznie, że dotarła aż do Ameryki. Gdyby to było prawdą, uciekinierzy musieli by płynąć mniej więcej szlakiem Krzysztofa Kolumba, a później skrócić bardziej na północ i poprzez wielką Mis-



Thor Heyerdahl, słynny norweski podróżnik, udowodnił, że na łodzi wykonanej z trzciny o nazwie cibora, tej samej, z której w starożytności wyrabiano papierus, można przepłynąć Atlantyk. Pierwsza próba przeprowadzona przed trzema laty zakończyła się niepowodzeniem, ale w następnym roku trzciniowa łódź dotarła z Afryki do Ameryki Środkowej. Na zdjęciu: budowa pierwszej łodzi „RA” pod egipskimi piramidami, skąd przewieziono ją do Maroka

STNIEJE ciągle nie rozstrzygnięty spór o to, kto pierwszy — jako przedstawiciel białej rasy — postawił nogę na lądzie Ameryki i dlaczego to uczynił. Oficjalnym odkrywcą Ameryki jest nadal Krzysztof Kolumb, który w sposób planowy przebył Atlantyk i dobił do wyspy Watling w grupie Wysp Bahama. Nie przypuszczaliśmy zresztą, że „odkrył Amerykę”. Nawiasem mówiąc nazywano ją tak od imienia innego żeglarza — Amerigo Vespucci, który jako pierwszy cały kontynent wyrysował na mapach. Kartograf Waldseemüller w dziele „Cosmographie introducto” (1507 r.) zaproponował, by nowy kontynent nazwać Ameryką. Zmarły w 1506 r. Kolumb żył ostatnie lata w niełasce.

### Co ich gnało?

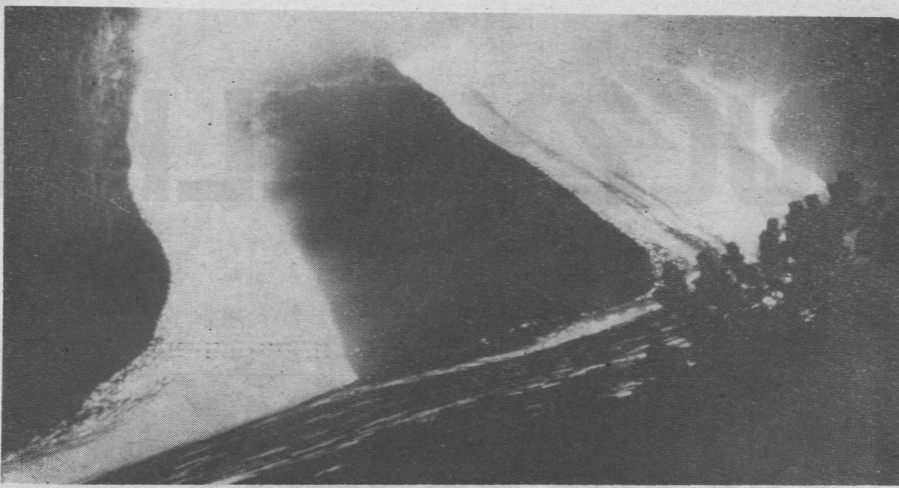
Włoski żeglarz w hiszpańskiej służbie chciał odkryć nie tyle nowy kontynent — ile nową drogę do Indii. Królowie Kastylii i Portugalii, nie mówiąc o innych, usilnie szukali drogi do krainy korzeni, pereł, lekarstw, wonności i tkanin o wyszukanych wartościach — jak jedwab. Średniowieczna Europa nie mogła Azji nie zaferować w zamian — prócz złota. W dodatku pośredniczący w handlu Arabowie i Hindusi brali słońca za pośrednictwo, a ryzyko handlowe zwiększały jeszcze napady arabskich oraz jawańskich piratów. Współcześnie Kolumbowi 100 kg (quintal) goździków kosztowało u producentów na wyspach Moluckich 2 dukaty, w mieście Malakka, gdzie lądowano goździki na statki — 14 dukatów; w indyjskim porcie Kalikat — 50 dukatów, a w Londynie — 213 dukatów! Można sobie wyobrazić, że ominięcie pośrednictwa i sprowadzenie goździków choćby z Malakki — dawało do rąk armatorów niebywałe zyski. W Europie używano zaś przypraw korzennych w celu konserwacji mięsa lub poprawy smaku, gdy było ono nieświeże.

Złoto wpływało z Europy, by pokryć jednostronny import z Azji. Produkcja własna nie pokrywała tych potrzeb. Cena złota i srebra rosła. Poszukiwanie nowych dostaw szlachetnych metali było bodźcem do organizowania nie tylko podróży żeglarzy, lecz także awanturniczych wypraw conquistadorów takich, jak zdobywca Meksyku — Cortez lub zdobywca imperium Inków — Pizzaro. Łupy najeźdźców, zyski handlowe, zdobycie władzy królom przypisanej — nad opanowanymi terenami, oto najczęstsze motywy odkrywczych wypraw żeglarskich.

### Byli przed Kolumbem czy nie?

Nim Cristoforo Colombo na zlecenie królowej kastylskiej wyruszył w 1492 r. przez Atlantyk, istnieją pewne przekazy, że na wybrzeżu północno-amerykańskim wylądowało co najmniej trzech żeglarzy. Brak jest wprawdzie całkowicie pewnych dokumentów, ale zostały pisemne przekazy, ślady pobytu, odkrycia archeologiczne.

Znana jest historia, dosyć wiarygodna, odważnego Wikinga o nazwisku Leif Erikson, który około roku 1000 przez nie pokrytą jeszcze lo-



Etna

## WARSZAWSKI BRUKSELczyk ŚWIATOWEJ SŁAWY UCZONYM

# OKO W OKO Z PIEKŁEM

**D**LA większości mieszkańców Europy środkowej, północnej a nawet zachodniej, działanie wulkanu jest pojęciem całkowicie teoretycznym, znanym jedynie z opisów, zdjęć czy filmów. Dają one nieznaczne wyobrażenie o grozie, bezsilne człowieka i ogromnych zniszczeniach, jakie z sobą niesie piekielny wybuch z czeluści ziemi. Zwiedzając w pogodny dzień resztki Pompei czy Herkulanum, odrzebanych spod popiołów Wezuwiusza, który w pierwszym stuleciu naszej ery zniszczył całe istnienie tych kwitnących miast, trzeba zdobyć się na dużą siłę wyobraźni, by móc przenieść się w odległe dni strasznej nieszczęścia.

W skromnym Muzeum u głównej bramy dawnej Pompei masowo odwiedzany przez turystów z całego świata, zobaczyć można odlewy psa na uwięzi i człowieka, który w chwili gniewu wulkanu padł twarzą na ziemię, by w ten sposób szukać ratunku od uduszenia i bólu. Śmierć zaskoczyła te istoty, po czym urosła nad nimi gruba warstwa popiołów, a z upływem czasu gazy zżarły bez reszty ich ciała, wytwarzając w hermetycznie zamkniętym grobie próżnię, w swym kształcie idealnie dokładną z pozycjami, w jakich zakończyły życie. Podczas wykopalisk w XX wieku, w próżnię te wlewo gips, zrobiono odlewy i w ten sposób przedstawiono ostatnie drgnięcie życia człowieka i psa. Przerażającą wymowę mają te dwa odlewy.

O ileż więcej od nich mówi jednak sucha statystyka, rejestrująca od początku XIX wieku z dość znaczną dokładnością ilość ofiar, jakie każą sobie płacić wulkany. Znajdujemy m. in. w niej takie np. zapisy:

W 1815 roku wulkan Tambora (2850 m npm) na wyspie Sumbawa w Archipelagu Sundańskim przyniósł jednym wybuchem śmierć 92 tysiącom ludzi. W wielokilometrowym zasięgu wybuchu pozostało przy życiu zaledwie 29 osób.

Krakatoa (800 m npm), w tym samym Archipelagu na Sumatrze, kilkakrotnymi wybuchami w latach czterdziestych, a więc nie tak dawno, pochłonął przeszło 40 tysięcy ludzkich istnień. W czasie wybuchu w 1883 r. dwie trzecie wyspy, na której znajduje się wulkan, wyleciało w powietrze, a o sile wybuchu świadczy wyrzucenie drobnego pyłu na wysokość 70 km.

Merabi (2911 m npm) na Jawie mniej więcej w tym samym czasie (w latach 1914-1949) uśmiercił 10 tysięcy ludzi.

Nasuwa się tu pytanie: czy na zawsze pozostaniemy bezsilni wobec niszczącej potęgi wulkanów?

Badania nad nimi doprowadziły w ostatnich latach do znacznego postępu

naszej wiedzy o tym groźnym zjawisku przyrody. Europejscy specjaliści w tej dziedzinie mają nawet stały ośrodek badawczy na jednej z Wysp Liparyjskich na Morzu Tyrreńskim, na Stromboli, przy kraterze czynnego tam wulkanu (962 m npm). Kieruje tym ośrodkiem dzielna czwórka profesorów: Tomani z Florencji, Marinelli z Pizy, Elskens i Tazieff z Brukseli.

Specjalne ubrania pozwalają badaczom na przebywanie przez kilka minut w temperaturze ponad 1200 stopni.

Najciekawsze w tych ubraniach są hełmy, uważane za jedno z największych osiągnięć techniki; są one zrobione z warstw szklanego włókna, cechują się niezwykłą żaroodpornością, są bardzo lekkie; opiera się je na ramionach, ochraniając górne części ciała, w tym i kręgosłup przed tzw. „bombami wulkanicznymi”, czyli bryłami zakrzepłej lawy wyrzucanymi z krateru przez zięjący wulkan.

Kilka lat temu UNESCO powołała specjalną komisję, której powierzono prowadzenie badań nad kilkoma szczególnie groźnymi wulkanami. Na kierownika tych badań wyznaczono prof. Harona Tazieffa z Uniwersytetu Królewskiego w Brukseli.

**Osoba tego uczonego jest dla nas szczególnie interesująca: urodził się on bowiem w Warszawie w 1914 r.**

Ojciec Tazieffa był oficerem rosyjskim w służbie carskiej, matka zaś Polką. Ojciec zginął w pierwszych latach wojny światowej, a matka po zakończeniu wojny wyemigrowała do krewnych we Francji, następnie zaś przeniosła się z dzieckiem do Belgii.

Mały Haron wyruszył na emigrację, mając lat 7. Po ukończeniu szkoły podstawowej i średniej w Liège, studiował w tym mieście na miejscowym uniwersytecie, uzyskując dwa dyplomy: inżyniera-agnonoma i inżyniera geologa.

Jako młody naukowiec został asystentem mineralogii, a następnie i fizy-



Prof. Haron Tazieff wyrusza w jedną ze swych licznych podróży po świecie

ki na Uniwersytecie Królewskim w Brukseli.

Po drugiej wojnie zajął się badaniem wulkanów, jest współtwórcą nowoczesnej wulkanologii, choć sam twierdzi, że jest to dziedzina bardzo stara i już starożytny filozof Empedokles — jak głosi legenda — poświęcił jej długie lata swego życia, spędzając je na obserwacjach dymiącego szczytu Etny (3296 m) na Sycylii, aż go tu zaskoczyła śmierć na dnie krateru.

Jedno z wielu urwisk o stożkowanych kształtach, jakie sięgają na Etnie do wysokości 2900 m i otaczają krater wulkanu, nosi nawet nazwę „Torre del filosofo” — „Wieża filozofa”. To właśnie w niej miał Empedokles samotnie obserwować wybuchy Etny, stercząc uparcie na jej szczyt, prząony przez słońce, smagany przez śnieżne burze i wpatrując się w tajemnicze płomienie i kipiącą lawę. Tazieff dowodzi, że był to pierwszy bohater i męczennik wiedzy o wulkanach, którego nie zadowalała sama legenda, a który chciał dotrzeć do tajemnic przyrody i poznać prawdę.

Jak większość wulkanologów Tazieff jest człowiekiem o dużym wyrobieniu sportowym, wręcz wybitnym alpinistą. Bez znajomości zasad alpinistyki i bez alpinistycznej kondycji i sprawności, nie może być zresztą mowy o badaniu wulkanów. Aby dotrzeć do kraterów trzeba się niejednokrotnie drogami skalnymi o skrajnej trudności, których nigdy nie dotknęła stopa istoty żyjącej, trzeba umieć zjeżdżać na alpinistycznej linie, dźwigając przy tym nie tylko alpinistyczny sprzęt, ale i przyrządy potrzebne do naukowych badań. Jako fakt wielkiego wyczynu prof. Tazieffa, trzeba podać, że jest on jedynym człowiekiem, który dwukrotnie dotarł do krateru afrykańskiego wulkanu Niragongo na wysokości 3470 m npm w 1958 r. z profesorem

En l'an 79 de notre ère, Pompéi cessait d'exister, ensevelie sous les laves du Vésuve. Les ruines de l'ancienne cité ont été mises au jour lors de fouilles commencées, au milieu du XVIIIe siècle. L'histoire de la terre connaît bien des éruptions aux conséquences catastrophiques et le XXe siècle a permis au profane d'approcher, d'avoir une idée des volcans. L'un des plus célèbres vulcanologues a avoir rendu possible la vulgarisation de cette science, est Haroun Tazieff et s'il est question de lui ici, c'est parce qu'il est né à Varsovie en 1914. Son père était un officier au service du Tsar et sa mère était polonaise. Après la mort de son mari lors de la première guerre mondiale, Mme Tazieff gagna la France avec son fils, puis la Belgique. Le jeune Haroun avait alors sept ans.

On connaît les films et les livres de ce savant son non est connu de tous et l'on sait que partout où il y a danger d'éruption volcanique ce chercheur est sur les lieux. Rappelons qu'il a été désigné par l'Unesco pour conduire les recherches sur les phénomènes volcaniques.

de Magnee z Brukseli, a w rok później z innym swoim kolegą, prof. Pierre Evrardem z Liège, w warunkach niesłychanie trudnych i niebezpiecznych.

Rezultatem dotychczasowych badań prof. H. Tazieffa, oprócz wielu rozpraw naukowych i kilku wydawnictw popularnych, jest znakomity film naukowy, jaki ukazał się we Francji w ubiegłym roku pt. „Le Volcan Interdit” — „wulkan zakazany”. 10 lat temu w Polsce wydawnictwo „Nasza Księgarnia” wydało jedną z popularnych prac prof. Tazieffa „Kraterzy w płomieniach”

Głównym celem badań zleconych Tazieffowi przez UNESCO jest troska o człowieka, który w pobliżu niebezpiecznych wulkanów ma swe zagrody. Chodzi o to, aby przez zakładanie stacji obserwacyjnych przy kraterach poszczególnych wulkanów, które raz po raz swymi wybuchami zagrażają istnieniu bytującego w pobliżu człowieka, ostrzegać go odpowiednio wcześniej przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Nauka udowodniła, że jest to możliwe, ale potrzebna jest do tego możliwie największa znajomość praw, jakie rządzi wulkanem i stała ich obserwacja.

Prof. dr inż. Haron Tazieff jest dziś w świecie najwybitniejszym przedstawicielem wulkanologii. Powierzenie mu odpowiedzialnych zadań przez UNESCO zwróciło na Tazieffa uwagę szerokich kół w wielu krajach. W prasie i radiu ukazały się jego życiorysy, fragmenty wspomnień i wywiady z uczonego, a na ekranach kin i w telewizji fragmenty ekspedycji badawczych, którymi kierował.



Zastygła lawa z krateru wulkanu Etna na skraju miejscowości Fornazzo

Krystyna KOZŁOWSKA

# SKROMNA NAUCZYCIELKA W KRĘGU WIELKICH NAZWISK

ŚLADAMI „LISTÓW PANA PREZESA” ♦ DALSZE DANE O DOMICELLI RENIAKIEWICZ I POCZĄTKACH POLSKIEGO SZKOLNICTWA WE FRANCJI ♦ WŁADYSŁAW MICKIEWICZ INICJATOREM ♦ POMOC KRAKOWSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI ♦ TEODOR TOMASZ JEŻ, WAĆLAW GAŚIOROWSKI, HENRYK SIENKIEWICZ ♦ PIERWSZE WRAŻENIA Z LALLAING ♦ „KTO TY JESTEŚ? — POLAK MAŁY?!” ♦ STRATY POLSKIE POD ARRAS

*Zyciorys*

Urodziłam się 29/4 1884 r. w Przemyślu w licznej rodzinie rzemieślniczej. Wchodziłam 7 klasę szkoły podstawowej, ale jako dziecko ubogich rodziców, nie mogłam reflektować na przyjęcie do Seminarium Naucz. Wzrosłałam więc do szkoły wydziałowej, a po ukończeniu IX kl. otrzymałam posadę naucz. w Borshowie, potem w Lublinie St. (por. Lwów). Moim pragnieniem moim było zdobyć odpowiednią wiedzę. Po trzech latach pracy naucz. dowiedziawszy się, że są wolne miejsca na IV r. Semin. Naucz. w Przemyślu, zgłosiłam się do egzaminu wstępnego, zostałam przyjęta i po roku zdałam egzamin dojrzałości. (1907)

Po dwuletniej praktyce naucz. w Borshowie i w Łusielowie (Jarosław) zdałam egzamin kwalifikacyjny. (1909)

1/9 1910 r. dostałam stałą posadę w Łamajscach. (Jarosław)

Na wezwanie Władysława Mickiewicza w Paryżu, który w ramieniu

Zyciorys pisany własnoręcznie przez Domicellę Szmidównę w 1949 roku

**D**OMICELLA SZMIDOWNA. Pisaliśmy o niej wielokrotnie. Pierwsza nauczycielka dzieci górników polskich we Francji od roku 1910, a więc jeszcze przed pierwszą wojną światową: w Lallaing, Guesnain i Barlin, a później w latach wojny w Beaulieu (Loire), dokąd ewakuowano rodziny polskie z kolonii Pas-de-Calais. Kilka lat temu ogłosiliśmy cykl pod tytułem „Listy do Pana Prezesa”. To były właśnie listy panny Domicelli Szmidówny-Reniakiewicz. Pisała je systematycznie do Wacława Gaśiorowskiego, znakomitego pisarza, autora „Pani Walewskiej” i „Huraganu”, mieszkającego wówczas w Paryżu, opiekuna szkółek dla dzieci polskich górników osiadłych we Francji, informując go o miejscowych sprawach.

„Listy do Pana Prezesa”, zachowane szczęśliwym trafem w archiwum po zmarłym w 1939 r. pisarzu, obrazowały m. in. trudności, z jakimi borykała się Szmidówna w swej pedagogicznej pracy, a ponadto przedstawiały życie ekonomiczne, zawodowe, społeczne, kulturalne, stosunki międzyludzkie wśród polskich emigrantów. Ale choć wartość tych listów dla dziejów emigracji polskiej we Francji jest bezsporna, to jednak przy czytaniu pozostawały one dla czytelnika wiele niedomówień i niejasności.

Nie dało się z nich odtworzyć pełnego obrazu szkolnictwa polskiego we Francji w owych czasach, ani zyciorysu jego pionierki, jaką niewątpliwie była Domicella Szmidówna. Autorka tych zdań, podpisana poniżej, prowadziła więc dalsze poszukiwania zarówno za materiałami dotyczącymi szkolnictwa polskiego we Francji, przedstawiając każdorazowo nowo uzyskane dane na łamach „Tygodnika Polskiego”.

Dzisiaj publikuję nową serię dokumentów o dużym znaczeniu dla omawianego tematu. Pochodzą one z pośmiertnych papierów Domicelli Szmid-Reniakiewicz. Sa wśród nich m. in. listy wielu wybitnych osobistości, pisane do Szmidówny, a także jej własny zyciorys, wyjaśniający kilka spraw zupełnie dotąd nieznanych.

Wcześniej jednak krótkie przypomnienie.

Domicella Szmidówna po zakończeniu pierwszej wojny wróciła do Polski (w październiku 1919), pracowała nadal w szkolnictwie, uzupełniając swe studia wyższymi kursami. Uczyła we Lwowie, najpierw w Szkole Powszechnej im. Reja, a następnie w Szkole św. Zofii i Szkole Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Komisja Weryfikacyjna zaliczyła jej 9 lat pracy nauczycielskiej na emigracji. Kilkakrotnie wyjeżdżała w okresie międzywojennym do Francji na akcje kolonii letnich oraz patronowała nauczycielkom, które z Polski wysyłano do Francji.

Nauczycielką we Lwowie była do roku 1941 zwołani ją Niemcy po napaści III Rzeszy na ZSRR. Pracę w szkolnictwie lwowskim podjęła w 1944 po wypędzeniu hitlerowców, uczyła języka francuskiego w Szkole Średniej nr 27 (męskiej i żeńskiej).

W 1946 r. wyjechała ze Lwowa i zamieszkała w Boguchwałach, skąd dojeżdżała do Rzeszowa ucząc francuskiego w Państwowym Gimnazjum Krawieckim. Z kolei przeniosła się do Tarnowa i tam objęła posadę nauczycielki francuskiego, w dwóch szkołach średnich. Po przejściu na zasłużoną emeryturę, przez wiele lat była tłumaczem przysięgłym (sądowym) z języka francuskiego. Zmarła w Tarnowie 13 lutego 1969 r.

Dokumenty Domicelli Szmidówny, listy do niej, świadectwa, stare paszporty, legitymacje, korespondencja z władzami, powędrowały po jej śmierci do Krakowa, do jednej z jej siostrzenic, a mianowicie do pani Krystyny Laskownickiej, artystki-malarki. Uplynieło sporo czasu zanim jej adres został przeze mnie odkryty. Dzięki uprzejmości p. Laskownickiej, mogę dziś do zyciorysu zasłużonej nauczycielki, dorzucić kilka listów i innych materiałów, które wyjaśniają wiele spraw dotąd nieznanych.

A więc przede wszystkim, że jednym z inicjatorów powołania do życia szkolnictwa dla dzieci górników polskich we Francji był Władysław Mickiewicz, syn wieszczki narodowego, Adama, stały mieszkaniec Paryża. On to zwrócił się do Akademii Umiejętności w Krakowie z prośbą, by ta wyszukała kilka nauczycielek dla dzieci górników polskich, które wraz z rodzicami przybyły do Francji z Westfalii na skutek niemieckich prześladowań. W sprawie, oprócz Wacława Gaśiorowskiego, wciągnięty został też inny wybitny pisarz emigracyjny, a mianowicie Zygmunt Miłkowski (1824—1916) podpisujący swoje powieści jako Teodor Tomasz

Jeż. Szkolnictwem dzieci górniczych zainteresował się później również Henryk Sienkiewicz, a dużo uwagi poświęcała mu M. Zamoyska, córka pierwszego po odrodzeniu Polski ambasadora RP w Paryżu.

Teodor Tomasz Jeż, był po Joachimie Lelewelu przez długie lata jakby seniorem wychodźstwa polskiego na Zachodzie, do którego w wielu sprawach emigracyjnych zwracano się po ostateczne rozstrzygnięcie w latach jego pobytu w Szwajcarii, jak kiedyś do Lelewela w Brukseli. Wysłał on do Douai swego syna, by ten powitał tam Szmidównę.

„Pamiętam, że jechałam dwa dni z Krakowa do Douai, gdzie czekał na mnie pan Miłkowski, syn pisarza, który wydawał książki pod pseudonimem Jeż. Na drugi dzień przyjechała po mnie przełożona „Ecole Libre” i zabrała mnie do Lallaing. Był to akurat dzień św. Katarzyny i nauczycielki z „Ecole Libre” również obchodziły „katarzynki”, a więc było wesoło. Przełożona oprowadzała mnie po klasach, oznajmiając dzieciom, że „Madame Polonaise est venue”.

Z kolei następuje opis pierwszego zetknięcia się Szmidówny z polskimi dziećmi, jak i ich rodzicami:

„Łatwo rozpoznawałam dzieci polskie po jasnych włosach i oczach, po czystych kolorowych fartuszkach i wstążkach we włosach. Na kolonii przywitały mnie kobiety noszące się z wielkopolską, w szerokich spódnicach i krótkich kaftanikach, z włosami splecionymi w warkoczki. Tutejsi Polacy byli przeważnie ludźmi z Westfalii, którzy zmienili dużo lepsze warunki w Niemczech na gorsze — zwłaszcza w pierwszym okresie — we Francji, ze względów politycznych, by nikt ich nie prześladował za to, że są Polakami, by dzieci ich nie uległy wynarodowieniu, by mogły uczyć się oczystej mowy. Nie muszę więc mówić, że jak wielką radością przyjęto mój przyjazd. Przecież Polacy urządzili strajk w kopalni, domagając się polskiej szkoły.

Moja pierwsza lekcja była dla mnie przeżyciem bardzo smutnym. Dzieci



W latach 1937—1938 Domicella Szmidówna jeździła do Francji, spędzając m. in. wakacje z młodzieżą polską i służąc swym doświadczeniem pedagogicznym nauczycielom polonijnym. Zwracamy uwagę na podpis „Schmidówna”, choć w tym czasie używała też nazwiska mężowskiego „Reniakiewicz”. Jednakże w korespondencji, jaka zachowała się w archiwum nauczycielki od 1913 r. — stosowała ona różną pisownię swego nazwiska, uwidocznoną m. in. w blokach listów publikowanych w TP przed kilku laty. Podpisywała się raz Szmidówna, innym razem Schmidówna. Ponieważ większość posiadanych przez nas listów nosi podpis Szmidówna — tę też pisownię przyjęliśmy w artykule.





Szanowna pani,

Ucieszyłem się z listu, bo już byłem w strachu, że w drodze się zawieruszy. Niech mi Sz.Pani nadesie adres Jeruzala i innych. Postaram się dla nich coś zrobić jeszcze. Ileż pragnąłbym, aby ten ubogi grosz został tam, u Pani na czarną godzinę. Poza tym wysłałem pieniądze (400 fr.) do Barlińczyków, którzy znów skupiają się w departamencie Aveyron. Jest tam 150 rodzin, z nich połowa prawie robi dopiero od dwu tygodni. -- W ogóle z temi krociami amerykańskimi instytucji no i wziętych tu do niewoli Polaków z wojska niemieckiego, to znaczy że gdyby chociaż każdemu wziętemu do niewoli dać franka... to i 20,000 franków by nie starczyło. Czyli wyrwać trzeba komitetowi rozdawczemu każdy grosz dla górników. -- A no to zupełnie głupio skończyła się przesławna zapowiedź dla Sz.Pani. Ale może jeszcze to odwręcić z powrotem. Nacisnę obocznie o gotówkę dla p. Niewiadomskiej. Co robi p. Chimiakówna? -- Nic nie wiem, słówka od niej nie było. Jest na terenie zagarnięty, przypuszczam, że powróciła do Galicji. O Szatkowskim (polski górnik, działacz Sokola w północnej Francji, wielki społecznik — przyp. K.K.) tyle wiem, że siedział i że go wypuszczono. Gdzie się podziewa, ani słycho, tak jak i o Księciu (Witoldzie Czartoryskim — przyp. K.K.).

Pamięta Sz. Pani swego chrześniaka, Kołomińskiego. Jest ranny biedak c. ęzko. Adres do niego: Hospital Militaire Complementaire n. 41 Rennes. Jest zagrożony na oczy. Tyle na dziś.

Zbieram paczkę z pismami i książkami. Piszę obocznie do Ameryki po książki i podręczniki, bo znikąd wydostać nie można.

Pozdrowienia serdeczne od nas obojga dla Szanownej Pani i Pani Niewiadomskiej.

Wacław Gąsiorowski

## List Wacława Gąsiorowskiego do polskiej nauczycielki

nie mówiły po polsku. Kiedy pytałam je „Rozumiecie mnie chociaż?” — odpowiadały „Ja, ja...”. Po prostu płakać mi się chciało. Żeby jakoś zachęcić i ośmielić nauczycielkę je wierszyczka „Kto ty jesteś? Polak mały”... i paru piosenek. Miałam około 80 uczniów i uczennic”.

Trzeba tu zaznaczyć, że wierszyk: „Kto ty jesteś? — Polak mały! Jaki znak twój? — Orzeł biały...” napisany przez Władysława Bełzę (1847—1913), zwanego narodowym pisarzem dzieci, był w szkołach zaboru austriackiego, przez tolerancyjną wówczas już monarchię zaborczą, niemal obowiązkowy. W tak zwanej Galicji nauczyciele uczyli go jawnie i było to niejako credo każdego polskiego dziecka. Natomiast w zaborach rosyjskim i pruskim, był ten wierszyk jak najsurowiej zakazany. A ponieważ górnicy, których dzieci uczyła teraz Szmidówna, wywodzili się w zdecydowanej większości z zaboru pruskiego, nie mogły więc znać wierszyczka pana Bełzy. Czytajmy jednak dalej:

„Wkrótce nadeszło Boże Narodzenie i polonijna Gwiazdka. Byłam zaproszona na tę uroczystość, na której poszczególne dzieci deklamowały wierszyki i śpiewały piosenki, za co wstafalskim zwyczajem otrzymywały w nagrodę „tytki”\*) czyli torbę ze słodyczkami. Ponieważ nauczylałam dzieci kilku koled, zaproponowałam, by wszystkie dzieci razem coś zaśpiewały. Zebrałam je w jedną gromadkę i kiedy tak wszystkie, z całego serca zaśpiewały „Przybieżeli do Betlejem”, na sali zerwał się wielki płacz, ale były to łzy radości. Po raz pierwszy na obczyźnie polskie dzieci śpiewały w chórze polskie koledy, stwarzając atmosferę ukochanego rodzinnego Kraju. Potem tych Gwiazdek było dużo i program był bogatszy. Jasełka, tańce, przedstawienia — ale ta pierwsza najważniejsza wszystkich wzruszyła. Zrozumiałam wówczas, że szkoła polska na emigracji to nie tylko nauka języka, ale coś, co jest ostoją dla wszystkich Polaków, coś co krzepi serca i pomaga żyć na obczyźnie. Ilekroć było ciężko, zbierałam dzieci, urządziałam jakiś wspólny wieczór polski i od razu robiło się lepiej na sercu, łatwiej było przetrwać te trudne chwile.”

„Z kopalnią — czytamy dalej — stosunki układały się nam dobrze. Dyrekcja pokrywała połowę mojej pensji, a także wybudowała w 1912 r. osobną salę szkolną z mieszkaniem dla nauczycielki, bo przyjechała później druga nauczycielka — p. Jadwiga Mrozowska. Pracy miałam bardzo dużo, gdyż pierwsze dwa lata, dojeżdżałam również uczyć dzieci w Guesnain — potem przyjechała tam nauczycielka z Kraju p. Kubiśiakowa. Bardzo pomagał mi Komitet szkolny, który powstał w Lallaing. Kobiety przychodziły sprzątać klasy i pomagały szyć stroje do różnych przedstawień. Meż-

czyźni budowali zawsze scenę i przygotowywali salę do uroczystości. Kiedy było nas już dwie nauczycielki, mogłyśmy podzielić dzieci — których zebrało się w 1913 r. już ok. 140 — na pięć oddziałów tak, że nauka odbywała się od 7 rano do 7 wieczór.”

Piękny rozwój szkolnictwa w koloniach robotniczych w Pas-de-Calais, został przerwany przez wojnę i najazd Niemców na Francję. Westfalacy w obawie przed represjami niemieckimi, co nie było pozbawione słuszności, gromadnie zaczęli uchodzić w kierunku Paryża. Większość drogi odbywali piechotą. Nie znali języka francuskiego. Gromadą kierowała Szmidówna i Stefan Rejer. Francuzi brali ich za Niemców i kilkakrotnie usiłowali internować. Po dotarciu do Paryża, dzięki Gąsiorowskiemu, skierowano ich bardziej na południe kraju.

„Kiedy wybuchła wojna w 1914 — pisze Szmidówna — nasza szkoła była już dobrze wyposażona i zorganizowana. Mielśmy sporą bibliotekę, mapy, różne pomoce naukowe i kilkadziesiąt strojów na występy. Wszystko to, cały nasz trud trzeba było zostawić i uciekać. W dwa miesiące po wybuchu wojny światowej, w czasie bombardowania, większość nas uciekła przed Niemcami w głąb Francji. Po miesięcznej tułaczce stawiliśmy się w departamencie Loire, w miejscowości Beaulieu par Roche-la-Molière i tam dzięki opiece i ofiarności Francuzów, przetrwaliśmy cztery lata wojny. Ilość dzieci polskich w szkole zwiększała się ciągle, bo zjeżdżali się robotnicy — uchodźcy ze wszystkich stron Francji, aby dzieci swoje wychowywać w szkole polskiej.”

Przez cały czas pobytu poza Pas-de-Calais, Szmidówna pozostawała w kontakcie korespondencyjnym z Wacławem Gąsiorowskim, Władysławem Mickiewiczem i innymi osobistościami z kolonii polskiej w Paryżu. Świadczą o tym ich listy do skromnej nauczycielki górniczych szkółek, będące odpowiedziami na jej pisemne relacje i sprawozdania.

Oto jedna z takich odpowiedzi Wacława Gąsiorowskiego na list Szmidówny, datowana w Paryżu 8 lutego 1915 roku, a więc w kilka zaledwie miesięcy po ewakuacji:

Szanowna Pani,  
Ucieszyłem się z listu, bo już byłem w strachu, że w drodze się zawieruszy. Niech mi Sz. Pani nadesie adres Jeruzala i innych. Postaram się dla nich coś zrobić jeszcze. Pragnąłbym, aby ten ubogi grosz został tam, u Pani na czarną godzinę. Poza tym wysłałem pieniądze (400 fr.) do Barlińczyków, którzy znów skupiają się w departamencie Aveyron. Jest tam 150 rodzin, z nich połowa prawie robi dopiero od dwu tygodni.

W ogóle z tymi krociami amerykańskimi to jest źle, że faktycznie dołączyli do tego obowiązku wspierania wszystkich instytucji no i wziętych tu

do niewoli Polaków z wojska niemieckiego. To znaczy, że gdyby chociaż każdemu wziętemu do niewoli dać franka... to i 20 000 franków by nie starczyło. Czyli wyrwać trzeba komitetowi rozdawczemu każdy grosz dla górników. — A no to zupełnie głupio skończyła się przesławna zapowiedź dla Sz. Pani. Ale może jeszcze to odwręcić z powrotem. Nacisnę obocznie o gotówkę dla p. Niewiadomskiej (była to z kolei trzecia po Szmidównie nauczycielka polska z Galicji sprowadzona do północnej Francji m. in. przez W. Gąsiorowskiego, M. Zamoyską i Wł. Mickiewicza — przyp. K.K.).

Co robi P. Chimiakówna (druga z kolei nauczycielka polska, sprowadzona do Lallaing, ucząca potem samodzielnie w Guesnain i w Barlin — przyp. K.K.). Nic nie wiem, słówka od niej nie było. Jest na terenie zagarniętym, przypuszczam, że powróciła do Galicji. O Szatkowskim (polski górnik, działacz Sokola w północnej Francji, wielki społecznik — przyp. K.K.) tyle wiem, że siedział i że go wypuszczono. Gdzie się podziewa, ani słycho, tak jak i o Księciu (Witoldzie Czartoryskim — przyp. K.K.).

Pamięta Sz. Pani swego chrześniaka, Kołomińskiego. Jest ranny biedak c. ęzko. Adres do niego: Hospital Militaire Complementaire n. 41 Rennes. Jest zagrożony na oczy. Tyle na dziś.

Zbieram paczkę z pismami i książkami. Piszę obocznie do Ameryki po książki i podręczniki, bo znikąd wydostać nie można.

Pozdrowienia serdeczne od nas obojga dla Szanownej Pani i Pani Niewiadomskiej.

Wacław Gąsiorowski

A teraz inna odpowiedź Gąsiorowskiego, tragiczna w swej wymowie; dotyczy synów Stefana Rejera, górnik i działacza, którzy jako jedni z

pierwszych zaciągnęli się do wojska polskiego przy armii francuskiej, słynnej kompanii Bajończyków, a także wybitnego sokola z Barlin Kazimierza Trzebiatowskiego. Dwóch niepełnoletnich jeszcze synów Rejera, Józef i Sylwester, poległo za Francję 9 maja 1915. Ten sam los tego samego dnia spotkał Trzebiatowskiego.

Paris, le 28 V 1915

Szanowna Pani,

Dziękuję za pokwitowanie i list.

Rejerowie niech się nie trują przed czasem. Synowie ich nie byli w Kompanii, która prowadziła atak i która tak ucierpiała straszliwie. Nigdzie mi nie wymieniono ich.

Co do Trzebiatowskiego! Beznadziejny! Miałem odeń dwa listy na tydzień, zawsze pełne szlachetnego zapachu. Po prostu był to człowiek, zacnego serca. — Ale, nie módlcie się jeszcze zań... Czekamy sprawozdania nowiny. O Wiśniarskim nie mam żadnej nowiny — ni źleji ni dobrej. Zdaje mi się, że w ataku jego nie było. Sprawdzę to.

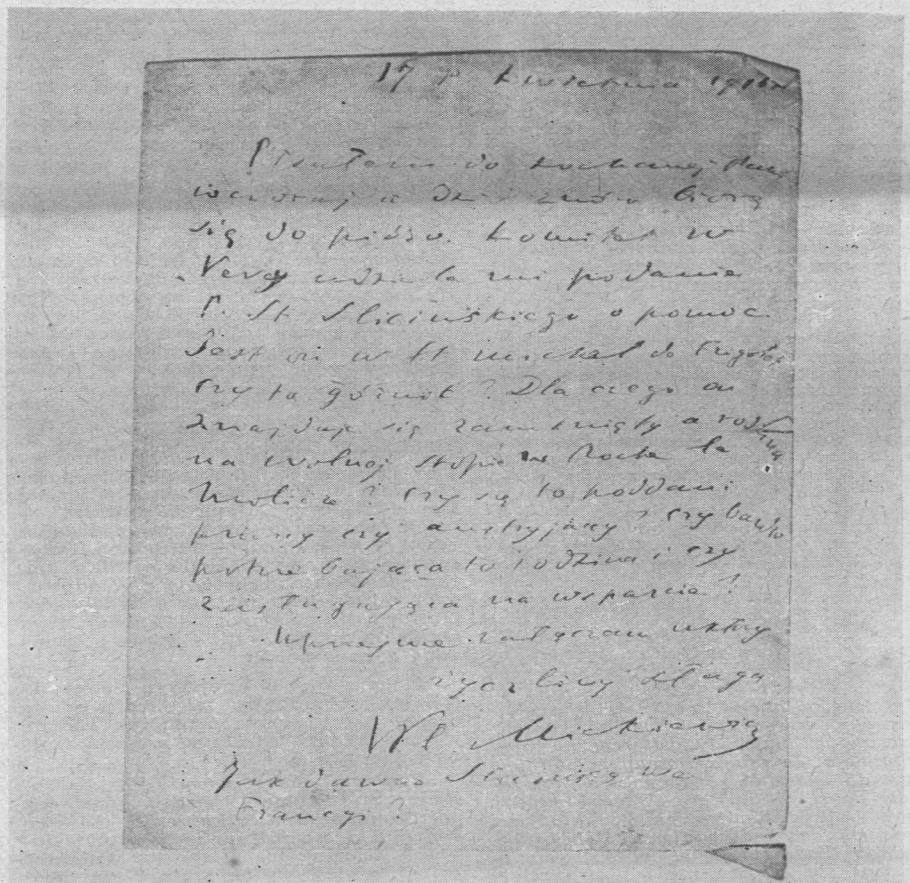
A dlaczego, dlaczego Sz. Pani nie pisze częściej? Na te złe wiadomości znajdę radę — zainteresuję natychmiast p. Cieczkowskiego i postawię sprawę na ostrzu. Ta kwestia musi być załatwiona. Gdybym przypuścić mógł na chwilę, że panie w tak optakane wpadły położenie, to bym już radę znalazł. Do przedkiego widzenia w liście.

Pozdrowienia dla obu pań i wyrazy poważania proszę przyjąć od

Wacława Gąsiorowskiego

List ten warto uzupełnić kilkoma wspomnieniami z tego okresu samej adresatki Domicelli Szmidówny, która już u schyłku swego życia w Tarno-

\*) Nazwa stosowana jedynie w ośrodkach robotniczych, przeniesiona następnie przez Westfale do polskiej emigracji zarobkowej we Francji.



List Władysława Mickiewicza do Domicelli Szmidówny w Beaulieu (Loire)

Fragment listu M. Zamoyskiej, która kierowała „Opieką Polską” w Paryżu



Dokończenie ze str. 16-17

wie, pokazując zdjęcia rodziny Rejerów mówiła o serdecznym z nimi zażyjaniu:

„Ojciec Rejer, jak go wszyscy nazywali, był prezesem Związku Polaków. Miał 5 synów i 3 córki. Jedną z nich Pelasia pisała do mnie parę lat temu, że z chłopców już nikt nie żyje. Zostały tylko „dziewczęta”, które teraz są już babciami”.

W Archiwum po Domicelli Szmidównej znajduje się kartka polowa, pisana przez A. Leciejewskiego, również Bajonczyka, w maju 1915 r.:

„Niniejszym donoszę Pani, iż 9 t. m. wykonaliliśmy atak, który był uświęcony zwycięstwem, lecz kosztowało to dużo krwi. Nas z Lallaing niewielu wróciło. Ilu rannych jest, tego nie wiem. Proszę przygotować p. Rejera, iż Józef i Sylwester nie wrócą...”

Nieszczęściem Rejerów smuciła się również bardzo p. M. Zamoyska, wyrażając w jednym z licznych listów do Szmidówny mniej więcej z tego samego czasu (22 sierpnia 1915) serdecznie żał z powodu ich nieszczęścia:

„Czy biedni Rejerowie już wiedzą, że obydwa synowie ich zabici? Jednego kula położyła, drugi się do brata schylił i już nie powstał. Tak mi serdecznie żał tych biednych rodziców. Niech im Pani to powie, proszę”.

Tragiczna bitwa 9 maja 1915 miała miejsce pod Arras. Straty w niej były ogromne. Z samej tylko kompanii Bajonczyków poległo wtedy dwudziestu dziewięciu Polaków, a dziewięćdziesięciu Polaków zostało ciężko rannych. Oprócz braci Rejerów ciężką stratą była śmierć Kazimierza Trzebiatowskiego. Uczestniczył on w walnie przy założeniu pierwszej szkoły w Lallaing i Barlin. Był prezesem gniazda Sokola w Barlin i organizatorem pierwszego sokolego zlotu we Francji w 1914 r. Dzięki jego upartym staraniom szkoły w Lallaing i Barlin miały sale do nauki, a nauczycielki mieszkania.

Wśród późniejszych listów tak skrętnie przechowywanych w archiwum rodzinnym przez siostrzenicę Domicelli Szmidówny, p. Krystynę Laskownicą, znajdują się także dwa listy pisane przez Władysława Mickiewicza (1838—1926). Syn wielkiego poety był — jak wiadomo — biografem ojca, wydawcą jego korespondencji i pism, publicystą i tłumaczem na język francuski. Jego dom w Paryżu przez dziesiątki lat stanowił przystań dla wielu tułających się po Francji polskich emigrantów. Ale był też miejscem spotkań wielu wybitnych osobistości, mających wpływ na kształtowanie się życia społeczno-kulturalnego wśród wychodźstwa polskiego.

Z Domicellą Szmidówną korespondował Władysław Mickiewicz przez wiele lat, ale, niestety, w archiwum po niej przetrwały jedynie dwa jego listy, które publikowane są tu w ogóle po raz pierwszy. W tym czasie (1916 r.) był on już w podeszłym wieku, miał 78 lat. W przytoczonych listach zachowują oryginalną pisownię W. Mickiewicza:

16 kwietnia 1916

List Kochanej Pani córka i ja znajdujemy powracając z Puy. Panna Zamoyska powiedziała mi, że księdzu Piaszczyńskiemu chce się jechać do Maroku; odpowiedziałem, że improwizować podobną wyprawę bez przedwstępnej badania jest rzeczą ryzykowną, o ile wiem Polacy zaciągnięci tam do szeregów francuskich już zostali odesłani do Puy. Więcej między nimi było Niemczytów rodaków niż godnych zaopiekowania się ich osobą. Ksiądz Piaszczyński ze swej strony odezwał się też do mnie z projektem marokańskim i powtórzyłem mu zdania wyrażone Pannie Zamoyskiej. Osobiście zajmuję się jedynie jeńcami wojennymi.

Ksiądz Jakubisiak równie upoważniony objeżdżać miejscowości, w których jeńcy wojskowi znajdują się, pomocnika nie potrzebuje, przystać bym go nie mógł bez upoważnienia ministra wojny. Ksiądz Piaszczyński miałby może wiele do roboty z górnikami i robotnikami naszymi, którzy pracują na wolnej stopie. Mówię „może”, ponieważ o tych ostatnich nie mam dokładnych danych. Jeżeliby rzeczywiście ta kategoria... (słowo nieczytelne) naszych potrzebuje księdza — to niech ksiądz Piaszczyński napisze do naszej córki, że na podróże tego rodzaju potrzebuje franków, przypuszczam, że Komitet w Vevy przychylił się do prośby ułatwienia tej służby. Ale naturalnie, nie wypadałoby mieć konkurenta, musiałby ksiądz Piaszczyński porozumieć się z Panną Zamoyską, inaczej zgłoszby się do górników z jednej strony a ksiądz sprowadzony ze Szwajcarii z drugiej. Komitet w Vevy na opowiadanie Al-

zaczeków z St. Rambert nic nie da, ale łatwo księdzu Piaszczyńskiemu zbroczyć z drogi.

Czy rzeczywiście w diecezji Moulin jest 400 robotników polskich? Byłby to ważny argument, o tym dotąd nie słyszałem. Co do chorych jeńców polskich w szpitalach, to rzecz księdza Jakubisiaka, już takich spowiadał, ksiądz Piaszczyński musiałby tylko prosić wikarego generalnego o udzielenie księdzu Jakubisiakowi spisu tych jeńców chorych ze wskazaniem szpitali, w których przebywają. Powtarzam, że nie trzeba mieszać jeńców wojennych i zwykłych robotników naszych. Co się stosuje do jednych nie może się stosować do drugich. Kiedyś byłem w Moulin, znalazłem 400 jeńców — między nimi Pani Rodaków, którzy się do polskości przyznać nie chcieli. Kilku z nich później tego pożałowało na czasie. Przypuszczam, że Wikary ma po prostu na widoku tych 400 jeńców, którymi znów komitet żaden polski nie ma pogo opiekować się. W każdym razie, kiedy ksiądz Piaszczyński na miejscu — słuszniej jemu powierzyć zatwierdzenie tych spisów niż nowicjuszowi. Niech Pani po prostu to wszystko przedstawi Pannie Zamoyskiej.

Córka moja przypomina się łaskawie Pamięci Kochanej Pani.

Uprzejmie złączam ukłony.

Wł. Mickiewicz

Władysław Mickiewicz używa w liście nazwy Vevy, chodzi oczywiście o Vevy w Szwajcarii, gdzie działa słynny Sienkiewiczowski Komitet Pomocy polskim ofiarom wojny, finansowany przez Polonię amerykańską i Ignacego Paderewskiego. Jak wiadomo — Henryk Sienkiewicz mieszkał w latach wojny w Vevy i tu dokonał żywota 15 XI 1916. Szmidówna w jednym z listów do Szwajcarii opisała swą wojenną tułaczkę z rodzinami polskimi we Francji. Przypadek zrzadził, że list ten przeczytał Henryk Sienkiewicz, który orzekł, że opis ten znamionuje duży talent. Wróćmy jednak do drugiego listu Władysława Mickiewicza, który zachował się w dokumentach po Domicelli Szmidównie. Oto jego treść:

17 kwietnia 1916 r.

Pisałem do Kochanej Pani wczoraj, a dziś znów biorę się do pisania. Komitet w Vevy udziela mi podania p. St. Slicyńskiego o pomoc. Jest on w St. Michel de Frigolet. Czy to górnik? Dlaczego on znajduje się zamknięty a... (słowo nieczytelne) na wolnej stopie w Roche-la-Molière? Czy są to poddani pruscy czy austriaccy? Czy bardzo potrzebująca to rodzina i czy zasługująca na wsparcie?

Uprzejmie złączam ukłony.

Zyczliwy stuga

Wł. Mickiewicz

Jak dawno Slicyński we Francji?

W lipcu 1916 r. Domicella Szmidówna zdała w Paryżu egzamin z języka francuskiego w „Alliance Française” — celem uzyskania praw do nauczania również w szkołach francuskich. Przebywała w Paryżu zaledwie kilka dni, tam się spotkała zarówno z Władysławem Mickiewiczem, jak i Wacławem Gąsiorowskim i jego żoną, panią Astą. Omówiła też wszystkie sprawy związane z nauczaniem.

W jednym z późniejszych listów do rodziny. Szmidówna tak kreśli swoje dalsze losy i losy górniczych rodzin, z którymi przebywała w czasie I wojny światowej:

„Ponieważ potrzebowano tam (w rejonie St. Etienne) bardzo górników, postarano się o mieszkanie dla polskich rodzin i o stworzenie im możliwie dobrych warunków. Wielu też Polaków osiedliło się tam na stałe i nie wróciło już do Lallaing, jak np. rodzina Rejerów. Ja również tam zostałam. Zaprzyjaźniłam się z francuską rodziną Vigery, która bardzo mi pomogła. Vigery był jednym z kierowników kopalni, więc zależało mu na polskich górnikach, a że przy tym był porządnym człowiekiem, toteż i wiele dobrego dla Polaków zrobił. Dziś już nie żyje”.

Jak wynika z innych listów z teki pośmiertnej Szmidówny, utrzymywała one jeszcze przez długie lata, w latach międzywojennych, i po drugiej wojnie, kontakty korespondencyjne z wieloma Polakami i Francuzami z Pas-de-Calais, Loire, Nordu i Seine, m. in. z wdową panią Vigery.

Krystyna KOZŁOWSKA

P. S. Zamieszczono tu po raz pierwszy drukiem materiały dokumentalne stanowiące tylko część korespondencji z archiwum po Domicelli Szmidównie. Do innych powrócimy. Czytelników pamiętających opisane tu dzieje lub posiadających jakiegokolwiek materiały dokumentalne czy wspomnieniowe z tego okresu — prosimy o łaskawe przekazywanie do redakcji.

# RATUNEK W ZIELENI

O ochronie zieleni przed szkodliwymi wpływami środowiska  
mówi prof. dr STEFAN BIAŁOBOK — dyrektor Zakładu Dendrologii i Arboretum PAN w Kórniku k/Poznań.

— Dla człowieka i dla roślin jest szkodliwa koncentracja przemysłu i środków transportu, zatruwających powietrze i wodę. Szczególnie jest zagrożone najbliższe środowisko człowieka — zieleń w miastach położonych w wielkich okręgach przemysłowych, np. w okręgu śląsko-dąbrowskim. Otóż poprawę warunków bytowania w takich okręgach, czyli w dużych zbiorowiskach ludzkich, można osiągnąć przez wprowadzenie do miasta terenów zielonych, czy też tworzenie ochronnych stref zielonych wokół okręgów przemysłowych.

Rośliny strefy ochronnej, jak i zieleń w wielkich miastach, muszą być odporne na pyły i gazy przemysłowe znajdujące się w powietrzu — np. na trujące działanie dwutlenku siarki, którego ilość w powietrzu stale wzrasta w związku z szybkim rozwojem różnych gałęzi przemysłu.

Jednym z kierunków prac badawczych Zakładu Dendrologii i Arboretum PAN w Kórniku — zaliczanego do większych i bogatszych placówek drzewoznawczych w Polsce — jest hodowla drzew odpornych na niektóre trujące związki, unoszące się w powietrzu. Wielka rola zieleni przejawia się głównie w częściowej ochronie człowieka przed szkodliwym działaniem kurzu, sadzy, trujących substancji. Zadrzewienie zwiększa też wilgotność powietrza, łagodzi różnice temperatur, osłania osiedla przed wiatrami, wpływa korzystnie na bilans wodny gleby. Również żywopłoty oraz grupy drzew i krzewów tłumią hałas i wibrację powietrza wywołane przez maszyny.

**Drzewa i krzewy wzbogacają atmosferę w tlen. I tak np. drzewo w ciągu 10 lat swego życia produkuje tyle tlenu, ile go zużywa człowiek w ciągu 20 lat życia; hektar lasu sosnowego wytwarza rocznie 8 ton tlenu.**

Ochrona roślin przed szkodliwym wpływem pyłów i gazów trujących jest niezmiernie trudna, a badania nad tym problemem są dopiero zapoczątkowane. Toksyczność mieszaniny gazów zatruwających powietrze w okręgach przemysłowych jest znacznie większa niż pojedynczo działających substancji trujących; w dodatku w wielkich miastach i okręgach przemysłowych spotykamy się ze zjawiskiem toksycznego działania mieszaniny różnych gazów.

Jak już wspominałem, w Zakładzie Dendrologii i Arboretum PAN w Kórniku rozwijamy hodowlę gatunków drzew i krzewów odpornych na szkodliwe pyły i gazy; prowadzimy też prace badawcze. Wybraliśmy kilkanaście gatunków drzew, które mogą być szerzej wykorzystane do sadzenia w miastach i okręgach przemysłowych. Korzystamy też z wyników prac badawczych podobnych placówek drzewoznawczych za granicą. Do drzew, które dość dobrze znoszą zatrucia atmosfery, należą pewne gatunki sosen, jak np. sosna czarna, rumelijska i wydymowa, dąb czerwony, pewne mieszańce topoli, kosodrzewina oraz nieliczne gatunki świerków. Badania wykazały, że dwutlenek siarki uszkadza większość gatunków drzew iglastych — np. sosnę zwyczajną, świerk pospolity, jodłę pospolitą. Pod wpływem dwutlenku siarki oraz innych gazów zmniejszają się plony owoców i warzyw.

Największą odporność na działanie dwutlenku siarki wykazuje modrzew japoński. Dostaliśmy z Japonii sadzonki tego drzewa, które w tym kraju rośnie przeważnie wokół wulkanów, a więc jest już z natury uodpornione na gazy, głównie na dwutlenek siarki. Tę właściwość modrzewia japońskiego wykorzystuje się już w różnych krajach, wprowadzając go na tereny zielone w wielkich miastach i okręgach przemysłowych. Także mieszańce modrzewia japońskiego i europejskiego charakteryzują się podobną odpornością. Mieszańce te rosną szybko i doskonale nadają się do zalesień terenów zagrożonych szkodami powodowanymi przez dwutlenek siarki.

Chciałbym podkreślić, że możliwości przyrodnika w ochronie zieleni — w dzisiejszych warunkach i w przyszłości — są ograniczone. Wszyscy natomiast, zdajemy sobie sprawę, czym grozi dalsze zatrucie środowiska. I głównie technicy mają możliwości zmniejszenia zapylenia i zatrucia atmosfery przez stosowanie filtrów — byle były powszechnie używane. Jest to najszybszy sposób zmniejszenia zapylenia powietrza i wody w środowisku człowieka.

Notowała: T.S.

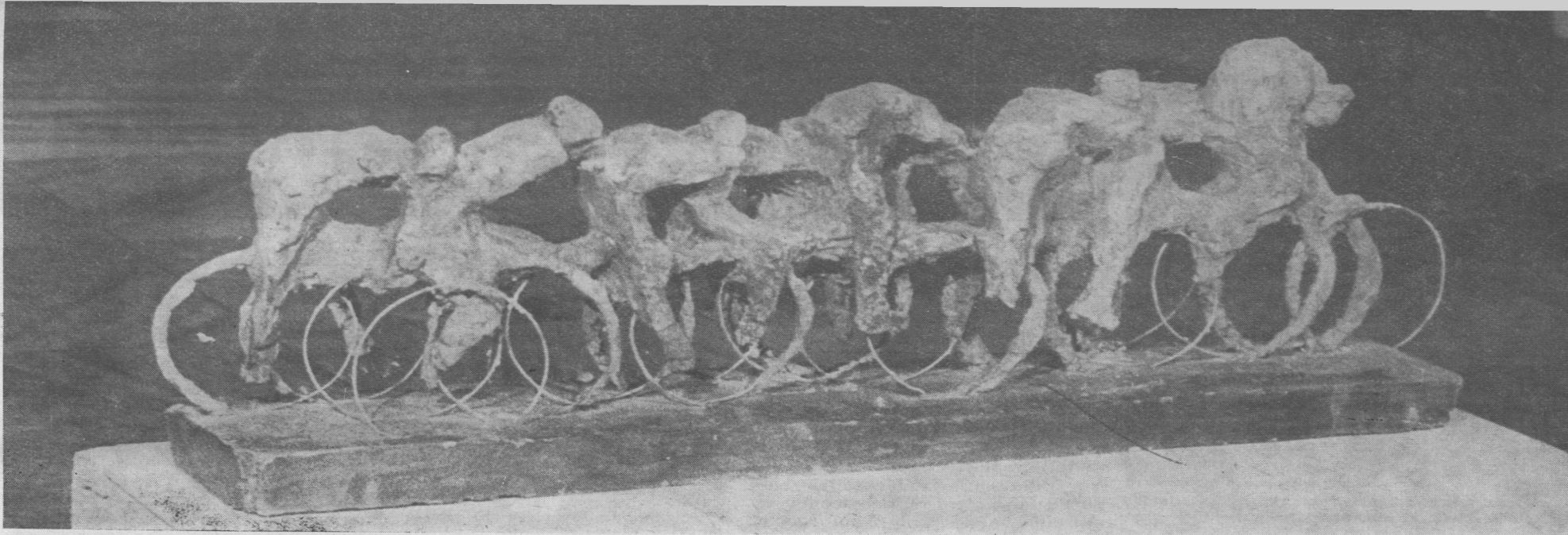
**RADIOODBIORNIKI  
— TELEWIZORY**

■ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego ■

**LENG-PICARD ET C-ie**

16, Place de la Liberté. 423 rue de Lannoy  
Telefony; 73.39.43, 73.29.47

ROUBAIX (Nord)



# SPORT W SZTUCE

Prezentowane zdjęcia wykonane zostały na warszawskiej wystawie „Sport w sztuce”, na której eksponowano prawie dwieście obrazów, rzeźb, tkanin i innych dzieł. Wystawa cieszyła się wielkim powodzeniem wśród zwiedzających, a 70 najlepszych prac wysłano na wernisaże zagraniczne.

Nie jest to pierwsza tego rodzaju wystawa w Polsce. W okresie powojennym Polski Komitet Olimpijski organizował z okazji każdego, kolejnych Igrzysk konkursy sztuki, a nagrodzone prace pokazywano szerokiej publiczności.

Tradycja konkursów sięga czasów starożytnej Grecji. Jan Parandowski, wielki polski pisarz, nagrodzony brązowym medalem olimpijskim w roku 1936 za powieść „Dysk Olimpijski” pisze:

„Sztuka grecka... tworzy niezliczone posągi zwycięzców w igrzyskach. W Olimpii były ich setki. To samo było w Delfach, w Nemei, wszędzie, gdzie odbywały się zawody sportowe. Również liczne były malowidła, które znikły bezpowrotnie, a przypomi-

nają je wzruszające pamiątki idące w wiele tysięcy: wazy malowane, gdzie można się przyrzuć jakby kronice obrazkowej życia sportowego. Pędzłem i dźwiękiem towarzyszyło słowo, pisaną ody na cześć zwycięzców, z tych najslawniejszych, po dziś czytane z podziwem, są ody Pindara, klejnoty liryki greckiej”.

Tak więc w wielu miastach starożytnej Grecji igrzyska nie ograniczały się tylko do zawodów sportowych. Do współzawodnictwa stawiali muzyki, dramaturdzy, literaci, śpiewacy i tancerze, uderzała przy tym duża różnorodność gatunków i rodzajów twórczości: epika, liryka i dramat, poezja i proza, utwory na flet, lutnię, harfę, orkiestrę. Zwycięzców nagradzano, jak innych zawodników, wieńcem oliwnym. Olimpiady stwarzały potężny bodziec dla wszelkiego rodzaju twórczości.

Po wznowieniu Igrzysk Olimpijskich w 1912 roku włączono do nich konkursy sztuki, który jednak nie wzbudził większego zainteresowania.

Polska po raz pierwszy wzięła udział w Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu, w 1924 roku. Zrezygnowano jednak z uczestniczenia w konkursie sztuki, a jedynie kilku sławnych artystów jak: Karol Szymanowski, Olga Boznańska, inż. Karol Stryjeński — zasiadło w jury konkursu.

Po raz pierwszy polscy artyści wystartowali w konkursie olimpijskim w 1928 roku w Amsterdamie. Spośród 589 prac, jakie napłynęły z całego świata, tylko kilka pochodziło z Polski, ale płon medalowy okazał się bogaty. Kazimierz Wierzyński otrzymał złoty medal za zbiór poezji „Laur Olimpijski”, zaś Władysław Skoczylas za cykl akwarel, na który złożyły się prace: „Sw. Hubert”, „Diana”, „Łucznik Stojący” i „Łucznik Kłęczący” — medal brązowy.

Podczas Igrzysk w Los Angeles w 1932 roku sztuka polska znalazła się wobec olbrzymiej konkurencji: nadesłano tam ogółem 1100 prac. Polscy twórcy wyszli jednak z tej próby zwycięsko. Złoty medal w dziale rzeźby otrzymał Józef Klukowski za rzeźbę „Wieńczenie zawodnika”, a srebrny — Janina Konarska za barwny drzeworyt „Narciarze”. Poza tym wyróżniono „Łucznika”, obraz Wacława Borowskiego i „Hokeistę”, rzeźbę Antoniego Kenarska. W ogólnej punktacji Polska zajęła drugie miejsce za Stanami Zjednoczonymi.

Sukcesy odnieśli również polscy artyści w 1936 roku w Berlinie. Na konkurs olimpijski zgłoszono ponad 900 prac z 24 krajów. Polacy uzyskali trzy medale: Józef Klukowski za płaskorzeźbę „Piłka nożna” srebrny, Jan Parandowski za powieść „Dysk Olimpijski” oraz Stanisław Ostoja-Chrostowski za drzeworyt „Korweta” — medale brązowe.

Jak mówi rzymskie przysłowie: „Inter arma silent Musae”, czyli w czasie wojny milczą muzy, kolejne więc Igrzyska i kolejny konkurs sztuki odbył się dopiero w 1948 roku w Londynie. Polska zdobyła tam złoty medal. Uzyskał go w dziale muzyki kompozytor Zbigniew Turcki za utwór „Symfonia olimpijska”; ponadto wyróżniono „Kantatę olimpijską” Grażyny Bacewiczówny i „Kantatę żniwną” Stanisława Wiechowicza. W dziale rzeźby wyróżniono pracę Jerzego Badury „Kraul” i Franciszka Strynkiewicza „Na mecie”, w dziale grafiki — osiem szkiców Marczyńskiego, a w dziale liryki — „Ody olimpijskie” Jarosława Iwaszkiewicza.

Igrzyska Olimpijskie w Londynie miały po raz ostatni w swym programie konkursy sztuki. Na posiedzeniu Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w 1949 roku zapadło postanowienie zastąpienia konkursów sztuki — wystawami i festiwalami artystycznymi. Pomimo usunięcia współzawodnictwa artystów z programu olimpijskiego, PKOl postanowił utrzymać tradycję krajowych konkursów sztuki, w pełni doceniając ich znaczenie. Płonem tych konkursów są właśnie stałe, organizowane co cztery lata wystawy „Sport w sztuce”.

Niezależnie od nagród, związanych z konkursami sztuki PKOl przyznaje złote i srebrne „Wawrzyny olimpijskie” za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie literatury i sztuki w służbie idei olimpijskiej i kultury fizycznej. Polska, a właściwie jej przedstawiciele w MKOl na każdym kongresie ponawiają wnioski o przywrócenie w programie Igrzysk konkursów sztuki. Idea ta zyskuje sobie coraz więcej zwolenników, a przedstawiciel Polski, Wł. Reczek, został wybrany przewodniczącym Komisji Kultury MKOl.



On le sait, dans la Grèce antique, les Jeux olympiques ne concernaient pas uniquement le sport, mais aussi les différentes formes de l'art, comme le chant la poésie, la musique, etc...

Lorsque la tradition des Jeux sportifs fut reprise, il fut décidé, en 1912, d'ajouter les diverses disciplines de l'art. En 1924 la Pologne figurait parmi les membres du jury seulement mais: Amsterdam, en 1928 les Polonais prirent part aux concours et glanèrent bien des rameaux d'olivier dans tous les domaines. Il en fut de même en 1932 à Los Angeles, puis à Berlin en 1936 (le célèbre écrivain Jan Parandowski reçut alors une médaille de bronze pour son roman „Le Disque olympique”). Les Jeux olympiques de Londres furent les derniers à respecter cette tradition qui ne fut reprise après la guerre. La Pologne toutefois décida de la maintenir et tous les quatre ans on a pu voir une exposition intitulée „Le Sport dans l'Art”. Petit à petit, lors des congrès du Comité international des Jeux olympiques, l'idée de reprendre la tradition de l'avant guerre fut lancée et à l'heure actuelle les adeptes de l'application de Jeux olympiques dans les différentes formes de l'art sont de plus en plus nombreux.

# SZKLANKI ŚW. JADWIGI

TYLKO 10 TAKICH OKAZÓW NA ŚWIECIE

**F**RANCUSCY historycy sztuki nazywają te szklanki „Les verres de St. Hedvige”, w Niemczech mówią na nie — „Hedwigsgläser”. Są to zabytki sztuki najwyższej klasy światowej. Jest ich w sumie zaledwie dziesięć. Cztery znajdują się w muzeach Niemieckiej Republiki Federalnej — w Norymberdze, Halberstadt, Koblencji i Minden; jedną szczyci się muzeum belgijskie w Namur, jedną posiada muzeum w Amsterdamzie, jedną odkryto niedawno w ZSRR w muzeum Nowogorodu, a ostatnio także w skarbach British Museum w Londynie, ale jej autentyczność nie została jeszcze bezspornie dowiedziona, dwie zaś znajdują się w Polsce: w Skarbcu Katedralnym na Wawelu i w Muzeum Śląskim w Opolu.

Wszystkie (z wyjątkiem może londyńskiej) pochodzą z luksusowej zastawy stołowej żony śląskiego Piasta, księcia Henryka I Brodatego (1168—1238), św. Jadwigi Trzebnickiej (1174—1243). Była ona córką księcia Meranu Bartolda, wniosła do zamku śląskiego księcia bogate wiano m. in. właśnie owe bezcenne szklanki, a przywieziono je do Europy w czasie wypraw krzyżowych. Powstały one w Egipcie, w okresie panowania tam dynastii Fatymidów, założonej w roku 909 przez Obeida Allacha ibn Mahometa, potom-

ka Fatymy, najmłodszej córki samego Mahometa. Są ze szkła, rżniętego jak kryształ.

Na dzieje „Szklanek św. Jadwigi”, zwłaszcza obu znajdujących się w Polsce, zwrócił uwagę dr Jerzy Pietrusiński z Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk, który wraz z żoną mgr Marią Pietrusińską napisał o nich wyczerpującą pracę. Ukazuje się ona niebawem w Polsce w I tomie „Dziejów Sztuki Polskiej”, zredagowanym przez zmarłego niedawno wybitnego profesora Michała Walickiego.

A oto droga podpisana pod tą publikacją, odbyta w związku ze „Szklankami św. Jadwigi” do Krakowa i Wrocławia.

Na Wawelu przyjął nas z serdecznością kustosz Skarbcu Katedralnego, prałat metropolita krakowskiej kapituły, ksiądz dr Kazimierz Figlewicz. Po krótkiej rozmowie w jego gabinecie (boazeria ścian zawieszona galerią portretów papieży) ksiądz prałat osobiście uprzejmie zaprowadził nas do Skarbcu. Wielkim masywnym kluczem otworzył potężne żelazne drzwi do sali z gablotami. W każdej z nich znajdują się za szkłem bezcennej wartości skarby ściśle związane z dziejami Polski. Obok włóczni św. Maurycego (dar cesarza Ottona III dla Bolesława Chrobrego) szablę księcia Józefa Poniatowskiego, obok infuzy św. Stanisława — strzemię Kara Mustafy zdobyte przez Sobieskiego; racjonalną ozdoba biskupów krakowskich, dar królowej Jadwigi, sąsiaduje z ornatem ozdobnym daru Anny Jagiellonki z 1505 r., a w środku, między relikwiarzem św. Floriana i relikwiarzem św. Stanisława, cacko zabytkowe, które pragniemy zobaczyć,

mienili na magazyn wojskowy, szklanka-kielich powędrowała do biskupa sufragana krakowskiego, Franciszka Zglennickiego, skąd w 1830 r. dostała się do Skarbcu Katedralnego na Wawelu.

W Muzeum Opolskim rozmawiamy z kustoszem, mgr Tadeuszem Chruścikiem. Dowiadujemy się, że niestety, szklanka znajduje się teraz we Wrocławiu; była w pewnym okresie rozbita i została niefachowo sklejoną. Chodziło ponadto o bezsporne stwierdzenie jej autentyczności i przeprowadzenie fachowej konserwacji, czyli ponowne sklejenie, które przeprowadza Pracownia Konserwacji Zabytków.

Jedziemy wobec tego do Pracowni Konserwacji Zabytków. Rozmawiamy tam z kierownikiem działu konserwacji dzieł sztuki, mgr Antonim Szocem i starszym konserwatorem mgr Marią Kowalską. Słuchamy z uwagą ich relacji o historii i losach drugiej polskiej „Szklanki św. Jadwigi”. Dowiadujemy się, że w swoim czasie, przed wojną, była we Wrocławiu jeszcze trzecia, ale w zawirusze wojennej wszelki ślad po niej zaginął.

Bardzo dawno temu druga szklanka dostała się w posiadanie Zakonu w Nysie. W XVI wieku przerobiono ją na puszkę-kielich mszalny z srebrną stopą z obudową i przykrywką z krzyżkiem ze złoczonego srebra. Stopę wykonano w innym czasie, obudowę również w innym.

Zakon przekazał szklankę-kielich Kolegium Jezuitów w Nysie, skąd zawędrowała do słynnego „Carolineum”, ufundowanego przez biskupa wrocławskiego, w którym m. in. studiowali So-

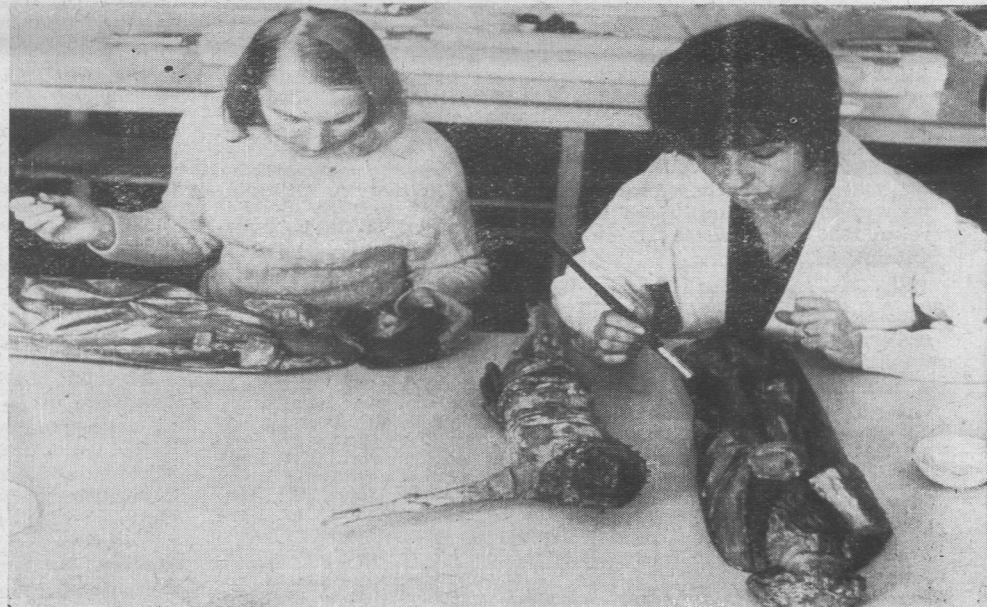


Ornat z 1505 r., dar Anny Jagiellonki, Pastorał biskupa z 16 wieku i inne

Lors de son mariage avec Henri Ier, duc de Silésie, Hedwige, qui devait être canonisée et rester sainte, apporta une riche dot dont faisait partie les célèbres verres que les historiens français de l'art appellent „Verres de Ste Hedwige”. Il y en a seulement dix de par le monde, quatre en R.F.A., un au musée de Namur, un à Amsterdam, un en URSS et un à Londres. Deux se trouvent en Pologne, dont l'un dans le Trésor de la cathédrale du Wawel à Cracovie. Du temps des croisades, ces verres furent amenés en Europe par les Croisés et ils furent taillés en Egypte du temps de la dynastie des Fatimides. L'autre verre est à Wrocław et en cours de conservation. Donc si l'on veut voir ces oeuvres d'art, il faut se rendre ou bien à Namur ou bien, lors d'un voyage en Pologne, à Cracovie.



Drogie każdemu Polakowi pamiątki historyczne: włócznia św. Maurycego, dar cesarza Ottona III dla Bolesława Chrobrego (r. 1000), miecz Zygmunta Augusta



Ponad 5000 obiektów zabytkowo-artystycznych uratowano we Wrocławskiej Pracowni Konserwacji Zabytków. Mgr mgr Menet i Witasza przy pracy

„Szklanka św. Jadwigi”, stanowiąca obecnie część kielicha mszalnego.

Ksiądz prałat Figlewicz przekazuje nam legendę, która głosi, że św. Jadwiga w owych egipskich szklankach podawała spragnionym pracującym w polu chłopom wodę do picia. Szklanka ma 10 cm wysokości, podstawa na której ją umieszczono — 15 cm, grubość szkła — ok. 6 mm. Na szkle ręka szlifierza pozostawiła dwa lwy i orła. Na złoczonej podstawie ze srebra, która pochodzi z XV wieku wryty postać św. Jadwigi, przed którą kłęczy apostoł, chusta św. Weroniki i pelikana, broniącego swe pisklęta. Prałat Figlewicz tłumaczy, że pelikan uchodził w średniowieczu za najofiarniejszego z ptaków, stąd jako symbol został umieszczony przez nieznanego dziś artystę na postumencie. Gdy nie miał czym karmić piskląt ptak rozrywał własną pierś i krwią poił małe...

Autentyczność wawelskiej „Szklanki św. Jadwigi” nie ulega żadnej wątpliwości. Od niepamiętnych czasów znajdowała się w posiadaniu krakowskich kościołów i biskupów. Przechowywano ją najpierw jako relikwii w kościele św. Jadwigi. Gdy Austriacy kościół za-

bięscy, a dopiero z „Carolineum” dostała się do miejscowego Muzeum.

Tu historia zaczyna się gmatwać. Trudno dziś dotrzeć do naoznaczonych świadków i znaleźć potwierdzenie zasłyszanych szczegółów. Długoletnim kustoszem Muzeum w Nysie był od 1926 r. Franciszek Bomba, Niemiec, choć sądząc z nazwiska niewątpliwie polskiego pochodzenia. Gdy w 1945 r. do Nysy zbliżał się front i hitlerowcy zarządzili ewakuację, kustosz Bomba podobno jednak pozostał na miejscu, uważając, że powinien ratować muzealne skarby. Zakopał je i strzegł, aż przewaliła się zawierucha wojenna. Potem sam zgłosił się do przybyłego do Nysy historyka sztuki polskiej, inż. arch. Stanisława Kramarczyka i przekazał zbiory nyskiego muzeum, wśród których była także najbardziej przez niego strzeżona bezcenna szklanka.

Z Nysy szklanka-kielich przekazana została w kilka lat później do Muzeum Opolskiego, które wysłało ją — jak wspomnieliśmy — do wrocławskiej pracowni.

Czego dowiedzieliśmy się we wrocławskiej placówce konserwacji od mgr Antoniego Szoca.



8 wieków różnicy: krakowska „Szklanka św. Jadwigi” pochodzi z 12 wieku, studentka Jadwiga z krakowskiej ASP jest o 800 lat od niej młodsza



Prałat metropolita krak. kapituły, ks. dr. K. Figlewicz ze „szklanką” przed jej gablotą. Stała się ona kielichem mszalnym (z prawej)



— Najpierw musieliśmy stwierdzić, czy przedstawiony zabytek jest rzeczywiście autentyczną „Szklanką św. Jadwigi” i pochodzi z jej posagu. Zastosowaliśmy przy tym metody, jakimi posługują się najwytrawniejsi specje z... Zakładów Kryminalistyki. Rok powstania, wędrownka, włączenie do posagu itd. — autentyczność została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość, ale wymagało to czasu.

Przy okazji rozstrzygnięty też został spór, kiedy „szklanka” uległa potłuczeniu. Okazało się, że była stłuczona nie raz lecz dwa razy. Pierwszy raz już w okresie baroku, drugi — znacznie później, prawdopodobnie w czasie I wojny światowej. Badania laboratoryjne i „wywiad dedukcyjny” ustaliły metody przyszlifowania podstawy i czterech istniejących nacięć. Ustalono rodzaj narzędzi, którymi przyszlifowania i nacięcia były wykonane i przypuszczalną datę tych operacji. Laboratoryjnie zbadano także rodzaj mieszanek, jaką użyto do sklejenia dziełcu tłuźczek wcześniejszych i kilku późniejszych.

Nysko-opolsko-wrocławska szklanka ma te same rozmiary, co krakowska:

szkło 10 cm wysokości i 6 mm grubości. Wyróżnione na niej ornamenty przedstawiają rośliny i figury geometryczne. Podstawa także jest ze srebra, obudowa i przykrywka — ze złoczonego srebra. Na podstawie znajduje się medalion św. Jadwigi, a na nim umieszczona data: 1528 r. Obudowa-puszka pochodzi z czasów późniejszych, przykrywka również. Każda wykonana została inną ręką i z innego materiału oraz inne ma formy zdobnicze.

Badania „szklanki” we Wrocławiu trwają już dwa lata i nie zostały jeszcze ukończone. Najtrudniejsze zadanie stoi jeszcze przed wrocławską pracownią: jak „rozebrać” sklezione części, aby przy rozbiórce nie spowodować niepowetowanych szkód? Późniejsze powtórne, fachowe sklejenie, to już fraszka — tak przynajmniej twierdzi mgr Szoc. Wierzymy mu na słowo.

Jan RAKOCZY

Zdjęcia pamiątek ze Skarbcza Wawelskiego są zdjęciami unikalnymi. Kapituła bardzo rzadko tylko pozwala na ich sfotografowanie. „Tygodnik” korzystał ze specjalnego zezwolenia kanonika krakowskiej kapituły metropolitarnej ze specjalnym podkreśleniem — „dla Polonii francuskiej”

# PAMIĘTAJ!

## Przed wyjazdem do Polski

## NIE ZAPOMNIJ

o

## M A P A C H

i

## PRZEWODNIKACH

## Najlepszy wybór zapewni zawsze

## WYPRÓBOWANY

## D O S T A W C A

la boutique polonaise

25, rue Drouot — Paris 9-e

tel.: 770-83-37

c. c. p. Paris 189.46.68



# <sup>1</sup> Z DWURURKĄ <sup>2</sup> I AMOREM



**1** Nadbużański las. Leciutka poranna mgła otula jeszcze ziemię. Ja, Amor i dwururka wychodzimy z namiotu i udajemy się na miejsce zbiórki. Polowanie jest grupowe. Prócz nas są jeszcze inni amatorzy trofeów. Musimy się bardzo starać.

**2** W tych szuwarach są kaczki. Psy węszą zajadle. Mój Amor także. Ale jego rola dopiero się zacznie.

**3** Porywa się do lotu. W porannym słońcu mienią się złociste i szafirowe pióra na skrzydłach ptaka. Celny strzał w locie! Jesteśmy zadowoleni, Amor z przejęciem merda ogonkiem.

**4** Co ja bym bez niego robił? Wyżył szorstkowłose, a Amor reprezentuje tę właśnie arystokratyczną rasę, znakomicie aportują kaczki, na które poluje się zazwyczaj nad wodą i które do niej spadają. I gdyby nie Amor, który zreżnie wylawia je z rzeki, nigdy nie miałbym tyle trofeów.

**5** A oto nasze trofea. Piękne, co? Aż pięć kaczek. Teraz pora na obiad. Przy ubitych ptakach został Amor, żeby je pilnować. Może nie ma przed kim, ale pies jest myśliwski i musi swoje zadanie wykonać do końca. Trochę mu się nudzi, bo jego pan, to znaczy ja, od godziny rozstrząsam z towarzyszami myśliwskie problemy. „Szkoda, żeście tego nie widzieli” — mówię. „Widzieliśmy, widzieliśmy” — myśli sobie Amor z rozbawieniem i patrzy na mnie swoimi mądrymi oczami.

**ZDJĘCIA: Jarosław TARAŃ**

„Ogary poszły w las, echo ich grania...” tak zaczyna się słynna powieść wielkiego polskiego pisarza Stefana Żeromskiego „Popioły”. Te słowa kojarzą się z polowaniem, z nastrojem puszczy i grubego zwierza.

Polowania w Polsce mają swoją piękną tradycję i licznych a zagorzałych zwolenników. We wszystkich środowiskach. Polują robotnicy, nauczyciele, artyści i dyplomaci. Jak w wielu krajach, w Polsce są znakomite warunki do polowań — przepastne lasy i „pełne zwierza bory”, żyjącego w stanie wolnym. Zwierzęta łowne — jak dziś niemal wszędzie — przez pewien okres roku znajdują się jednak pod ochroną, przede wszystkim na wiosnę, kiedy to rodzą się małe. Stąd dla każdego zwierzęcia inny jest czas polowań.

1 kwietnia rozpoczyna się sezon polowania na głąszcę i trwa przez cały miesiąc. Jest to okres godowy zwany „tokowaniem”. Od 21 maja sezon polowań na sarny i trwa do końca września. Te polowania cieszą się szczególnym zainteresowaniem zagranicznych myśliwych, w tym także Polaków zamieszkałych za granicą. Następną zwierzyną to jeleni, na którego poluje się w okresie godowym zwanym „rykowiskiem”, od 10 września do 10 października i polowania na daniela w październiku. Potem przychodzi okres polowań na dziki, również bardzo atrakcyjny. Poluje się na nie indywidualnie (2 osoby), grupowo (2—4 osób) lub zbiorowo (8—14 osób).

Gdzie odbywają się polowania?

Przed wszystkim w Puszczech: Białowieskiej, Piskiej, Augustowskiej, Boreckiej, Solskiej, Niepołomickiej, w Bieszczadach, w Borach Tucholskich i w innych regionach zachodniej części Polski. Są to lasy województwa szczecińskiego, zielonogórskiego, Ziemi Lubuskiej oraz doliny Baryczy w woj. wrocławskim.

Jeśli chodzi o drobną zwierzynę i ptactwo, nie organizuje się w Polsce polowań dla gości zagranicznych, bowiem Polska prowadzi duży eksport żywych zajęcy, bażantów i innych zwierząt.

Rocznie przyjeżdża do Polski od 1000 do 1500 zagranicznych myśliwych, przede wszystkim z Austrii, NRF, Belgii, Danii, Francji, Szwecji, Włoch, a także z innych krajów europejskich oraz z USA.

Polowania odbywają się z zachowaniem wszystkich starych i pięknych tradycji.

*„Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty,  
swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty  
jak wąż boa... i zadął...”*

Tak, tak. Od tamtych czasów polowań, sławnych i bogatych, które tak pięknie uwiecznił Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”, upłynęło już sporo czasu, ale jeszcze dziś odbywa się odtrąbianie na rogach początku polowania. Zachowany jest i nadal kultywowany obyczaj pasowania na myśliwego, kiedy ustrzeli on pierwszą sztukę jakiegoś zwierza. A te noclegi w zacisznych i tajemniczych leśniczówkach i długie rodaków rozmowy przy ognisku. Swojski bigos i kiełbaski z różną.

*„Ach pani, przed dwoma laty ubilem jednym strzałem dwa dziki!”*

Prawda, znacie te przechwałki myśliwych.

Dzisiaj prezentujemy Wam polowanie na dzikie kaczki. Ulubiony rodzaj łowów polskich myśliwych. W parną letnią sierpniową noc, tuż przed świtaniem...



Le calendrier des chasses est très strict. Le mois d'août, est, en Pologne, le temps de la chasse au canard sauvage. Cette chasse qui se déroule alors que le jour pointe à peine, alors que la brume recouvre encore l'eau et la terre, a son charme particulier.

Un bon fusil, un bon chien, un griffon fidèle toujours prêt à foncer dans l'eau, et les trophées s'accumulent. Quand le soleil est déjà haut les chasseurs et leurs chiens se retrouvent et admirent le produit de leur chasse.



**P**ROFESOR Stanisław Wędkiewicz wydawał w Paryżu, nakładem Centre Polonais de Recherches Scientifiques, rozprawy pełne czarującej erudycji, niestety, zbyt mało znane poza kręgami specjalistów. W jednej z tych rozpraw Stanisław Wędkiewicz oraz p. Maria Malkiewicz-Strzałkowska z Krakowa omawiali sprawę Adama Klewańskiego.

### „Polak wyróżniający się erudycją”

Kim był Klewański? W korespondencji francuskiego pisarza, Pawła Ludwika Couriera, figuruje wzmianka o niezwykłym Polaku, którego Courier poznał u pewnego księgarza tuluzańskiego w 1796 roku, aby następnie zostać jego powiernikiem i przyjacielem. Anonimowy autor notatki biograficznej, w którym niektórzy francuscy badacze dopatrują się samego Couriera, pisał w 1824 roku: „W Tuluzie przypadkowo spotkał (Courier), w księgarni pana Chlewaskiego, Polaka wyróżniającego się erudycją; jego gusty cudownie zgodziły się z jego własnymi, co umożliwiło zadzierzgnięcie się między nimi gorącej przyjaźni. Długie godziny przebywali razem, po czym p. Courier przebrał się i biegł na bale... Pewnego grudniowego poranka 1797 roku musiał nagle opuścić miasto i nie mógł nawet pożegnać swego przyjaciela, Chlewaskiego...”

Po tym odjeździe przyjaciele wymieniali ze sobą listy; w „korespondencji z Francji i Włoch” Couriera, wydanej pośmiertnie w Paryżu w 1828 roku, znalazły się cztery listy „do pana Chlewaskiego”, jeden z Lyonu, a trzy z Włoch. Courier pisał w pierwszym z nich: „Lektury, podróże, przedstawienia, bale, pisarze, kobiety, Paryż, Lyon, Włochy — oto Odyseja którą chowam dla Pana. Listy moje zależą Pana jak ulewa!” W listach zachowanych, pisze Courier głównie o archeologii, poezji rzymskiej, dramaturgii, teatrze (np. Talmie w roli Makbeta), o harmonii i dysharmonii osób oraz rzeczy... Wszystkie odpowiedzi na te listy przepadły; zapewne bezpowrotnie.

Tajemniczy polski przyjaciel Couriera był zapewne o kilka lat starszy od swego sławnego francuskiego korespondenta. Zdaje się, że wywierał nań ogromny urok intelektualny, że go zadziwiał, imponował mu. Owa przyjaźń „Chlewaskiego” z Courierem jest więc jednym z ciekawych epizodów francusko-polskiej wymiany kulturalnej, która od czterech już wieków tak wiele przyniosła ożywczych i wartościowych pobudzeń. Listy Couriera do „Chlewaskiego” niejednokrotnie cytował Saint-Beuve.

### Syn księcia Adama Czartoryskiego

Kim jednak był ów tajemniczy „Chlewaski”. Sprawa ta w swoim czasie przyciągała uwagę prof. Askenazego. Wydając pierwszy tom swego dzieła „Napoleon a Polska” (Warszawa 1918) i zużytkowując tam, korespondencję Couriera jako źródło informacji o życiu włoskim w okresie walk polskich Legionów, Askenazy wyraził przypuszczenie, że pod tym pseudonimem krył się właściciel Chlewisk, wojewoda krakowski, Stanisław Sołtyk. Ale pod koniec życia, historyk zmienił opinię. Zbadawszy archiwa w Bibliotece Czartoryskich, zidentyfikował „Chlewaskiego” jako naturalnego syna księcia Adama Czartoryskiego (ojca), całe niemal życie spędzającego na emigracji, Adama Klewańskiego.

Prof. Stanisław Wędkiewicz szeregiem nieodpartych argumentów ustalił, że wspomniany przez Couriera polski jego przyjaciel „Monsieur Chlewaski” był istotnie identyczny z naturalnym synem Czartoryskiego,

Adamem Klewańskim. Zmuszany od młodości do jak największej dyskrecji, przeczułony na tym punkcie i widocznie chorujący na uraz skromności, Adam Klewański skłonił zapewne wydawców korespondencji Couriera do przekreślenia swego nazwiska. Tak więc całe pokolenie badaczy, zarówno francuskich, jak i polskich, nie domyślały się nawet, że ów pełen wiedzy i smaku przyjaciel Couriera, który z nim toczył uczone i długie dysputy na przechadzkach tuluzańskich, był identyczny z naturalnym bratem niekoronowanego króla Polski, jednego z bohaterów „Lewela” Wyspiańskiego, byłego kuratora Uniwersytetu Wileńskiego, ks. Adama Czartoryskiego!

### Skazany na emigracyjną „banicję”

Jak wynika z faktów, przytoczonych przez p. Malkiewicz-Strzałkowską, stary ks. Adam August Czartoryski w jakiś sposób kochał zapewne swego naturalnego, najstarszego sy-



na, Adama (który od posiadłości Czartoryskich na Wołyniu, Klewania, otrzymał nazwisko Klewański). Niemniej, ze względów osobistych, rodzinnych czy (najprawdopodobniej) politycznych, przywódca „Familii” uważał za stosowne trzymać go z dala od miejsc rodzinnych. Zapewne w XVIII-wiecznej Polsce politycy byli dalecy od pruderii, a żona ks. Adama nie miałaby zapewne nic przeciw obecności dziecka. Ale z opinią publiczną trzeba się było liczyć. Adam Klewański od wczesnej młodości został skazany na banicję; najpierw do Wiednia, potem do Włoch, wreszcie do Francji. Podczas Wielkiej Rewolucji, z niebezpiecznego dlań Paryża, schronił się do dość zacisznej, pięćdziesięcioletniej wtedy Tuluzy, gdzie nawet w czasie najsroźszego terrorku egzekucje nie zdarzały się często. W Tuluzie spędził ponad 50 lat. Żył początkowo z pensji wyznaczonej mu przez naturalnego ojca i zapewniającej dostatek utrzymanie; był wybitnym członkiem tuluzańskich towarzystw naukowo-literackich; gdy po roku 1831 fortuna Czartoryskich została poważnie zagrożona, w ciągu kilku lat znajdował się Klewański nad brzegiem nędzy; ale ks. Adam Jerzy uregulował byt rodziny i Klewański mógł wrócić do swych ulubionych studiów nad starożytnościami greckimi i rzymskimi, literaturą, teatrem i filologią.

### Pomocnik biednych emigrantów

Pewien epizod tej działalności jest dla nas szczególnie zajmujący, a ma wdzięk paradoksu. Adam Klewański był gorącym polskim patriotą, wierzącym w odbudowanie wolnej ojczyzny. Kraj, z którego go wypędzono we wczesnej młodości i do którego latami całymi zamyślał powrócić — zdawał mu się utraconym rajem. Starał się wszelkimi siłami nie zapomnieć polskiego języka. Po 1831 roku, choć sam w kłopotach i dłu-

gach, pomagał uchodźcom z ojczyzny. Był entuzjastą polskiego Oświecenia, szczególnie Krasickiego i Woronicza, tłumaczył, z entuzjazmem i wzruszeniem, poemat Niemcewicz pt. „List do generała Kniaziewicza”. Podobają mu się powieści Hoffmanna. Ale pewnego dnia przysłał Klewańskiemu egzemplarz „Pana Tadeusza”. Mimo przywiązania do wszystkiego co polskie Klewański doznaje wrażeń negatywnych. Niektóre szczegóły jego recenzji „Pana Tadeusza” warto przytoczyć jako przykład wiecznych nieporozumień między różnymi systemami estetyki:

### Krytyka Mickiewicza

„Autor zbłąkany na niebezpiecznej ścieżce tych, których sobie dali nazwę romantyków, przyłącza się do szkoły Dellile’a. A jest to szkoła nie najlepsza!... Ów Tadeusz, którego postać winna zajmować pierwsze miejsce w utworze, który od niego bierze swą nazwę, wcale nie przyciąga uwagi czytelnika... Słusznie się nieraz cytuje przykład: „Świętoszka” Moliere’a. Postać tytułowa pojawia się tam dopiero w połowie akcji — a mimo to poznajemy ją już od pierwszej sceny. Sztuka jest nią wypełniona, wszystko wiąże się tutaj po to, by go pokazać. To dzieło zachwycające, godne Złotego Wieku starożytności, dowodzi słuszności całej zasady. Pani Telimena, wydaje mi się zapożyczeniem z Pignottiego; to tylko błady cień. Spory dwóch myśliwych na temat wartości ich psów są grubo za długie. Czasem zdaje się, że Mickiewicz ma w swym „Panu Tadeuszu” jako wzór przed oczami — Ariosta i Voltaire’a. Kiedy indziej kojarzy się ze Scaronem, słusznie pogrzebanym przez Boileau. Przykro mi powiedzieć, ale — moim zdaniem — dzieło to, jeśli ma żyć, powinno być „odesłane do kowala”. W swoim stanie obecnym jest to utwór nieprzetłumaczalny. Dobre są tylko te dzieła, które w innych krajach mogą być przyswojone, z wdziękiem i korzyścią”.

Mickiewicz nie dowiedział się o tej dobrej radzie. I zapewne nie skorzystałby z pomysłu, by odesłać „Pana Tadeusza” jakiemuś tegiemu pseudoklasycznemu kowalowi. Dla wolterianina i pseudoklasyka, zbłąkanego w epokę romantyzmu, Adama Klewańskiego, „Dziady” były tylko „galimatiasem”.

### Odsunięty w głąb siebie

Dziwny to był człowiek. Jego przeciwnicy, autorzy anonimowo wydanych „Satyr” tuluzańskich — nazwali go mężem skrytym i zimnym. Żył samotnie aż do końca długich swych dni, nie chciał założyć domowego ogniska, choć korespondencja z nim zawiera jakieś niejasne wzmianki o drodzej mu „pięknej wdowie”, jakiejś „Wenus z Louchon”. Na ogół tradycjonalista i wróg rewolucji, w jednym z listów pięknie pisał jednak o rządach, które przeciągają strunę i prowokują gniewną rozpacz ludu. Nie był jednak człowiekiem walki. Słaby i wobec siebie nieufny — cofał się i ustępował możliwym.

Prof. Stanisław Wędkiewicz załączył na końcu książki piękny szkic, dotyczący życia Tuluzy w latach 1789—1898 oraz drugi, na temat opinii, jaką się Tuluzia cieszyła u ówczesnych pisarzy francuskich. Było to miasto niewielkie, odległe od stolicy o 5 dni niezbyt wygodnej, a czasem mało bezpiecznej drogi pocztowym dylizansem. Tutejsze środowisko uchodziło za konserwatywne i niezbyt tolerancyjne. Jednakże, we wrześniu 1831, na wiadomość o upadku powstania listopadowego i zdobyciu Warszawy, tłumy robotnicze w Tuluzie zniszczyły maszyny drukarskie dwóch miejscowych pism konserwatywnych, przeciwstawiających się niesieniu przez Francję pomocy polskiemu powstaniu. 15 lat później, w 1845 roku, w teatrze tuluzańskim publiczność zażądała odśpiewania przez aktorów „Warszawianki” i „Marsylianki”. Gdy tego żądania nie spełniono, „tumult” (jak pisał prof. Jean Fourcassie) przyjął formy rozruchów; liczne grupy manifestantów przebiegały miasto, ścigane przez pikietę dragnów i piechoty; aresztowano 40 osób. Podczas ostatniej wojny — dodaje prof. Wędkiewicz — polskie komórki Ruchu Oporu na południu Francji doznawały pomocy nie tylko ze strony konspiracji francuskiej, ale i zwykłych mieszkańców.



# PRZEDZIWNY ŚWIAT SZTUKI NAIWNEJ



Adam Zegadło, robotnik fabryczny, syn chłopca z Kieleckiego, rzeźbi w drewnie. Oto zabawna postać diabła



Tajemnica Zmartwychwstania — jeszcze jedna praca Adama Zegadły, wystawiana już w kilku miastach polskich, Czechosłowacji, Jugosławii, Włoszech, Niemczech, Szwecji

W Galerie Séraphine w Paryżu odbywała się wystawa polskich malarzy i rzeźbiarzy, tzw. sztuki naiwnej. Terminem tym określa się twórców bez akademickiego przygotowania artystycznego, kierujących się instynktownym, intuicyjnym wyczuciem form i barw. Sztuka ta przypomina świat wyobrażeń dzieci, chłonących otaczającą rzeczywistość z ciekawością i niewinnością istot, które życia jeszcze nie znają. W porównaniu z charakterem epoki współczesnej, z życiem drugiej połowy XX wieku twórczość ich stanowi ciekawy, wzruszający prostotą anachronizm, sferę poetycznych marzeń, snów i legendy.

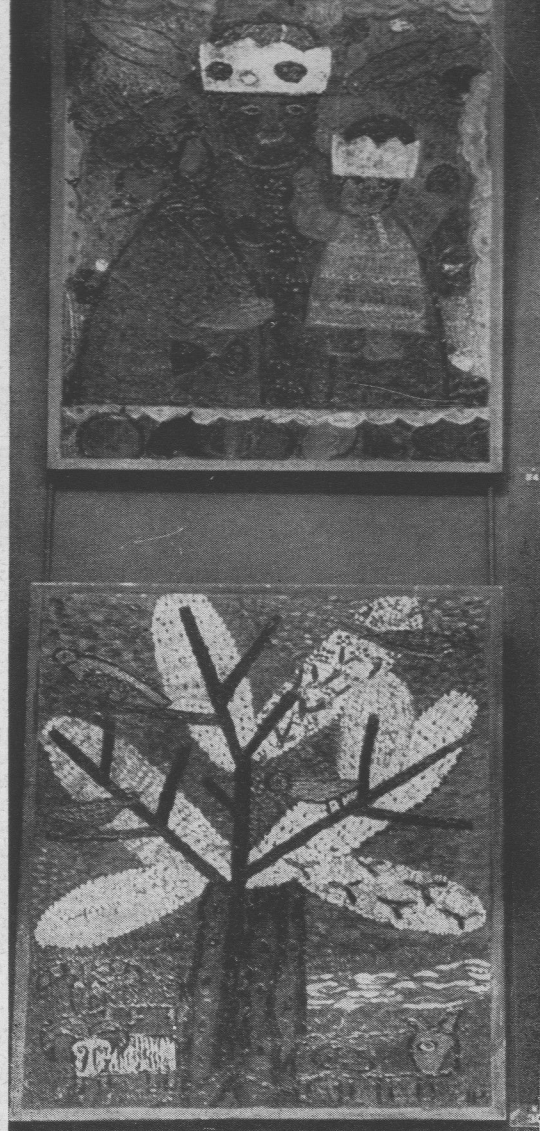
Spontaniczne, naiwne przedstawianie świata w sztuce wytworzyło pewnego rodzaju styl. Mówi się dzisiaj o stylu naiwnym w sztuce francuskiej, jugosłowiańskiej czy południowoamerykańskiej. Jest również duża gru-

pa malarzy i rzeźbiarzy naiwnych polskich. Cechą charakterystyczną ich twórczości jest — w bardzo wielu wypadkach — opieranie się na elementach sztuki ludowej.

Dzieła zgromadzone w Galerie Séraphine w Paryżu stanowiły znakomity zestaw bardzo różnorodnych prac malarskich znanych już we Francji Nikifora i Ociepki, a obok nich kilku innych malarzy: Leokadii Płonkowej i Marii Wojtowicz, Ludwika Holesza, Marii Korsak, Marii Lenczewskiej, Zenona Radkego i in. Uwagę zwracały hafty Lucji Mickiewicz i — zwłaszcza — rzeźby Jana Lameckiego, Adama i Henryka Zegadły, Feliksa Czajkowskiego, Zygmunta Skretowicza i in.

Na vernissag'u wystawy obecna była małżonka ambasadora PRL w Paryżu p. Barbara Olechowska.

T.D.



Rodzice Leokadii Płonkowej nie pozwalali zapisać się jej do szkoły artystycznej. Potem wynikły inne przeszkody. Wreszcie zapadła na ciężką chorobę i wtedy mogła zacząć malować...

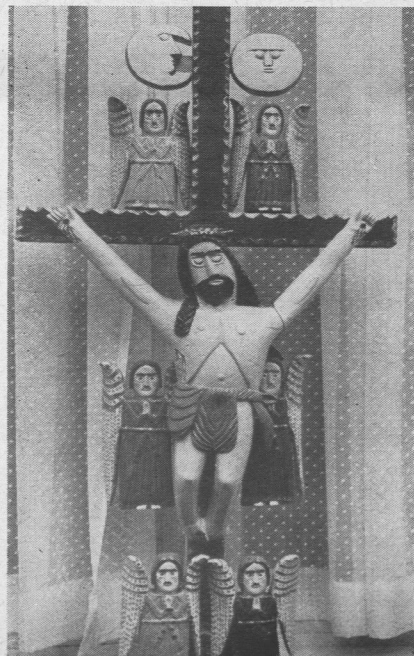


Na otwarciu wystawy „Naifs Polonais” była obecna p. B. Olechowska



W salach galerii zgromadzono bardzo trafny i ciekawy wybór obrazów, tkanin i rzeźb

Chrystus na krzyżu, J. Lemnickiego



Wystawa tego rodzaju sztuki polskiej odbywała się w Paryżu po raz pierwszy i wzbudziła wielkie zainteresowanie



# Dla Pań o Paniach

## O CZYM MARZY DZIEWCZYNA...

...gdy dorastać zaczyna? Piosenka odpowiada na to pytanie, że dziewczyna pragnie znaleźć „odrobinę szczęścia w miłości, odrobinę serca czyjeś”, aby w końcu „stać z NIM na ślubnym kobiercu” i „nawet łzami zalać się”... Oczywiście — ze szczęścia! A potem? Potem okazuje się

często, że zalewanie się łzami trwa, przechodzi w stan chroniczny, ale — to już nie ze szczęścia... Pojawiają się dzieci, lecz małżeństwo wciąż kuleje, w końcu największym szczęściem wydaje się... rozwód.

Po rozwodzie niefortunni małżonkowie usiłują jakoś ułożyć sobie życie. Dzisiaj, aczkolwiek na stronie przeznaczonej „dla Pań” zajmujemy się pokrótce PANAMI, ich poczynaniami w tej dziedzinie, ich wysiłkami mającymi na celu znalezienie nowego „szczęścia”, nowej „jednej jedynej”, ich wymaganiami w stosunku do ew. następnej żony.

### Zeby ONA była INNA!

Inna niż ta pierwsza! Ten wymóg, aczkolwiek bardzo ogólny, wydaje się najważniejszy. „Ciężko doświadczeni” mężowie mają też wiele życzeń zupełnie konkretnych. Kandydatki na następne żony powinny dobrze zarabiać, mieć atrakcyjny zawód lub dysponować gotówką, mieszkaniem czy samochodem, nie powinny natomiast posiadać dzieci. Panny nie przywiązują znaczenia do spraw materialnych i zgadzają się na kobietę (wdowę lub rozwódkę) z dzieckiem — stanowią zdecydowaną mniejszość. Nieliczni także godzą się na „panny z przeszłością”, a prawie wszyscy życzą sobie żon reprezentacyjnych, o łagodnym charakterze i odznaczających się stałością uczuć.

### A jacy są ONI?

Prawie wszyscy rekomendują się jako domatorzy, bez nałogów, rozwiedzeni nie z własnej winy, zapobiegliwi, smutni i samotni. O byłych towarzyszkach życia panowie mówią przeważnie z niesmakiem, żalem i pretensją, obarczają je winą za nieudane małżeństwo, uważają się za oszukanych przez nie i pokrzywdzonych. Żądają od przyszłych żon zrozumienia, wyrozumiałości, lojalności, szczerości, podtrzymywania na duchu w ciężkich chwilach, gospodarności — często ze specjalnym podkreśleniem dobrego gotowania.

Kondydatki na mężów obiecują:

- będziemy pracowali obok, będą żonie pomagał w domu.
- dzieci będziemy wychowywali wspólnie
- wszelkie sprawy sporne będziemy rozstrzygali drogą dyskusji. Czy jednak obietnic tych dotrzymują? (Opr. w/g „Przekroju”)

## ZŁOTE MYŚLI

Nieżonaci znacznie więcej wiedzą o kobietach niż żonaci; w przeciwnym przypadku i oni byłiby żonaci...

H. L. Mencken

\*

Zazdrośni mężowie to ludzie nieszczęśliwi, których nikt nie pociesza; zazdrosnych mężów wszyscy nienawidzą; zazdrosnymi mężami wszyscy pogardzają.

Seneka

\*

Kiedy ogarniają cię czarne myśli — popatrz na różę.

Albert Samain

## ABAKANY

Artystyczne tkaniny wykonywane przez znakomitą polską plastyczkę, Magdalenę Abakanowicz — to właśnie są abakany, które zyskały sławę na miarę światową. Ich twórczyni należy obecnie do czołowych osobistości w dziedzinie tkactwa artystycznego, jej tkaniny znajdują się w zbiorach największych i najstarszych muzeów w Nowym Jorku, Amsterdamie, Madrycie, Sztokholmie, Oslo i Sao Paulo.

Po ukończeniu warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych pani Magdalena miała pierwszą indywidualną wystawę w Warszawie w 1960 r. Talent znakomitej plastyczki jest wysoko ceniony przez znawców sztuki nowoczesnej, ze wszystkich stron świata otrzymuje ona zaproszenia na wystawy. W zeszłym roku rząd holenderski powierzył jej wykonanie gigantycznej kompozycji tkackiej o pow. 200 m kw. Będzie to największa tkanina wykonana od czasów średniowiecza. Tworzywem niezwyklej tkanin pani Magdaleny jest włókno szalowe różnej grubości i w różnych odcieniach czerni i brązu, jej ulubionych kolorów.

## Panowie! Nie denerwujcie pań — Kobiety łysieją

Lekarze dermatolodzy sygnalizują alarmujący problem wypadania włosów u kobiet. Co ciekawsze nie chodzi tu o schorzenia skóry, lecz o łysienie powodowane przyczynami psychicznymi.

Gwałtowne wypadanie włosów u kobiet związane jest z ciężkimi przypadkami depresji, neurozami albo psychozami oraz zaburzeniami hormonalnymi wywołwanymi napięciami nerwowymi. Leczenie wymaga więc nie kosmetyki ale medycyny.

## Dobre rady dla kobiet palących

- Szczotkujcie włosy przy otwartym oknie, aby usunąć z nich przykry zapach nikotyny.
- Codziennie wykonujcie głębokie wdychy i wydechy dla lepszego dotlenienia.



Foto: WI. OCHNIO

## POWIETRZE — SŁOŃCE — WODA

...to najważniejsze atrybuty wakacyjnego odpoczynku, bez których nie można sobie wyobrazić udanego urlopu. Porzucamy z przyjemnością najpiękniejsze miasta i ich wygody, rezygnujemy z miejskich przyjemności i atrakcji na rzecz natury, która w okresie lata nęci nas z nieodpartą siłą. Szukamy pięknej przyrody, lasu, rzeki morza i raczej odludzia aniżeli ludzi. Przypominamy sobie wschody i zachody słońca, mleczne drogi na niebie, liczymy spadające gwiazdy, słuchamy szumu drzew i szumu fal, śpiewu ptaków. W czasie wakacji żyjemy inaczej, wdychamy inne powietrze, inaczej patrzymy na świat. O d p o c z y w a m y, nabieramy sił na pozostałe, pracowite miesiące roku.

Warto jednak pamiętać o tym, że odpoczywać trzeba umieć, że odpoczywać to nie znaczy jeść, spać i nic nie robić.

### WSZYSTKO W MIARĘ

Abym urlop nie był zmarnowany, należy spędzać go w sposób przemyślany i rozsądny, jak najbardziej korzystny dla zdrowia. Trzeba dozować leniuchowanie i wysiłek fizyczny, plażowanie i kąpiele, sport i rozrywki wszelkiego rodzaju, gdyż każda przesada w rezultacie okaże się szkodliwa. Nie powinno się urlopu ani przespać, ani przesiedzieć w wodzie ani, przetańczyć. Wszystkiego po trochu „dla ciała i dla ducha” przyda się nam najbardziej.

### UWAGA — SŁOŃCE!

Jest naszym przyjacielem i dobroczyńcą, może jednak stać się niebezpiecznym, gdy będziemy opalać się w sposób nieumiarkowany. Toteż w pierwszych dniach urlopu opalamy się w pełnym słońcu nie dłużej niż pół godziny dziennie. Pamiętajmy też, że nie ma pięknej opalenizny bez używania odpowiednich olejków i kremów, które przyspieszają opalanie, chronią skórę przed oparzeniem i nadają jej piękną odcień złocistego brązu. Kobiety o bardzo białej cerze, które opalają się wyłącznie na czerwono — powinny słońca unikać.

### UWAGA — WODA!

Prawidłowa kąpiel w rzece, jeziorze czy morzu nie powinna trwać dłużej niż pół godziny, można natomiast kąpać się kilka razy dziennie. Nigdy jednak zaraz po jedzeniu lub po silnym zgrzaniu się, nigdy po użyciu alkoholu. Gdy czujemy, że robi się nam zimno, gdy dostajemy tzw. gęsiej skórki, gdy usta nabierają fioletowego odcienia — wychodzimy z wody, energicznie wycieramy się szorstkim ręcznikiem i ciepło ubieramy, aby nie dopuścić do przeziębienia.

Jeśli cierpimy na jakieś schorzenia serca zażywamy kąpiele rzecznych i słonecznych ściśle według wskazań lekarza.

przecierajcie sokiem z cytryny lub octem,

● Starajcie się nie palić na świeżym powietrzu, w lesie, na plaży, a przede wszystkim w czasie urlopu!

● Dotychczasową dzienną porcję papierosów przeznaczone na dwa dni,

## NOTKI - PLOTKI

Znana w okresie przedwojennym pieśniarka, Lucyna Szczepańska, od 15 lat mieszkająca w Nowym Jorku za kilka miesięcy powraca na stałe do Kraju.

\*

Instytut kojarzenia małżeństw pod nazwą „Once Again” („Jeszcze raz”) powstał w Londynie i specjalizuje się w ułatwianiu ponownych związków rozwodnikom i wdowcom.

\*

Elizabeth Taylor podróżuje zawsze z czworgiem swoich dzieci, z dwiema bonami, dwiema sekretarkami, pięcioma psami, zółwem, dzikim kotem i 140 walizkami, czyli — jak twierdzi jej mąż, Richard Burton — z całym cyrkiem.

\*

83 km przebył mały kotek Jeeves z podmiejskiej posiadłości do Rzymu, aby powrócić do swych właścicieli i ich córeczki Franceski.

\*

Maniery księżniczki Karoliny, córki księcia Monaco i jego małżonki Gracji, uznane zostały za niezbyt książęce i z tego względu królowa Karolina opuści dom rodzinny i zostanie wydana do eleganckiego internatu w Anglii.

## M I Ł O Ś C I I C H Ż Y C I A

Telewizjowcy polscy mieli ostatnio okazję obejrzenia dwóch niezwykle interesujących programów, a mianowicie jednego pod tytułem „Pięć Marii Sienkiewicza” i drugiego pod tytułem „Muzy Fryderyka”, oczywiście Chopina. Obydwa audycje starannie przygotowane i wykonane przez znakomitych aktorów i aktorki przyczyniły się w nie małym stopniu do spopularyzowania i przybliżenia szerokim kręgom telewizjowców polskich postaci Henryka Sienkiewicza i Fryderyka Chopina poprzez ukazanie „żywych” i „prawdziwych” kobiet ich życia.

## DROGA PANI ANNO!

Nieraz pisała pani w swoich radach o obowiązkach kobiety, która poślubia wdowca z dziećmi. Jestem właśnie w takiej sytuacji. Wyszłam za mąż za ojca kilkorga dzieci. Najstarsza już założyła własny dom, dwoje się uczyło, a najmłodsza miała 14 lat. Początkowo dzieci przyjęły mnie niby z entuzjazmem. Same zresztą, te starsze namawiały męża, żeby się ze mną ożenił. Ja pracuję i dobrze zarabiam, pierwsza żona męża nie pracowała, od razu więc poprawiła się sytuacja materialna. Ale, gdy wracałam z pracy musiałam sama wszystko zrobić. Dzieci nie były nauczone pomagać w gospodarstwie. Mąż uważał, że nie powinny się przemęczać i gdy próbowałam skłonić je do pomocy, broń mi je przede mną mówiąc że nie należy ich wykorzystywać. W rezultacie cały ciężar domu spadł na mnie, musiałam łożyć moje pieniądze i musiałam tracić siły na ciężką pracę. Przez cały czas ja byłam w domu na ostatnim miejscu, nikt się ze mną nie liczył. Moja rodzina nie miała wstępu do tego domu. Ode mnie tylko wymagano nie dając w zamian nic. Nawet do tego stopnia mój mąż okazał się egoistą, że nie życzył sobie mieć ze mną dziecka, uważał, że tę sprawę już załatwił z pierwszą żoną. A ja tak bardzo pragnęłam tego dziecka. Zrezygnowałam ze wszystkiego dla tej licznej rodziny i pięciorga dzieci, którym miałam zastąpić matkę. I dziś zadaję sobie pytanie — czy to miało sens. Nie słyszę jednego dobrego słowa, żadnej serdeczności od nikogo. Tylko wymagania, kłótnie, pretensje, a jak nie daj Boże zdenerwuję się i podniosę głos, przylatuje mój mąż mnie uspokajając słowami — przecież nie jesteś ich matką, nie wolno ci na nie krzyżać. I pytam czy tak powinno być? Czy „macocha” ma tylko obowiązki a żadnych praw? Przecież to chyba jakieś nieporozumienie.

OFIARA LOSU

## DROGA PANI!

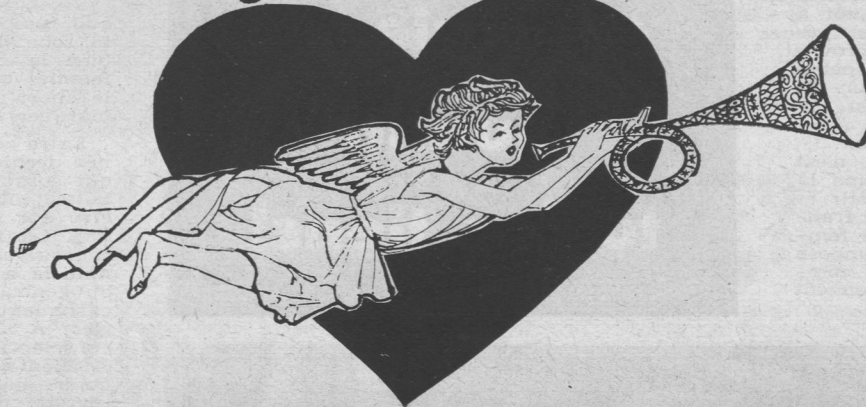
Oczywiście, że to jakieś nieporozumienie. Po prostu dom, do którego pani trafiła jest dziwnym domem, dzieci są w nim źle wychowane, nieprzyzwyczajone do pracy, do obowiązków i do szacunku dla innych. Ja bym tego nie wytrzymała. Powinna pani była już dawno odbyć z mężem decydującą rozmowę i postawić mu swoje warunki. Niech nie naraża pani na konflikty ze swoimi dziećmi, niech sam rozdzieli pomiędzy nimi obowiązki domowe. Inna sprawa to stworzenie rodzinie do której się wchodzi jak najlepszej atmosfery, a co innego życie pod terrorem, że nie wolno słowa powiedzieć i do niczego się wtrącić bo jest się „macochą”. Powinna pani zebrać całą tę rodzinę i stanowczo wymagać od wszystkich w stosunku do siebie szacunku i współpracy w organizacji domu. Tym bardziej, że nie ma pani do czynienia z małymi dziećmi.

ANNA

## SZANOWNA PANI ANNO!

Przed rokiem wyszłam za mąż powtórnie. Mam lat 49, mój mąż 56. Ja mam dorosłe dzieci, on jest bezdzietny. Posiadam własny dom i on także. Każde z nas jest doskonale sytuowane. Mąż pracuje. Zdawałoby się, że będziemy szczęśliwi. Tymczasem on okazał się wielkim sknerą. Jest tak chorobliwie skąpy, że każe mi się wyliczać z każdego grosza. Myśli tylko o tym, żeby się dobrze zabezpieczyć na starość, to znaczy odkłada każdy grosz do kasy oszczędności i liczy tylko procenty. I tak jest bardzo dobrze zabezpieczony bez tego. Gdy przestanie pracować dostanie wysoką pensję. Ja też mam zabezpieczenie, ale prze-

## Rady od serca



cież nie można tak żyć, by trząść się nad każdym wydanym groszem i na wszystko skąpić. Gdy chcę sobie kupić płaszcz — od razu awantura. Gdy żądam, by kupić pralkę, uważa, że to rozrzutność. Zabrania mi wszelkich rozrywek, nigdzie się nie ruszamy, ja nie jestem przyzwyczajona do takiego życia. Czuję się jeszcze dość młoda i chętnie pojechałabym latem nad morze, a zimą na sporty zimowe, ale on o tym nie chce słyszeć. Muszę dodać, że sama nie pracuję i nie widzę powodu, żebym na te rozrywki miała czerpać z moich oszczędności. W końcu nie po to wyszłam za mąż, żeby zmarnować to, co zostawił mi mój pierwszy mąż.

ZAWIEDZIONA

## SZANOWNA PANI!

Jakoś dziwnie to wszystko brzmi. Najpierw pisze pani, że jesteście dobrze sytuowani, potem, że na nic pani nie ma pieniędzy. Rozumiem, że bardzo ciężko jest żyć z takim skąpcem, ale w końcu te sprawy można jakoś ułożyć. Nie musi się pani tak bardzo krępować. Trzeba go zapytać wprost ile przeznaczają miesięcznie na dom, na ubranie, na inwestycje. Jeśli uzna pani, że suma ta jest za niska, zażądać większej, jeśli oczywiście go na to stać. Zresztą wydaje mi się, że nic nie stoi na przeszkodzie, by i pani ja-

kiś udział w utrzymaniu domu ponosiła. Dziś jest to całkowicie normalna rzecz.

ANNA

## KOCHANA PANI ANNO!

Rok temu mój mąż podpisał kontrakt na pracę poza Francją. Warunki były bardzo zachęcające, praca ciekawa, jedyny mankament to to, że musieliśmy się rozstać na dwa lata. Nie mogłam z nim jechać z różnych względów, zdrowotnych i innych, a także przez wzgląd na naukę dzieci. Dwukrotnie mąż przyjeżdżał do nas na wakacje. Był stęskniony,

bez ślubu, dopóki pani nie ulegnie. Chyba, że uda się pani opóźnić jego wyjazd. Tylko na to można liczyć. Czas może tu stać się najlepszym i jedynym lekarzem. Może mężowi minie ten szal, może mu będzie żal rzucać wszystko, dom dzieci, żonę. Niech więc pani spróbuje przeciągnąć całą sprawę. Niech pani jednak unika robienia scen, niech pani nie błaga, nie prosi, nie płacze. To nic nie da.

ANNA

## KOCHANA PANI ANNO!

Byłem samotnym kawalerem do 33 roku życia. Ona była rozwódką o osiem lat ode mnie starszą i miała dziecko. Poznaliśmy się na wakacjach, przed czterema laty. Polubiłem ją, współczułem, bo w bardzo ciężkich okolicznościach straciła męża. Wydawała mi się dobrą kobietą. Nie zwracałem uwagi na to, że jest ode mnie starsza i, że ma dziecko, pragnąłem innego życia, miałem dosyć samotności. Postanowiliśmy żyć wspólnie. Ona zlikwidowała swoje mieszkanie, przeniosła się do mnie. Zarabiałem dobrze, bez trudu mogłem zapewnić jej i dziecku dostatnie życie. Wszystko było dobrze do chwili, gdy zachorowałem ciężko na płuca i lekarze po długiej kuracji polecili mi dalszy odpoczynek. Odbiło się to oczywiście na naszej sytuacji materialnej. Ona zaczęła pracować. Ja zająłem się domem, by choć trochę jej ulżyć. Ale to nie pomogło. Robiła mi awantury i sceny, skąpiła jedzenia, wymyślała, okazała się straszną kobietą. Nie mniósłmy ślubu, mimo, że wielokrotnie jej to proponowałem. Teraz, gdy jestem chory miała do mnie pretensje, że ją naraziłem na wstyd. Nie mogłem tego dłużej znosić. Zostawiłem moje mieszkanie i cały dobytek i uciekłem z tego piekła. Znowu jestem sam, ale nikt się już nade mną nie zęca. Poszedłem do obcych ludzi. Tu wrócę do zdrowia i do normalnego życia. Taką miałem naukę — ludzie są dobrzy, gdy komuś się dobrze powodzi...

ZAWIEDZIONY

## DROGA PANI!

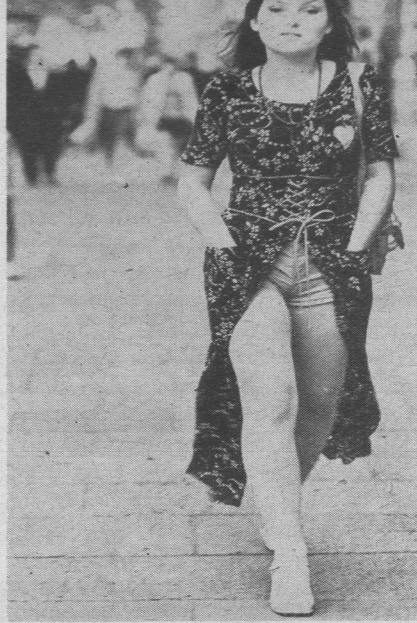
Stare przysłowie polskie głosi, że przyjaciel poznaje się w nieszczęściu. Tylko wtedy, istotnie, człowiek przekonuje się na kogo można liczyć. Przeżył pan gorzkie rozczarowanie, wyszedł pan z niego bogatszy w doświadczenia, ale zdaje mi się dużo uboższy materialnie. Stracił pan wszystko, co pan posiadał. To trochę lekomyślne posunięcie w pana ciężkiej sytuacji, gdy choroba nie prędko pozwoli panu na urządzenie się na nowo. Ale rozumiem, że chciał pan za wszelką cenę pozbyć się tej nowej rodziny, tej kobiety, która okazała się diabłem. Niech pan jednak nie traci wiary w ludzi. Niech pan tylko będzie ostrożniejszy na przyszłość i mniej ufa słowom, bardziej czynom.

ANNA

NIESZCZĘŚLIWA

## SZANOWNA PANI!

Co można pani poradzić? Oczywiście, może pani nie dać mężowi rozwodu, ale co przez to pani zyska. Przecież on jest zdecydowany na wszystko. W razie odmowy, wyjedzie bez rozwodu i będzie z tamtą żył



**DANS** les rues de Varsovie, il y a de tout et tout est à regarder ou à critiquer, suivant les goûts. Car il faut bien le dire, depuis longtemps les canons de la mode n'avaient obéi à tant de tendances à la fois. Une grande couturière parisienne de l'avant et de l'après guerre confiait à une journaliste d'un quotidien parisien que la mode n'était plus féminine car les hommes qui s'en étaient entièrement emparés, ne servaient plus le corps de la femme mais cherchaient plutôt à habiller des poupées-mannequins. Tout n'est pas si tragique, il suffit de rappeler le succès provoqué par le retour de feu Coco Chanel, ses petits ensembles ses robes-chemisiers firent fureur. Et puis, à côté d'une mode du „cosmos" existe la mode de nos grands-mères et toutes deux cohabitent avec un bonheur parfois très heureux.

La Polonaise est coquette, sa réputation n'est plus à faire. Elle est coquette dans sa forme la plus entière, elle a le souci de se bien vêtir et celui de plaire. Aussi les journaux de mode français, italiens ou anglais (depuis longtemps la femme anglaise a bousculé ses principes et imposé sa mini au monde ébahi et obéissant), sont compulsés minutieusement et les résultats prennent toutes les formes.

## Mode capricieuse quand tu les tiens!

Le short est vraiment le dernier cri à la ville et, dame! si la silhouette est jeune et nantie de belles jambes c'est loin d'être laid. C'est toutefois un élément délicat de la garde-robe qui demande une inspection sans complaisance devant le miroir. Mais qui dit short, doit penser jambes bronzées, aussi, dès que le soleil pointe le bout de ses rayons, la gent féminine lui expose ses membres.

Si doute il y a quant au port du short, pourquoi pas la robe maxi, le robe aérienne, légère, la robe du sud de Scarlett O'Hara? Là, il faut bien le dire, souvent ce sont les mêmes jeunes femmes qui portent et le short et la robe maxi, le short pour les jambes et la robe maxi pour marquer la souplesse du corps.

Entre ces deux extrêmes, il y a la robe de l'année dernière et de l'année d'avant encore, la mini qui conserve son mordant et n'est pas décidée à battre retraite sans une lutte qui s'étirera peut-être sur plusieurs années et connaîtra un statu quo. La robe midi est la robe un peu sage, la robe seyante qui habille tous les genres, mais ce midi-là a toutes les longueurs, un peu au-dessus du genou, un peu en dessous du genou, ou bien carrément à mi-mollet. Où est le temps des règles? A 33 cm du sol mesadames! Et la couturière consciencieuse son mètre à la main, faisait tourner la cliente et piquait le tissu d'épingles placées à la bonne hauteur. Je connais des femmes qui ont regretté d'avoir raccourci ces robes-là car beaucoup d'entre elles seraient tout à fait dernier cri si, après un retraité de plusieurs années dans l'armoire, elles ressortaient au grand jour.

Il est impossible d'omettre la robe, la jupe ou le corsage d'inspiration rustique, là, inutile de chercher dans les journaux de mode, le folklore de la Pologne est suffisamment riche pour être une source d'idées inépuisable. Ainsi le vaste carré de laine montagnard à fleurs et aux longues franges peut fort agréablement recouvrir des épaules frileuses par une fraîche soirée et s'allier à une jolie robe. Le vaste carré de laine fait penser au pancho, venu lui aussi de la montagne, mais celle lointaine du Pérou. Le pancho fait fureur en Pologne cette année, mais il accompagné plutôt le pantalon. Justement le pantalon, voilà un grand vainqueur! Là, pas d'hésitation, il a su se glisser dans toutes les occasions, il se porte du matin au soir, du petit matin au grand soir. Pratique, élégant, il rassemble tous les suffrages. Quelle est la garde-robe féminine à ne pas posséder quelques pantalons. Il est porté avec la tunique, en général, et une longue veste jaquette de laine les jours plus frais. Nombreuses sont les élégantes à déambuler d'un pas élastique, le sac accroché à l'épaule.

Et que trouvait-on dans les magasins, ces nouveaux magasins Centrum de la façade est de la Marszalkowska? Et bien justement tout cela: pantalon-veste, robe maxi avec une dominante de la robe midi, les classiques robes chemisiers aux longueurs variées toutes taillées dans de jolis tissus, du coton à la soie.

Quelques mots sur la mode masculine, en vitesse, histoire de ne pas entendre le reproche de l'avoir ignorée! Ces messieurs se jettent sur les chemises de couleur, la couleur peut être voyante, c'est souvent très joli. La cravate large est coupée souvent dans de très jolis tissus de soie avec pochette assortie. Oui, l'homme polonais peut marcher sans complexes au côté de sa dame!

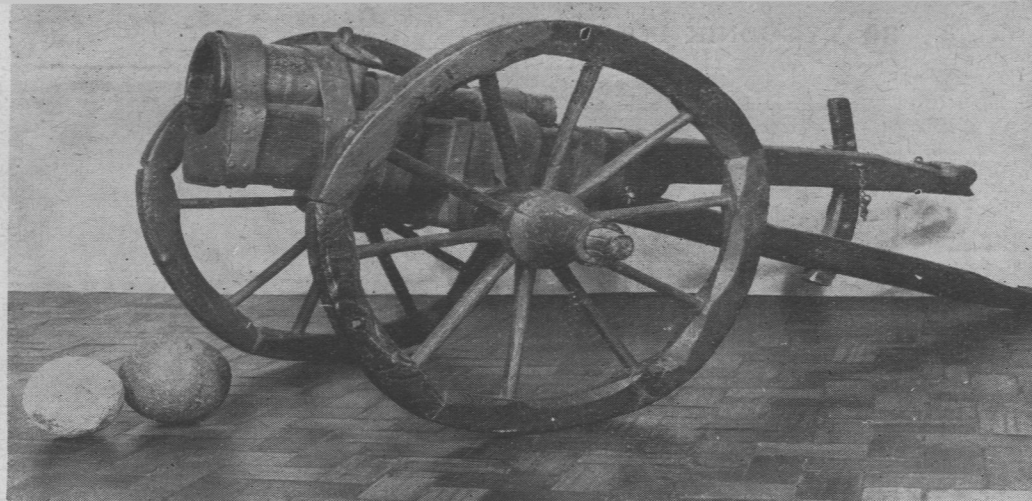
Les touristes étrangers se montrent souvent surpris devant l'assaut d'élégance qui se déroule sous leurs yeux et les messieurs sont bien près d'en perdre la tête, il en est à la perdre, mais là, c'est une autre histoire!

Notre photographe a tenté de fixer, le plus fidèlement possible, en images, ce qu'il a vu dans les rues de Varsovie. A vous de juger!

Wanda NOWAKOWSKA

ZDJĘCIA: WL. OCHNIO (2)  
A. RADOMIŃSKI (3)





Na zdjęciu po lewej szwedzka armata używana w czasie Wiosny Ludów (1848 r.) na Węgrzech. Znajduje się dziś, jak wszystkie na reprodukowanych zdjęciach na dziedzińcu Muzeum Wojska Polskiego. Po prawej u góry: armatnie kule kamienne — z czasów, gdy Jagiello gromił Krzyżaków pod Grunwaldem. Po prawej: tak wyglądały móżdżerze, których używała I i II Armia WP w czasie walk w 1945 r. likwidując resztki oporu armii Hitlera



Historia tej ozdobnej armaty jest niezwykle ciekawa. W czasie jednej z kampanii wojennych w połowie XVIII w. jeden z pruskich feldmarszałków zdobył na królewskiej armii francuskiej te ozdobione pięknie armaty. Stały w jego majątku na Mazurach, skąd przewieziono je do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. U dołu: ciężki móżdżerz (też armata!) budzi oczywisty zachwyt przede wszystkim chłopców



## KIEDY WYNALEZIONO ARMATĘ?

**H**ISTORIA nie ustaliła dokładnie ani daty, ani miejsca zastosowania po raz pierwszy armat. Nie znamy też narodu, który pierwszy wynalazł lub zastosował tę nową broń. Jedni uważają bitwę pod Legnicą w 1241 r., inni natomiast przyjmują bitwę pod Sewillą w 1247 r., a więc miejsce leżące na przeciwnym krańcu Europy. Jako datę użycia armat podaje się też rok 1308 w czasie oblężenia Gibraltaru.

### NIE BYŁ WYNAŁAZCĄ MNICH ANEKLITZEN

Wskazywałoby na to wschodnie pochodzenie armat z Chin, z którymi i Mongołowie byli w kontakcie. Chiny co prawda znały od dawna mieszaninę wybuchową złożoną z saletry, siarki i węgla drzewnego i wykorzystywały ją jak zresztą i Grecy, do celów wojennych. Stosowano ją jednak tylko w postaci rakiet, bomb, ogni i innych zaskakujących efektów. Luf armatnich ani Chińczycy, ani Grecy, ani Arabowie do XII wieku nie znali. Armata powstała dopiero wtedy, gdy ktoś wpadł na pomysł naładowania do cylindrycznej rury jednocześnie i pocisku i materiału wybuchowego.

Kto to uczynił i kiedy — nie wiadomo.

Niemcy uważają za wynalazcę prochu i armat mnicha z Freiburga, Bartholda Schwarza, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Konstantyn Aneklitzen. Schwarz jednak prochu i armat nie wynalazł, choćby z tego powodu, że ich istnienie udowodnione jest z całą pewnością już od 1326 roku, a więc 27 lat przed Schwarzem, a prawdopodobnie znacznie wcześniej.

### MIOTACZ ... PSZCZÓŁ I PRAWDZIWA ARMATA

W 1326 roku Walter de Milimete napisał książkę, w której proponuje królowi Anglii środki techniczne, którymi mogłyby zwalczyć wrogię wojska. Są to miotacze uli z pszczołami, bomby zawieszane na latawcu oraz prawdziwa armata, wraz z opisem i rysunkiem.

Artyleria XIII i XIV wieku jest bardzo prymitywna i nie dorównywała jeszcze w skuteczności tradycyjnej broni znanej od czasów starożytnych, jak wielkie proce. Armaty niosły na odległość tylko ok. 400 m, a uciążliwe ładowanie sprawiało, że oddawały 3—4 strzały dziennie. Skuteczność ich polegała głównie na zastraszającym działaniu psychicznym.

Początkowo strzelano kulami. Bardzo wcześniej, bo już w XIV wieku pojawiają się kule lane z żelaza. W XV w. kule kamienne wyszły prawie całkowicie z użycia.

W XV wieku zaczęto też odlewać armaty z brązu, przy czym jeszcze w XV stuleciu technikę odlewania armat tak znacznie rozwinęto, że armaty dawniej złożone z listew żelaznych zaczęły wychodzić z użycia.

### ŻELAZNE ARMATY Z LILLE

Jednocześnie na początku XV wieku, a może i wcześniej, zaczęto odlewać armaty również z surówki wielkopiecowej. W Lille armaty żelazne odlewano już w 1412 roku, a Ludwik XI (1423—1483) rozpowszechnił je w armii francuskiej. Wydaje się, że właśnie Francja była krajem, który zapoczątkował i rozpowszechnił odlewanie armat z płynnego żelaza.

Wiek XV przyniósł wiele doniosłych zmian w artylerii. Powszechne zastosowanie lanych kul żelaznych pozwoliło znacznie zmniejszyć kaliber dział, a więc ich ciężar, a wydłużyć natomiast lufy. Odlewanie armat z brązu i żelaza znacznie podniosło wytrzymałość dział, więcej jeszcze, obniżyło ich ciężar przy znacznie większej nośności i skuteczności.

Duże zmniejszenie ciężaru armaty oraz zastosowanie czopów i łóż na kołach doprowadziło pod koniec XV wieku do wielkiego przełomu w broni artyleryjskiej. W roku 1494 Karol VIII, król Francji, po raz pierwszy wprowadził w pole artylerię w wyprawie na podbój Neapolu. Ta pierwsza artyleria połowa składała się z 50-funtowych armat i 24-funtowych kolubryn oraz małych 1-2-funtowych falkonetów strzelających ołowiem, a będących czynnikiem pośrednim między ręcznym muszkietem a armatą.

Żelazną artylerię połową wprowadził do wojen na szeroką skalę Gustaw Adolf. On pierwszy stworzył w wojnie 30-letniej lekką artylerię pułkową oraz pierwszy użył baterii armat do koncentrowania ognia.

### PIERWSZE POLSKIE ARMATY GRZMIAŁY POD PYZDRAMAMI

W Polsce armaty pojawiły się stosunkowo wcześniej. Wzmianki z XIII wieku mówią o obronie twierdzy za pomocą puszek, czyli armat, gdyż taką nazwę miały wówczas u Słowian. Pewne jest użycie armat w bitwie pod Puzdrami w 1383 roku, gdy książę Ziemowit Mazowiecki walczył z rokoszami. Już wtedy jest mowa o stosowaniu kul lanych z brązu, czego nie używano prawdopodobnie na Zachodzie.

W bitwie pod Grunwaldem (1410) artyleria odegrała dużą rolę. Mimo to dalszy rozwój artylerii następował w Polsce bardzo powoli, głównie wskutek słabego zainteresowania przemysłem, a hutnictwem w szczególności.

Artyleria Jagiellonów była jedną z najbardziej zacofanych w Europie.

Stefan Batory miał wielkie trudności z artylerią w swych wojnach z Gdańskiem i Moskwą. Batory organizuje też znaną ludwisarnię czyli odlewnię armat z brązu w Wąchocku, w dobrach cysterskich, gdzie również próbowano w kuźniach odkuwać kule.

### KOŁOSY STAREJ ARTYLERII

W roku 1568 odlano z brązu w Moskwie działo zwane „Carpuszką”, które jest największe na świecie. Średnica otworu wylotowego tego działka wynosi 920 mm, a długość lufy 5,3 m. Całe działo waży 40 ton. „Carpuszką” znajduje się obecnie na Kremlu i stanowi atrakcję turystyczną. Działo jest zabytkiem, ale ... nigdy z niego nie strzelano.

Drugie co do wielkości działo na świecie odlano o 100 lat wcześniej na Węgrzech. Wylot miał średnicę 800 mm a kule odlane z żelaza ważyły po 400 kg. Działo to brało udział w obronie Bizancjum przed Turkami. Dalsze jego losy nie są znane.

Jedną z największych zachowanych kolubryn zwana „La della Griete”, wykonana w 1452 roku stoi na placu targowym w Gandawie. Długość lufy wynosi 4,95 m, a średnica otworu 620 mm.

Ładowanie i odpalenie tych olbrzymów trwało bardzo długo, co spowodowane było zarówno ich wielkością, jak i uciążliwymi własnościami sproszkowanego prochu. Wielkie działa strzelały 3—4 razy dziennie. W czasie obrony Drezna (1760) przed Fryderykiem Wielkim, używano starej „Faule Metze” wykonanej jeszcze w 1415 roku. Kolubryna strzelała tylko trzy razy dziennie: rano w południe i wieczorem, a godzinę oddania strzału ogłaszano mieszkańcom, aby ich nie przestraszyć. Wiele domów stojących w pobliżu stanowiska „Faule Metze” zawaliło się od samego huku.

### ARMATY — SZCZEBEL DO RAKIET

Wielki przewrót w artylerii nastąpił w drugiej połowie XIX wieku, przez wprowadzenie gwintowanych luf, podłużnych pocisków i zastosowanie stali jako materiału na armaty.

A rakiety? O nich wszystko już właściwie wiemy, bo to nasze czasy i być może naszej ery. Czy jednak rakiety wleciałyby ku gwiazdom w połowie XX w., gdyby w początkach XIII stulecia nie wynaleziono armat?

Foto: Wł. Ochnio-Archiwum



Uczestnicy [pierwszej polonijnej wycieczki z Francji przed Hotelem Emigracyjnym w Warszawie (po lewej). Z prawej: pamiątkowe zdjęcie z Wieliczki

## O międzywojennych wakacjach

# JAK TO BYŁO DAWNIEJ?

**W** AKACJE w Kraju stały się obecnie tradycyjną już formą wypoczynku polonijnej młodzieży. Przyzwyczailiśmy się do tego, że rokrocznie około tysiąca dziewcząt i chłopców, wśród których grupę najliczniejszą stanowi młodzież Polonii francuskiej, przebywa w Polsce na koloniach i obozach, poznaje jej historię, zabytki, codzienne życie i ludzi, nawiązuje przyjaźń z rówieśnikami. Kto jednak spośród nas pamięta czasy, kiedy to po raz pierwszy dzieci polskie z Francji wyjeżdżały na wakacje do Starego Kraju? Okazuje się, że było to prawie pół wieku temu, ściśle przed 46 laty. Wspomnienie na ten temat przekazał nam były nauczyciel, pan Antoni Wiącek, który był jednym z kierowników pierwszej wakacyjnej wycieczki dzieci Polonii francuskiej do Kraju. Oto jego relacja.

„Był rok 1925. Wśród działaczy Związku Nauczycielstwa Polskiego we Francji zrodziła się myśl wysłania większej grupy młodzieży na wakacje do Kraju. Po nawiązaniu kontaktu z Polskim Towarzystwem Emigracyjnym, które myśl tę poparło, wycieczka

Zdjęcie pod pomnikiem Chopina w warszawskich Łazienkach jest pamiątką z pobytu młodzieży polonijnej z Francji na koloniach w Kraju w 1970 r.



doszła do skutku. 5 sierpnia przybyła do Warszawy grupa licząca ponad 200 dziewcząt i chłopców — dzieci emigrantów. Pobyt w Polsce trwał sześć tygodni.

W tym czasie młodzież zwiedziła Warszawę, Kraków, Wieliczkę, Zakopane, Katowice i Częstochowę. Wszędzie przyjmowano ją bardzo gościnnie, a tworzone samorzutnie specjalne komitety otaczały dzieci polskich górników z Francji serdeczną opieką, starały się, aby program pobytu w danej miejscowości był jak najbardziej urozmaicony i atrakcyjny.

Nie obyło się też bez oficjalnych spotkań. W Warszawie na przykład uczestnicy wycieczki przyjęci zostali przez ówczesnego premiera Władysława Grabskiego oraz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w Urzędzie Emigracyjnym. Program warszawski, poza poznaniem miasta, uzupełniono był zwiedzaniem szkół, muzeów i obejrzeniem przedstawienia w teatrze w Łazienkach”.

Poznanie Kraju nie było jedynym celem, jaki przyświecał organizatorom wycieczki. Działacze Związku Nauczycielstwa Polskiego we Francji pragnęli, aby wycieczka ta stała się dla polonijnej młodzieży furtką do krajowych szkół średnich — ogólnokształcących lub zawodowych. W ten sposób chcieli przygotować grupę własnej inteligencji, która po skończeniu szkoły zdolna byłaby podjąć działalność polonijną w swoim środowisku, wśród górniczej emigracji.

Idea ta nie była chybiona. Trzydziestoro dzieci spośród uczestników tej pierwszej wakacyjnej wycieczki udało się umieścić w szkołach w Polsce. Wykorzystując swój pobyt w Warszawie kierownicy wycieczki A. Drągowski i A. Wiącek przeprowadzili rozmowy w ówczesnym Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na temat przysłania w roku następnej dalszej partii młodzieży polonijnej do szkół w Kraju.



W ich wyniku w roku 1926 do szkół w Polsce wysłano 95 dziewcząt i chłopców, a w 1927 roku — 137. W sumie więc w ciągu trzech kolejnych lat rozpoczęło naukę w krajowych szkołach 262 dzieci górników polskich z północnej Francji.

Akcja, która początkowo rokowała wielkie nadzieje rozwoju, na tym się, niestety, skończyła. Międzywojenne Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie odmówiło dalszego przyjmowania dzieci emigrantów do szkół w Polsce, podając jako powód „zbyt niski poziom ich przygotowania do szkół średnich”, a „gruntowne przerobienie materiału wymaganego w programie szkół krajowych było niemożliwe z uwagi na brak pełnego typu polskich szkół podstawowych we Francji”.

„Związek Nauczycielstwa Polskiego — informuje dalej p. Wiącek — podjął wówczas starania o zorganizowanie gimnazjum polskiego lub przynajmniej ośrodka polskiego przy jednym z gimnazjów francuskich. Myślano o gimnazjum Faidherbe w Lille. Inicjatywa ta zyskała poparcie miejscowego wychodźstwa, które czynnie włączyło się do akcji. W celu zebrania potrzebnych funduszy wydano nawet specjalne cegielki. Wszystkie wysiłki spęły na niczym”.

Dzieci polskie mogły jednak pobierać naukę w szkołach francuskich, ale polonijnym działaczom chodziło o podtrzymywanie i rozbudzanie ducha polskości, a temu mogła sprostać tylko szkoła polska. Toteż ich dążenie do kształcenia własnej inteligencji w polskich szkołach ograniczyło się do grupy 262 osób wysłanych na naukę do Kraju.

**P  
K  
O**

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème  
Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

**P**  
leka

**BANK  
POLSKA KASA OPIEKI S.A.**

W związku z licznymi zapytaniami BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A. Oddział w Paryżu uprzejmie informuje swoich Klientów, że obowiązujące przepisy dewizowe w zakresie przekazów pieniędzy za granicę zostały zmienione w sposób następujący:

- karnety wymiany zostały zniesione
- istnieje możliwość KAŻDORAZOWEGO przekazania za granicę kwoty do 300 F. — bez udokumentowania.

Tym samym ZNIESIONY ZOSTAŁ PRZEPIS dopuszczający przekazywanie za granicę tylko raz w roku 250 F.

L'an de grâce 1572. Le roi de Pologne Sigismond-Auguste s'est éteint, laissant un trône vacant. La noblesse a pour tâche d'élire un nouveau roi. Sur la longue liste des souverains possibles, figure le nom d'Henri de Valois, duc D'Anjou. Quelques mois plus tard, le 14 mai 1573, la Diète réunie le préférera à son plus direct rival, l'archiduc Ernest, fils de l'empereur Maximilien d'Autriche. Des ambassadeurs polonais sont délégués pour se rendre auprès de leur roi. C'est leur arrivée et leur séjour à Paris que nous chercherons à reconstituer. Les passages en italique sont des extraits fidèles de la relation qui fut faite alors de ce séjour.

Une partie de la documentation a été puisée dans „L'histoire de la Pologne” de Léonard Chodzko. Nous reviendrons à la personnalité de son auteur, qui fut l'ami de Mickiewicz, dans un prochain article.

## Les ambassadeurs polonais dans la ville de Paris

**A**VANT d'aller plus avant, rappelons le climat de la France. Le pays est déchiré par les guerres de religion, un an auparavant, le mois d'août connut la sombre nuit du massacre de la saint-Barthélémy. Charles IX, frère d'Henri de Valois, est roi de France, mais en fait, c'est la reine-mère Catherine de Médicis qui détient le pouvoir.

Quand Henri de Valois apprend la nouvelle de son élection, il se trouve au siège de La Rochelle, place forte des huguenots. Il regagne aussitôt Paris où il attendra la venue des ambassadeurs polonais.

Ceux-ci pénétrèrent en France au mois d'août et partout ils sont reçus fort courtoisement. Quand leur convoi s'approchera de Paris, le roi de Pologne enverra un délégué de sa maison et de sa famille pour les accueillir et leur tenir compagnie. L'entrée des ambassadeurs dans la capitale se fera par la porte Saint-Martin, et elle revêtira un éclat particulier des salves d'artillerie sont tirées et il y a foule.

„En cette sorte entièrement en la ville, le mercredi 19e du mois d'août 1573, environ les trois heures après-midi, étant en nombre d'environ trois cents personnes, et de cinquante chariots faits à la polonoise, tirés les uns par quatre, les autres par six chevaux. Passant tout du long de la rue Saint-Martin, allèrent descendre au logis de l'évêque de Posnanie, logé à la maison de Nantouillet, pré-

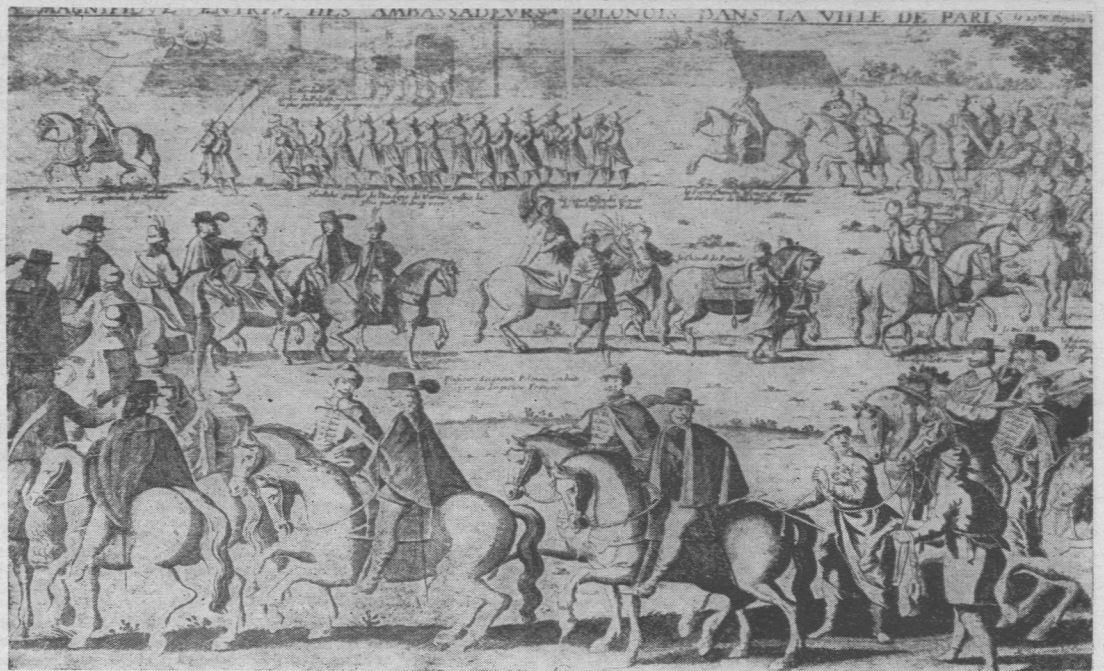
vôt de Paris; et après furent conduits les autres, chacun en leurs maisons aux environs des Augustins et rue de Bussey, par gentilshommes députés pour les accompagner, et autres gens ordonnés pour les faire servir à leurs maisons tant valets de chambre du roi qu'autres”.

Pour le peuple de Paris, cet événement prend allure de spectacle exotique:

„On ne peut exprimer l'étonnement de tout le peuple, quand il vit ces ambassadeurs avec des robes longues, des bonnets de fourrure, des sabres, des flèches et des carquois; mais l'admiration fut extrême lorsqu'on vit la comptuosité de leurs équipages, les fourreaux de leurs sabres garnis de pierres, les brides, les selles, les housses de leurs chevaux enrichies de même, et cet air d'assurance et de dignité qui les distinguait supérieurement et qui n'est bien naturel que dans des hommes libres. Leur taille, leur figure, leur bonne mine, tout imposait en eux...”

L'étonnement du peuple devait se prolonger dans la noblesse:

„Ce qu'on remarqua le plus des leurs premiers entretiens, ce fut leur facilité de s'énoncer en latin, en français, en allemand, en italien. Ces quatre langues étaient aussi familières à quelques uns d'entre eux, que la langue même de leur pays. Il ne se trouva à la cour que deux hommes de condition qui pussent leur



Cette gravure fut sûrement exécutée beaucoup plus tard, sans doute pour commémorer „La magnifique entrée des ambassadeurs polonais dans la ville de Paris” le 19 d'août 1573



A gauche, un des ambassadeurs, Jan Zamoyski, vêtu à la mode polonoise qui devait tant surprendre le peuple de Paris. A droite, Henri de Valois, roi de Pologne, futur Henri III de France



répondre en latin: le baron de Millau et le marquis de Castellana-Mauvissière. Ils avaient été mandés exprès pour soutenir, en ce point, l'honneur de la noblesse française qui rougit alors de son ignorance.”

Quels étaient donc ces ambassadeurs? Adam Konarski, évêque de Poznanie; Albert Laski, palatin de Sieradz, Jan Lodzia Tomicki, castellan de Gniezno; Jan Herburt de Fulsztyn, castellan de Sanok et staroste de Przemysl; Andrzej Gorka, castellan de Miedzyrzec, staroste de Gniezno et de Jaworów; Stanislaw Prawdzic-Krzyski, castellan de Raciarz; Mikołaj Sierota-Radziwiłł, maréchal de la cour de Lituanie; Mikołaj Firley, staroste de Kazimierz; Jan Sarius Zamoyski, staroste de Belz; Jan Zborowski, staroste d'Odolanów; Mikołaj Tomicki, fils du castellan de Gniezno; Alexandre Proński, fils du palatin de Kijovie.

Après avoir pris quelque repos, le troisième jour de leur séjour les ambassadeurs demandèrent à être reçus par le roi de France:

Ils passèrent l'eau dedans quelques bateaux qui leur furent apprêtés pour venir au Louvre, où ils trouvèrent le roi dans la grande salle d'en haut, accompagné des princes, cardinaux et gens de son conseil; et là, les dits sieurs Polonais et autres de leur compagnie, vinrent baiser la main du roi...”

Après avoir salué la reine-mère et la mère.

„...s'en retournèrent lesdits ambassadeurs passer l'eau pour aller en leur logis, ne voulant pas ledit jour, voir le roi de Pologne, leur roi, parce qu'ils disaient le vouloir voir un jour à part, pour

lui faire plus d'honneur, comme ils devaient”.

La rencontre avec le roi de Pologne interviendra le lendemain. Les ambassadeurs donneront un grand faste à leur visite. Ils sont accompagnés de membres de leurs familles:

„...quand on vit la compagnie si grande, ledit roi fut contraint, pour avoir lieu plus capable, d'aller la recevoir en la grande salle d'en haut, ce qui fut fait avec bel ordre. Et au-devant d'eux marchait ledit roi jusque au milieu de la dite salle, puis les mena en haut près de la cheminée, et là furent présentées les lettres... Et après ledit sieur évêque de Poznanie, Konarski, commença à faire son oraison... Le roi de Pologne lui répondant en latin, les remercia de l'élection qu'ils avaient faite de lui...”

Le cinquième jour, les ambassadeurs allèrent saluer le roi et la reine de Navarre (Henri de Bourbon roi de Navarre et future Henri IV), et sa femme, Marguerite de Valois, soeur des rois de France et de Pologne...

Viendront ensuite de longues journées de discussions, relatives aux promesses faites et signées par les ambassadeurs français envoyés en Pologne pour le fait de l'élection et les articles mêmes de l'élection. Le pouvoir limité du roi élu ennuyait fort Henri et il hésitait à signer et les articles et le serment. Le ton devint même assez vif par moment, mais Henri sut calmer l'irritation de certains ambassadeurs. Ces conversations se tinrent toutes en l'hôtel d'Anjou. Il fallut attendre le vingtième jour du séjour pour voir la fin des négociations.

Le 10 septembre 1573 une messe spéciale est donnée en la cathédrale Notre-Dame de Paris „sur les onze heures du matin, le roi et le roi de Pologne, accompagnés du roi de Navarre et autres princes du sang et seigneurs, et aussi les reines princesses et dames, et tous les ambassadeurs...” L'énumération de toutes les grands personnages présents à cette messe est fort longue.

Après avoir entendu la messe:

„Et après les rois de France et de Pologne se sont mis à genoux et le castellan Herburt a pris la forme de serment que le roi de Pologne devait faire, laquelle il a lue de mot à mot comme ledit sieur roi en a autant fait de sa part, et l'a jurée sur les évangiles. Et après le roi a lu son autre serment comme faisait aussi le chancelier, lequel roi a fait aussi serment sur lesdits évangiles d'entretenir de bonne foi ce qui a été accordé par ses ambassadeurs et depuis avec le roi de Pologne son frère. Et après lesdits sieurs rois, ambassadeurs et tous autres, se sont retirés, le héraut en criant en signe de joie et d'allégresse comme on a accoutumé. Et le roi s'en est allé dîner à l'évêché où il a mené lesdits ambassadeurs dîner avec lui”.



A gauche, un exemple de la mode française d'alors, à droite un costume de cour polonoise qui se distingue par la richesse des motifs brodés d'or sur fond bleu du manteau, et un pourpoint de soie rouge également brodé de fils d'or



Na przełomie lat 1967 i 1968 drukowaliśmy w nieznacznych skrótach rewelacyjny pamiętnik wielkopolskiego chłopca Tomasza Skorupki, który żył w latach 1862—1935, pod tytułem „Kto przy Obrze temu dobrze”. Przypominamy, że Obrza to jedna z wielkopolskich rzek. Tomasz Skorupka pochodził z powiatu gostyńskiego, gdzie gospodarował na 15-hektarowym gospodarstwie. Jego pamiętnik obrazujący dzieje rodzinne oraz życie własnej wsi na tle ogólnym, okazał się rewelacją i wszedł na trwałe do pamiętnikarskiej literatury pisarzy ludowych.

Nie upłynęło nawet trzy lata od zachwytu nad książką „Kto przy Obrze temu dobrze” a Wydawnictwo Poznańskie obdarzyło czytelników nową, podobną pracą, która jest kontynuacją poprzedniej, a mianowicie „Moje morgi i katorgi”. Są to wspomnienia syna Tomasza Skorupki, Wawrzyńca. Książka ta została wyróżniona II nagrodą redakcji tygodnika „Polityka” w 1971 r.

W odpowiedzi na recenzję z pracy Wawrzyńca Skorupki, jaką zamieściliśmy na łamach „Tygodnika Polskiego” kilka miesięcy temu, dając jej tytuł „Saga rodu Skorupków”, wielu czytelników wysunęło propozycję, aby pamiętnik Wawrzyńca, podobnie jak jego ojca — Tomasza, zamieścić na łamach naszego czasopisma. Przyrzekliśmy wówczas w odpowiedziach redakcji, że uczynimy to w odpowiednim czasie. W dzisiejszym numerze zamieszczamy fragment książki „Morgi i katorgi”, który to tytuł podobnie jak „Przy Obrze temu dobrze” jest popularnym powiedzeniem używanym na wielkopolskiej wsi. W miarę możliwości będziemy zamieszczać dalsze fragmenty dzieła. Odcinek dzisiejszy dotyczy czasu, w którym autor, po okresie dzieciństwa i młodości w rodzinnym Kosowie w powiecie gostyńskim, został w czasie pierwszej wojny zmobilizowany przymusowo do armii pruskiej i odbył kampanię bojową na froncie wschodnim przeciw wojskom rosyjskim, po czym w roku 1918, a więc gdy wojna zbliżała się już do końca, ale jej wynik był jeszcze niepewny, znalazł się w szpitalu, a następnie na kwarantannie w Zegrzu. Jest to piąty rozdział wspomnień Wawrzyńca Skorupki: „W szpitalu niemieckim, lipiec — listopad 1918” W naszym dzisiejszym odcinku wiąże się on z pierwszą częścią następnego rozdziału, dotyczącego się już w wolnej Polsce, w latach 1919—1920 pt. „Sierżant sztabowy w poznańskim baonie wartowniczym”.

Warto tu jeszcze przypomnieć, że zarówno Tomasz Skorupka, jak i jego syn Wawrzyniec, zaczęli pisać swe wspomnienia, dopiero po ukończeniu 70-go roku życia, już po trudach życia i pracy, kiedy na rodzinnych gospodarstwach objęły kierownictwo ich dorosłe dzieci. (Red.)

**K**WARANTANNA w Zegrzu trwała dwa miesiące. Miała ona wykazać nasz stan zdrowia. Pewien wpływ na to zarządzanie miała także obawa przed infiltracją hasel głoszonych przez bolszewików. Dlatego Niemcy dość łagodnie przyswajali nam swoje slogany propagandowe, codziennie też wprowadzali wśród nas coraz większą dyscyplinę wojskową. Po 8 tygodniach wystawiono nam przepustki urlopowe do miejsc przez nas wskazanych na odpoczynek przez drugich 8 tygodni. Po ukończeniu tego okresu każdy jeniec miał powrócić do oddziału macierzystego w garnizonie.

Wielką była radość w domu rodzicielskim gdy przybyłem na urlop, w dodatku tak długi. Był to czas wiosenny, koniec kwietnia roku 1918. Rozwijająca się przyroda kazała przestać myśleć o toczącej się wojnie, ale ofiary ludzkie z każdej miejscowości, a nawet tylko rodzinnej, nie pozwalały o niej zapomnieć, tym bardziej, że życie było w kraju ciężkie. Brak żywności, towarów, zdawanie władzom plodów rolnych spędzało wszystkim sen z powiek. Pomagałem rodzicom przy pracach rolnych, chociaż teraz wyręczały mnie już w tym dwie dorosłe siostry.

Co do nas, pięciu braci, którzy powąchalibyśmy prochu w czasie tej wojny, rzeczy miały się następująco: najstarszy brat Marcin, jako były górnik, zwolniony po dwuletnim pobycie na froncie, pracował w kopalni w Gelsenkirchen.

Nie było już wątpliwości, że Antoni poległ 22 sierpnia 1914 roku. Władze niemieckie przysłały laurkę z wizerunkiem cesarza Wilhelma i pochwałę, iż brat oddał życie za Niemcy. Drugi papier, podkreślający fakt, że pięciu żołnierzy z naszej rodziny poszło na wojnę, przyznawał ojcu zniżkę paruset marek w opłacie Feuerkasy za budynki.

Stanisław, brat student, nie zdołał mimo swoich manewrów meldunkowych uniknąć poboru. Zapisał się w roku 1915/1916 na uniwersytet w Monasterze w Westfalii, przeniósł się od października 1916 na uniwersytet do Monachium, gdzie przestudiował szczęśliwie do czerwca. Od lipca 1917 wzięty w rekrutę i przeciwiony w garnizonie monachijskim, znalazł się jesienią na froncie francuskim. Ratowała go jednak znajomość języków obcych, francuskiego i angielskiego. Wycofany po miesiącu z rowów strzeleckich, pełnił na zajętych obszarach północnej Francji w okręgu Valenciennes obowiązki telegrafisty, tłumacza, kwatermistrza i kuriera do Brukseli. Przeczytałem garść jego listów z tych miejscowości, w których przebąkiwał o ciężkich walkach na Zachodzie. Był to znak dla mnie, żebym się tam, broń Boże, nie dostał. Uratowałem życie na froncie wschodnim: tu szło się masowo do niewoli, na Zachodzie szło się masowo — do grobu. Ostrzeżenie: Antoni.

Jan podzielił mój los: dostał się do niewoli, francuskiej. Przeszedł on ciężkie opaly od roku 1914 w północnej Francji, najpierw pod La Bassée, tam 10 marca 1915 roku został ranny w nogę i w rękę odminy. Jeszcze gorzej było pod Verdun, gdzie w połowie kwietnia 1916 przetrucano ich forsownymi marszami po 65 kilometrów dziennie. Tutaj, już jako gefreiter rzucony w pozycje ruchome, ze straszną bronią miotaczy ognia, znalazł się pod fortem Thiemont, Vaux i Douaumont. Wystrząsany jako dowódca 8 ludzi, stracił po czterech dniach walki sześciu spośród towarzyszy. Po wycofaniu z tej morderczej pozycji dostał się z uzupełnionym puł-

kiem na pozycje koło Chemin des Dames, gdzie przetrwał szczęśliwie do czerwca roku 1917. Skierowany następnie pod Laon, doczekał się tego, o czym żołnierze Polacy w wojsku pruskim marzyli: dnia 26 października 1917 został okrążony z 12 000 wojska i zabrany do niewoli. Wysłany do Le Puy-en-Valay na południu Francji, był tam zatrudniony przy budowie tamy na rzece Loire. Tam właśnie się znajdował, gdy moja niewola w Rosji już się skończyła.

**P**RZED upływem urlopu, w połowie czerwca 1918 postanowiłem odwiedzić brata Marcina w Gelsenkirchen. Miałem wojskowy bilet do tego miasta, wystawiony jeszcze w Zegrzu.

Brat mieszkał u ciotki, siostry mojej matki, zamężnej za sztygarem Stanisławem Szymańskim. U tej to rodziny kwaterował brat wraz z trzema górnikami na stacji z pełnym wyżywieniem za umówioną opłatą. Odwiedziny udały się; mimo iż w tym czasie brat nie mógł się zwolnić z pracy, to w domu była ciotka, jej mąż i ich dorastające dzieci. Wspólnym wysiłkiem urozmaicali mi czas do powrotu brata z szczytu, który przeradzał się w przewodnika, ażeby pokazać mi godne uwagi zakątki czy budowle wielkiego miasta. Pobyt w Gelsenkirchen skróciłem do trzech dni z uwagi na ciężkie warunki żywnościowe, po prostu żeby nie skonsurować zapasów, które całej rodzinie przywiozłem z domu.

**W**pierwszej dekadzie czerwca 1918 znalazłem się w garnizonie, w mojej kadrze wojskowej w Głogowie. Spotkałem kilku znajomych z czasów niewoli, już w umundurowaniu polowym, co świadczyło, że niedługo odjadą na front. Rozpoczęto z nami ćwiczenia. Świadomość, że w krótkim czasie trzeba udać się na front zachodni, dokąd już przed kilku dniami wysłano pierwszą partię byłych jeńców, nie napawała nas radością. Cały wysiłek Niemiec zmierzał teraz do złamania frontu zachodniego, na który ściągali wszelkie rezerwy ludzkie i materiałowe. Horoskopy dla nas, przyszłych „bohaterów”, niewesołe.

Zanosilo się, że wnet ruszę na front zachodni i stracę tam życie lub dostanę się drugi raz do niewoli. Ocalił mnie przeznaczenie i w tym wypadku przebiegły mój ojciec, symulując chorobę. Umiejętnie przeprowadzona gra na zwłokę pozwoliła mi wskutek tego przez cztery miesiące, od lipca do listopada 1918, wodzić za nos władze niemieckie. Jak to się stało?

Po dziesięciu dniach pobytu w garnizonie w Głogowie nadszedł telegram, poświadczony przez powiatowego lekarza: ojciec obłożnie chory.

Po pewnym wahanii dowództwo batalionu udzieliło mi tygodniowego urlopu. Okazało się w domu, że schorzenie ojca nie było poważne, lecz pacyna masła, złożona tylnymi drzwiami przez kuchnię na ręce żony doktora, przekonała kreisphysikusa o powadze schorzenia.

Mając do dyspozycji własny rower, w czasie wolnym od prac polowych odwiedzałem krewnych. Udałem się do rodziny matki, do miejscowości Mościszki w powiecie kościańskim, odległej o 20 kilometrów od domu. Krewniak Michał Nowak, posiadacz 20 hektarów, był wzorowym gospodarzem, miał wydatną oborę krów mlecznych i lubował się w dobrych koniach. Miał również liczną rodzinę, lecz cesarz Wilhelm nie mógł z niej korzystać, gdy pierwsze dzieci w wieku poborowym to były córki.

Kiedy jechałem z odwiedzin przed zmierzchem we wsi Steżyca zaczął mnie na szosie miejscowy

gospodarz Kłupczyński, znany mi, bo parafianin i rówieśnik ojca. Chciał wiedzieć, com za jeden i co się taki młody szwendam w tym grobowym mundry. Dowiedziawszy się, ktem zacz, żem syn Tomasza, zaczął stękać, kręcić, to i owo, widocznie miał coś na wątrobie, a bał się powiedzieć. Po zapewnieniu, że nie zdradzę jego zaufania, zapoznał mnie dość szczegółowo ze stanem toczącej się wojny. Sens jego wypowiedzi był ten, że każdy szanujący się Polak powinien uchylać się od pójścia na front, a szczególnie ja, po powrocie z niewoli. W powiecie kościańskim, znanym ze swej postawy patriotycznej, wielu młodych Polaków od miesięcy w ten czy inny sposób stara się uniknąć pójścia na front. Chorują.

Z nabitą głową wróciłem do domu, rozmyślając o rozmowie z Kłupczyńskim. Rada w radę, postanowiliśmy spróbować, wykorzystując moje skaleczenie nogi, nabyte w czasie powrotu z niewoli, blabę, lecz w czułym miejscu, bo w przegubie. Dwie rzeczy były potrzebne. Esencja octowa na odświeżenie rany i lekarz do stwierdzenia stanu rzeczy. Jedno i drugie zostało dokonane. Kreisphysikus wystawił świadectwo, które wysłałem do formacji wraz z pismem o dalszy urlop. Odzew formacji był natychmiastowy: udać się do najbliższego lazaretu wojskowego. Zyskałem przez to cztery dni pobytu w domu.

Dzień odjazdu przypadł na 6 lipca 1918 roku. W przeddzień pomogłem rodzicom przy zniwotowaniu, żeby nadweryć chorą nogę. Rano odjechałem z myślą, że nie dojadę do Głogowa, lecz już w Lesznie lub we Wschowie znajduję przytułek w lazarecie. Nie udało się to. Szpital wojskowy w Lesznie po zbadaniu skaleczenia gładko mnie na zbity pysk wyrzucił, dodając, że mam garnizon macierzysty dość blisko. We Wschowie pokusa była zbyt silna, żeby nie spróbować przyjęcia do lazaretu. Wyjadłem i udałem się na poszukiwanie odpowiedniej komórki leczniczej. Znalazłem, a nawet trafiałem na dobry moment, bo rozdzielano wieczorną repetcę pacjentom, do których i mnie przydzielono. Zdawało się, że już mocno zapuściłem korzenie w tym przytułku, lecz traf chciał, że tuż przed udaniem się na spoczynek zjawił się szef-lekarz, któremu zaraportowano o nowym nabytku. Zainteresował się mną, zbałał papiery i nogę z tym samym skutkiem co w Lesznie: od razu, bez przenocowania we Wschowie, udać się do Głogowa.

Przygnębiony na duchu, zagnany do Głogowafortecy, gdzie było bardzo źle z wyżywieniem nie skierowałem się wcale do formacji, lecz wprost z dworca jeszcze tej nocy udałem się do lazaretu garnizonowego. Po pewnym wahanii przyjęto mnie tymczasowo; w dniu następnym miało być badanie lekarskie i przyjęcie lub odrzucenie.

Przeznaczono mnie do pawilonu Fahrzeugschuppen nr 2. Sama nazwa wskazywała, że był to dawny budynek przeznaczony na zajezdnię. Pierwsze wrażenie niezbyt zachęcające. Duże wnętrza w kwadrat, wypełnione pięcioma szeregami łóżek, po jedenaście w każdym rzędzie, prawie wszystkie zajęte.

Pacjenci w szpitalu, a szczególnie ci, co nie mają ochoty przenieść się w najbliższym czasie na łono Abrahama, są z samych nudów zbiorowiskiem ciekawskich. Dlatego też po moim przybyciu i wskazaniu mi próżnego łóżka większa część chorych podniosła głowy, ażeby zlustrować przybysza. Zniosłem tę pierwszą obserwację dość mężnie, przy czym sam ich zlustrowałem. Podpadło mi, że są to młodzi chłopcy o zdrowej cerze i puciułowatych obliczach, więc błyskawicznie pomyślałem: co to za zdrowa nacja. Rzuciłem okiem na tablice zawieszzone przy podgówkach. Okazało się, że tam leży przysły kwiat wojska polskiego. Same nazwiska kończące się na ak, ka, skł.

Z mieszаныmi uczuciami spędziłem noc. Rano wezwano mnie na badanie, wskutek którego pozostawiono mnie w szpitalu po gorących kontrowersjach pomiędzy lekarzem — za, a sanitätsfeldfeblem — przeciw. Stan skaleczonej nogi był zado-



walający. Sam ocenilem, że mój pobyt w szpitalu jest kwestią tylko kilku dni.

Po mojej lewej ręce leżał zdrowy z wyglądu młody chłopak, jak się później okazało, Skoracki z Białcza, z powiatu kościańskiego. Miał ogromną ochotę na rozmowę ze mną. Ja jednak udawałem nieprzystępnego. Tak minął drugi dzień. W godzinach rannych szło się do przegładu lekarskiego do izby chorych względnie lekarz badał obłożnie chorych na głównej sali.

Po pewnym czasie każdy pacjent z ciekawości znał cudze dolegliwości. Tak było z moim sąsiadem. Jako stały bywalec w szpitalu mimo nieznamości języka niemieckiego dawał sobie radę ze Szwabami.

W trzecią noc mojego pobytu w szpitalu zbudził mnie i zaczął oględnie prowadzić wywiad na temat mojego skaleczenia. Niewiele się ode mnie dowiedział. Natomiast ja od niego — bardzo dużo. A więc: na froncie nie był, w wojsku od roku, około dziesięciu miesięcy w szpitalu. Wtajemniczył mnie również, że tu są trzy kategorie żywienia; podejrzani mają trzecią kategorię, bezmięsną. A już zauważyłem, że zapominali mi przynosić dań mięsnych. Rano obejmiałem tablicę swoją i innych. Większość, a szczególnie Polacy, to trzecia kategoria, ja również. Czyli chcieli Niemiaszki pozbyć się nas głodem? Udawanie bohatera było zbędne, bo już mnie naznaczono. W noc następną byłem dostępniejszy dla mego sąsiada, który orzekł autorytatywnie, że za dwa dni wylecę ze szpitala, bo rana się zablizniła. Pokazał mi swoje schorzenie na lydce. Zdebiłem: rana dość głęboka, wielkości dziesięciocentymetra, cała noga do kolana zaogniona. Na moje pytanie, co było przyczyną tej rany, oświadczył, że to jego robota, ażeby nie służyć Niemcom. Używał do tego celu proszku na mole, którego pewien zapas ma na miejscu w schowku w szczelnie muru pruskiego, z którego nasz pawilon był zbudowany. Najwyższy czas, żeby już zastosował jego proszek, bo w przeciwnym razie wypiszą mnie ze szpitala. Zgodziłem się. Późną nocą pod jakimś pozorem manipulował przy ścianie, a potem podał mi w papierku odrobinę proszku, każąc to zwiżyć i przyłożyć na ranę. Tak zrobiłem. Po chwili odczułem w tym miejscu dotkliwy ból, który trwał do rana. Zdumiałem się podczas wizyty u lekarza, jak przez noc nastąpiło pogorszenie rany. Takie samo wrażenie odniosła asysta lekarska. Bo to nie była sprawa odosobniona, lecz raczej zbiorowa, takie pogarszanie się ran, nieuchwytnie dla administracji szpitala. Doszło do tego, że samitätsfeldfibel, Żyd z pochodzenia, głośno wykrzykiwał na sali:

— Ihr verfluchten Selbstverstümmler, wy przeciwności symulanci!

Żadnych formalnych oskarżeń nie można było wniesić, bo nie mieli namacalnego dowodu, nikogo nie chwycili na gorącym uczynku, a poza tym nasz lekarz blokowy, również Żyd z pochodzenia, był ludzki. Tak ta kołomyjka trwała, mimo różnych środków zaradczych, wprowadzanych przez personel lekarski i przez sanitariuszy.

Ojciec Skoreckiego odwiedzał swą latorośl co tydzień, a najrzadziej raz na dwa tygodnie, przywoząc bochen chleba własnego pieczywa o przekroju pół metra z dodatkami omasty i dyskretnie zaopatrywał swego synalca w nieodzwonny proszek. Kolejny z formacji, którzy jeszcze nie wyjechali na front donieśli mi, że moi współtowarzysze z niewoli, których w liczbie kilkunastu wysłano na front zachodni, popadli w niewolę francuską. Rozszalały się tam teraz straszliwe walki.

Zasłała potrzeba zwalniania miejsc w szpitalach dla ciężko rannych, znajdujących się w szpitalach przyfrontowych. I w naszym lazarecie czyniono przygotowania dla zwolnienia miejsc. Duża część podejrzanych została odesłana do formacji względnie do izb chorych. Przechodziłem w tym czasie grype połączonej z krwotokiem, dlatego mnie nie ruszano. Innych zwalniano.

Wkrótce madszedł transport ciężko rannych. Za sąsiada dostałem zagazowanego, który długo nie pociągnął, gdyż po dwóch tygodniach zmarł. Z sali uciekał łobuzerski nastrój, a powiało śmiercią, bo coraz częściej kostnica była w użytku.

W połowie sierpnia 1918 roku powtórzyło się prawie dosłownie to samo. Lżej chorych, których trudno było wyleczyć, a umrzeć nie chcieli, zwolniono do podrzędnych szpitali, a wolne miejsca przeznaczono dla ciężko rannych. U mnie nastąpił w tym czasie nawrót poprzedniej choroby oraz krwotok, który lekarzom przysporzył wiele kłopotu. Muszę stwierdzić, że zadali sobie wiele trudu, by mi zdrowie przywrócić, i zostawili mnie w szpitalu.

W tym krytycznym dla mnie okresie przywieziono z wieloma innymi nowego sąsiada na łóżko z prawej strony. Byłem tak osłabiony, że zrazu nie zainteresowałem się tym ciężko rannym. Po kilkunastu dniach siłabości przyszedłem do siebie i rozejrzałem się po sali. Obraz, który zobaczyłem na łóżku sąsiada, był przeciwieństwem opiewanego bohatera. Człowiek młody, w wieku 22 lat, zawiadzi kawalerzysta, huzar, bez obydwóch nóg, amputowanych jedną przy udzie, drugą wyżej kolana, ze zgruchotaną ręką. Leczone amputowane miejsca na sucho, bez bandaży, pod kłozkami z gęstej siatki, nie przykryte kocami, lecz przypudrowane jakąś zasypką. Makabra, bo wciąż widoczne.

Dni dalszego mojego pobytu w szpitalu wlokły się coraz wolniej i nudniej. Przeczytałem większą część książek z biblioteki szpitalnej. Z nudów zaczęliśmy grać w karty: Schafskopf względnie oczko. Prowodyłem do gry w karty był krajan, parafianin, Franciszek Jankowski ze Steżycy, jedynak, syn zamężnego gospodarza na 25 hektarach, zaopatrzony dość sowsicie w płynną flotę. Był stałym pacjentem szpitala z winy sanitariuszy, gdyż podczas zastrzyku zламаła się igła i pozostała w ciele zmieniając

położenie. Ten właśnie krąjący swobodnie po sali kompan pociągnął mnie kilkakrotnie do gry z różnym wynikiem.

Postronnie byliśmy już uświadomieni, że sytuacja wojenna dojrzała do tego stopnia, że lada moment można było spodziewać się końca. Dochodziły słuchy o zaburzaniach rewolucyjnych w wielkich przemysłowych miastach Niemiec, nawet w Berlinie. Zaczęły powstawać Soldatenraty — rady żołnierskie!

oto zaświtał dzień 11 listopada 1918 roku, który upamiętnił mi się jak żaden innych w życiu. Po czterech latach i trzech miesiącach ustąpił koszar, przysięgający miliony mężczyzn w wieku poborowym. Zabito 10 milionów żołnierzy, okaleczono 20 milionów, poniesiono miliardowe straty materialne, ale Wilhelm II, mańkut, pyszałek, wściekle krzyżackiej buty, przegrał wojnę z kretechem, uciekał jak tchórz do Holandii, aby tam z wściekłości rabać drwa: śmieszny kabotyń. Jeśli jest piekło, oby nigdy z niego nie wyszedł. Niemcy podpisali kapitulację, uznali punkty Wilsona, które przywracały niepodległość Polsce, Czechosłowacji, Węgrom i innym uciemiężonym narodom.

Ja w szpitalu ten dzień miałem bardzo uroczajony. Franek Jankowski zaproponował swojej paczce karcianej po śniadaniu grę w oczko. Z uciechy, że się ta udręka kończy, zagraliśmy o dość wysokie stawki. Nadmiaru grosza nigdy nie miałem. Karta szła mi fatalnie, toteż długo nie trwało, a zostałem doszczętnie ograny. Ale nie miało to żadnego znaczenia, bo właśnie wyszczał się ruch na dziedzińcu i rozległy się wivaty:

— Hurra! Hurra! Wojna zakończona!

Około południa zaczęliśmy się rozglądać za mundurowaniem, które było zdane do magazynu. Za późno, Zdrowi żołnierze już rozdrapali nasze nowe mundury. Braliśmy łachy, jakie podpadły pod rękę, ażeby dostać się do domu. Nie przejmowałem się, że z powodu przegranej nie mam feniga w kieszeni, gdyż wiedziałem, że w czasie przewrotów jeździ się niepunktualnie, ale za darmo.

Miałem rację. Zdezorientowani żołnierze narodowości niemieckiej szwendali się grupami po mieście, Polacy zaś walili hurmem na dworzec, gdzie czekali na pociąg, jadące na wschód. Nareszcie po południu taki okaz nadjechał, wypełnił się momentalnie pasażerami, a szczególnie żołnierzami. Wdarłem się do środka, lecz niestety kurs pociągu skończył się w Lesznie. Wieczór nadchodził, a nie było żadnych widoków na pociąg, który szedłby w kierunku Gostynia i Jarocina. Nie było innej rady, postanowiłem pójść pieszo.

Nie miałem żadnego bagażu, podniosłem leżący na drodze kij i podpierałem się nim jak kosturem. Noga bolała, lecz wzruszenie było silniejsze. Po drodze dobrałem drugi kostur.

Byłem już za miastem. Księżyce oświecał pola i drogi, pokryte śniegiem. W lesie kółkolewskim, przez który prowadziła szosa, okrył mnie i napelił dreszczem głęboki cień padający od drzew. Przez Garzyn i przez Hersztupowo niosła mnie już jak na skrzydłach tęsknota za bliskimi.

Wieś rodzinna była pograżona w głębokim śnie. Ani jednego światła w oknach, ani żywego ducha na ulicy.

Dopadłem, zmęczony i zdrożony, do bramy ojcowskiej zagrody. Noga bolała coraz więcej. Ledwie otworzyłem drzwi od podwórza, zerwał się od budy nasz poczciwy kundel, Amin. Poznał mnie, zaszczerkał radośnie i zaczął się łasić do moich nóg.

— Kochana i wierna sobako — tak nazywaliśmy psy w Rosji — rzekłem wzruszony — jaka ty jesteś szczęśliwa, że nie musiałaś, jak ja, włożyć się przez te lata po obczyźnie, pośród nieprzyjaciół i niebezpieczeństw. Żebyś wiedziała, kundlu, że już nigdy nie pójde na żadną wojnę.

Taki był dzień, taka noc, 11 listopada roku 1918.

## SIERŻANT SZTABOWY W POZNAŃSKIM BAONIE WARTOWNICZYM

P

IERWSZY kwartał roku 1919 był w naszej rodzinie w Kosowie bardzo burzliwy i pełen gwałtownych spięć.

Przed świętami Bożego Narodzenia powrócił brat Stanisław, student filologii nowożytnej, z frontu francuskiego. Po załamaniu się ofensywy niemieckich jego formacja szła pieszo przez Belgię, wystrzelując całymimi pułkami zbędną amunicję w powietrze. W Akwizgranie opuścił potajemnie swoją jednostkę. Zaopatrzony w papiery przez miejscowy Soldatenrat, dobrał koleją do Berlina, do kuzynki Heleny Runge, wnuczki żywej nam Karpiny, naszej ciotecznej babki. Tu oczyściwszy się z błota i brudu wojny, dojechał do Leszna, skąd nocą, pieszo, po 30 kilometrach drogi, tak jak i ja, przy głośnym ujadaniu psów przybył do drzwi rodzinnego domu:

— Nigdy więcej żadnej wojny — tymi słowy przywitał rozbudzoną ze snu rodzinę.

Całymi dniami przysłuchiwałem się opowieści o jego przeżyciach wojennych. Czasy były nadal niepewne, polska rzeczywistość państwa rodzica się z trudem. Nie byliśmy skłonni przyłączać się do jakiejś nowej akcji, mającej coś wspólnego z wojną.

Przedłużający się mój i brata pobyt w domu ostudził poważnie serdeczność z pierwszych dni po powrocie. Zagorowała gospodarcza kalkulacja. Przybycie dwóch dorosłych członków rodziny, nie mających w tej chwili żadnych szans uzyskania dochodowej pracy, komplikowało stosunki w rodzinie, tym bardziej iż ręk do pracy był dostatek, bo dwie siostry już dorosły i czuły się paniami sytuacji.

Ojciec, zawsze niewyczerpany w pomysłach, zaproponował mi ożenek na małe kilkuhektarowe gospodarstwo w sąsiedniej wiosce Gola, Ziemia dobra, lecz panna miała nogi kabiakowate. Za mało zresztą było morgów, próba nie doszła do skutku.

Z bratem było jeszcze gorzej. Jak go się pozbyć? Nie dokończony student jest na wsi zerem produkcyjnym, a otwarcie uniwersytetu w Poznaniu przewidywano dopiero za parę miesięcy, to oznaczało nowe wydatki na jego studia.

Coraz częściej wymieniano się klasztor w Krakowie jako miejsce, gdzie eks-żołnierz z Francji powinien wrócić, gdyż niehonor będzie dla rodziny, że ten, co już przed wojną był nowicjuszem w zakonie, teraz po wojnie chce kończyć studia na nauczyciela gimnazjalnego.

Po dwóch miesiącach gniewów i zadrzań, w początku marca wybuchł wreszcie otwarty kryzys. Matka, przy poparciu siostr, zażądała stanowczo, aby brat nie zmieniał dawnych zamiarów, powziętych jeszcze w roku 1906. Kiedy syn się sprzeciwił i oświadczył zdecydowanie, że wyjedzie do Poznania, a po studiach do Warszawy, został zmuszony do stawienia się przed rejentem w Gostyniu celem zrzeczenia się wszelkiej dalszej schedy z działów majątkowych z osady rodzinnej w Kosowie. Podpisał, ale uniósł się honorem i oświadczył wszystkim członkom rodziny, iż niepotrzebnie wydali pieniądze na Żyda Sarrazina i jego sekretarki i narazili go na ich szydercze uwagi: spłaci wszystko, co dotychczas pobrał na studia, lecz równocześnie złoży podanie do władz o zmianę nazwiska na skutek wrogiej postawy rodziny wobec niego.

Dotrzymał słowa, przyjął oficjalnie poprzedni swój pseudonim pisarski, Helsztyński, jako nazwisko, a w roku 1923 pierwsze swoje oszczędności z pracy nauczycielskiej w Warszawie przesłał rodzinie z zastrzeżeniem, że może je obrócić wyłącznie na budowę sześciopokojowego domu mieszkalnego na miejsce mniejszego, starego, z roku 1823.

Niepotrzebny spór zbyt krewkich stron został załagodzony w roku 1923 na uroczystości poświęcenia nowego domu. Rodzice, szczególnie ojciec, chcąc wyrównać synowi nieopatrznie wyrządzony mu w roku 1919 despekt, zapisał mu rentalnie u tego notariusza w Gostyniu używalność dwóch pokoi w nowym domu przez dwa miesiące wakacyjne do końca życia fundatora. Od roku 1925 do 1935, do śmierci rodziców, brat nauczyciel korzystał z tej zycziwej oferty.

Po gwałtownej scenie w rodzinie w marcu 1919 brat Stanisław opuścił natychmiast dom rodzinny, udał się do Poznania, gdzie wstąpił do Szkoły Podchorążych.

Pójście brata studenta do wojska w Poznaniu uważałem za najlepsze rozwiązanie jego sporu toczącego z rodziną. Wyrwał się na początku wojny z klasztoru jak tygrys z klatki i zakosztował wolności, nie dał się żadnym pogromcom, księżom, dziedzicom i rodzicom, zagnać z powrotem do otwieranej przez nich na powrót klasztornej celi. Habit zamienił na mundur, pałac raz na zawsze wszelkie mosty z sobą. Wykazał odwagę cywilną, bez której nie byłby dokonał w swym życiu tego, o czym jeszcze napiszę.

Ze mną było gorzej.

Kuracja Skorackiego, zalecona mi w szpitalu w Głogowie, o mało co nie zrobiła mnie kaleką na zawsze. Przeholowałem w dozwoleniu trującego proszku na mole. Poważnie zaszkodził marsz do domu 11 listopada. Przyćpiły się wrzody, ropienie ran, jątrzenie się czerwonicy blizn i obrzmienie tydek.

Jak Pan Bóg się od kogo odkręci, to huzia na niego wszyscy święci. Po kilku tygodniach borykania się ze swymi kulfonami zapadłem na grypę, a jako konsekwencją nastąpiły dwa groźne ataki krwotoku. Niezdrowa krew buchała mi z ust tak, że nawet matka, nie bardzo dla mnie oszuła z powodu mojej krnąbrności z chłopięcych lat, zaniepokoiła się:

— Chciałeś go, Tomek — powiedziała do ojca — żenić z tą dziewczuchą z Goli, a on tu nam chyba marnie zginie po tych głupich eksperymentach w szpitalu. Za wiele sobie tego świnstwa wpakował w nogę.

Zrobiło mi się trochę niewyraźnie na dołku. Nie miałem wcale ochoty być wywieziony na księżą oborę, a zdarzało się wtedy po przeżyciach wojny, że ten i ów, młode czasem dziewczę, niby zdrowy chłopak, zabierał się i umierał.

Przez listopad i grudzień ludziem się nadzieją na jakąś poprawę, ale już w styczniu 1919 zanepokoiliem się na serio swoim stanem zdrowia. Pozbyłem się już odrazy do wojny. Jak nieoprawny pijak do wódki, tak ja zatęskniłem do wojaczki, czego bym w pierwszych tygodniach po powrocie z Głogowa nigdy o sobie nie przypuszczał. Ale teraz szło o co innego, o włączenie się do walki nie u boku Niemców i za Niemców, ale przeciw Niemcom.

Z Gostynia przywoził ojciec coraz to nowsze wiadomości o przygotowaniach do powstania. Wymieniał nazwiska Potworowskiego, Dabińskiego, Polaszka, Wozniowdzkiego, Langnera i innych tyków jako pchających do rozprawy orężnej z Niemcami.



Autor książki „Moje morgi i katorgi”  
Wacław Skorupka.  
Zdjęcie z roku 1969

Już w połowie grudnia Polacy przejęli władzę w mieście od Niemców.

— Oj, musiał się skrecać z gniewu landrat Lucke — mówił ojciec i zacierał ręce — kiedy Dabiński zażądał od niego przysięgi na wierność Polsce, a on ani rusz nie mógł się na to zdobyć!

Któregoś dnia przyleciał z Hersztupowa dawny przyjaciel ojca, majster od różnych budów w Kosowie, Dembowy, i wywołał wybuch wściekłości wśród chłopaków wiejskich. Dlaczego? Bo Rada Powiatowa wyznaczyła ludzi na wszystkie stanowiska, także jakiegoś lyka do spraw kolei, a tu mieszczuchy nie umiały patrzeć na palce niemieckiemu zawiadowcy stacji w Gostyniu. Przebiegły Niemiec, niby utrzymując normalny ruch pociągów, formował zestawy wagonów i manewrując z nimi w te i wte strony, ogłaczał stacje kolejowe powiatu z maszyn i wagonów, ekspedując je do Leszna, do Niemców. Wielomilionowy majątek uciekł w ten sposób na zachód, do Niemiec. Jakim to trzeba być uważnym, sprytnym partnerem, żeby nie dać się Niemcom wyprowadzić w pole!

Nie mogli chłopcy i starzy gospodarze darować tego ubytku taboru kolejowego i lokomotyw, które powinny i mogły być zostać w Polsce.

Podrostki, parobcy i zdrowe chłopaki ze wsi zbierali się w parku za pałacem i uczyli się egzerdjerki wojskowej. Byłem wojskowym, brałem udział w bitwach, znałem obsługę różnych rodzajów broni, mógłbym się teraz przydać i nawet chyba awansować szybko na kaprala. Niemcy nie dali mi stopnia, ale teraz droga do awansu była otwarta. W sam raz w takim czasie własnowolna końska kuracja z Głogowa nie pozwalała mi wyzyskać nadarzącej się szansy. Spoglądałem z nienawiścią na moją karpawą się girę: puchnie i cuchnie!

A tu nagle 27 grudnia wiadomość o przyjeździe Paderewskiego do Poznania zelektryfikowała każdego, kto miał bodaj trochę rozeznanie. Na plebanii w Starym Gostyniu gruchnęła wiadomość, wzięta z gazety, ale i z prywatnego listu, że siostrzeniec proboszcza Sobkowskiego, pan rotmistrz Kazimierz Ciężkiński rodem z Gostynia witał dostojnego gościa na czelu szwadronu przed dworcem poznańskim. Nie wiem, czy tak było naprawdę, ale zazdrościłem takiego wyróżnienia synowi browarnika gostyńskiego. Na samym początku niepodległości taki honor!

Po południu dnia 5 stycznia 1919 pękła bomba w Kosowie. Do pałacu, gdzie już drugie pokolenie dzierzawców Pilschenów panoszyło się we wspólnych salonach po Potworowskich, zajęchali nagle dwiema furmankami pan Hejnowicz i Peisert z Gostynia w asyście polskiej straży i tu łapes capes zagarnęli pana Edmunda jako zakładnika do więzienia w Gostyniu. Cóż to była za sensacja! Ludzie z folwarku aż zaniemielili: co się dzieje? Taki koniec wielmożnego pana! Opowiadali, jak ten drańgał niemiecki, wysoki niby topola, na widok urzędowych gości z Gostynia pobladł na twarzy, jak się trząsał niby gałązka, gdy mu wskazano furmankę i gdy krzyknęto na konie: — Naprzód, wio! Do aresztu!

Nikt chyba nie ucieszył się z klęski dzierzawcy, tuczającego się od 30 lat na 4000 morgów majątku kosowskiego, tak jak mój ojciec.

— Nie jestem zabijaką — powiedział — ale tak nie cierpię szkiebów, że gdyby mi kazali, to mógłbym kosą ścinać ten pruski łeb. Co tutaj u nas, Polaków katolików, chcą te pludry i lutry? Czy my pchamy się do Niemiec zabierać i wyzyskiwać ich majątki?

Nazajutrz wyjaśniło się, że wzięto w powiecie więcej zakładników, między innymi majora Pfeiffera, dyrektora cukrowni w Gostyniu. Później zaś dowiedzieliśmy się, że był to krok przedsięwzięty na rozkaz Naczelnej Rady Ludowej jako odwet za wzięcie zakładników spośród Polaków w Lesznie.

Edmund Pilschen skończył się dla Kosowa. Zwolniony, umknął cichcem pod Wrocław.

Ledwie minęło święto Trzech Królów, kiedy rozpętała się na dobre wojenna burza. W nocy Trzech Królów dostarczono z Poznania okrężną drogą 500 karabinów i 3000 naboju. Rano — pobudka, alarm na miasto i powiat. Kto służył był w wojsku, stawił się przed strzelnicą w Gostyniu. Było takich coś 500 głów. Ale młodzików, „sokolów” i strzelców napchało się drugi raz tyle, bo rozdawano broń, a każdy chciał ją posiadać.

Był w Poniecu porucznik armii niemieckiej, Bernard Sliwiński, doktor nie wiem czy medycyny, czy filozofii. Tego przy głośnych okrzykach zamianowano dowódcą gostyńskiego batalionu. Były chorągwie, były mowy, było błogosławieństwo proboszcza Grzędzy i formowanie dwóch kompanii. Jedna jeszcze tego samego dnia ruszyła pod Poniec, druga następnego dnia w kierunku Kąkolewa, stacji

węzłowej o parę kilometrów od Leszna. Dowódca stanął kwaterą w pałacu Mielżyńskich w Pawłowicach.

Szło o to, żeby odgrodzić uzbrojonym frontem polski powiat gostyński od powiatu leszczyńskiego i samego Leszna, gdzie stał silny garnizon niemiecki, około 2000 ludzi z regularnych formacji i chyba 20 armat z dostatkami amunicji.

Stali tak naprzeciw siebie: tu porucznik Sliwiński i 500 powstańców bez dział, zorganizowani pośpiesznie, rozrzuconymi grupkami po wsiach, okrążający Leszno od południa i wschodu, a w Lesznie prawdziwa twierdza, pełno wojska, artyleria, a na czelu wojsk oficer w stopniu generała Lepper. Porucznik i generał — to była miar tych dwóch frontów.

Ale duch przeważał właśnie po naszej stronie. Powstańcy byli zaciepli, ofensywni. Przewidywali, że Leszno zostanie nam przyznane Traktatem Wersalskim, ale że należało trzymać Niemców w szachu, żeby nie rabowali mienia państwowego, nie niszczyli zabytków, nie wywozili fabryk i sprzętów. Rozpoczęły bój wywołał i ten zbawienny skutek, że cywilna ludność niemiecka Leszna i okolicy, zdjęta paniką, uciekała na zachód, przez co teren oczyszczał się z niemieczyzny.

Najzaciętsze boje stoczyli powstańcy pod Kąkolewem i w Osieczynie w dniach od 7 do 11 stycznia 1919. Były pod Kąkolewem dość liczne siły niemieckie. Był groźny pociąg pancerny. Wieś kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. Miotaczom min i artylerii nie mogli Polacy przeciwstawić prócz kulomiotów żadnej ciężkiej broni. Dopiero coś po tygodniu, jak musztarda po obiedzie, przyszyły z Poznania 2 armaty, przestarzałe pukawki i małowielka kul do nich, takich, co były zleżałe i nie wybuchwały.

Najciężej jednak mieli powstańcy pod Osieczną. Na wschód i bardzo blisko Leszna. Jeżeli niegdyś, w roku 1848, polscy kosynierzy ścierali się na fest z Niemcami w wielu bitwach, a szczególnie w Książu, to walki naszych powstańców w Osieczynie zaliczylibyśmy do podobnych wyczynów bohaterów. Naszych było tam coś 350 z samego miasteczka. Byli też krzywiniacy i śmiglanie. Niemcy strzelali z armat, używali miotaczy min. Wszystko nasi wytrzymali i atak odparli. Warto o tym pamiętać, tym co do tej miejscowości na wozasy nad jezioro osieckie przyjeżdżają. Odznaczył się tam najbardziej sierżant Muszyński z oddziału osieckiego, porucznik Namysł od krzywiniaków, porucznik Łukomski od śmiglan oraz Talarczyk, dowódca kompanii gostyńskiej.

Niemcy nazwali Osieczną po swojemu Storchest (bocianie gniazdo). Gdy Polacy usadowili się w tym „gnieździe bocianim” jak na maszcie wielkiego okrętu, już z tego gniazda nie zesłi. Głośno z niego dziobami swoich kulomiotów klekotali. Stare zamczysko, jezioro, wzgórze z wiatrakami, klasztor i strome ulice stanowiły dobre warunki obronne. Już w dawnych wiekach, jak sama nazwa świadczy, było to miejsce obronne z jakimś zasiękiem, gdzie łatwo można było wytrzymać szturm nieprzyjaciela.

W połowie lutego nastąpił rozejm między frontami. Ani jedna, ani druga strona nie odeszła jednak ze swoich pozycji. Nie zrobiono tego także w czerwcu po podpisaniu Traktatu Wersalskiego. Garnizon leszczyński opuścił miasto dopiero w styczniu roku 1920.

W tym spokojniejszym etapie ustabilizowanych frontów musiały być przy wojakach naszych jakieś markietanki, dziewczuchy, ciekawskie baby, a może siostry i kuzynki odwiedzające żołnierzy. Wnoszę to z tego, że jedna z tych, co tam chodziły w odwiedzinach, po zakończeniu działań, już w roku 1920, po 9 miesiącach od czasu takiej wizyty, pilnie obchodziła całe sąsiedztwo i przepatrywała nasze strony. Szukała ojca swego nieślubnego dziecka. Przebiegły, ostrożny, a jednak łakomy amator słodkich jabłek nie podał nazwiska ani imienia towarzyszyce miłosnej nocy. Ale trafiła kosa na kamień. Dziewczyna badała rejestr uczestników powstania z kwatery kąkolewskiej nie w biurach i spisach na papierze, lecz po odpustach i targach. Aż przychwyciła tego miłego ktosia-niktosia. Wykręcał się. O ożenku ani słyszeć na chcial. Ona była spod pana, on gospodarz syn znad Obry. Z miasteczka. Nie zdradzę jego nazwiska, bo to nawet jakby powinowaty, a w każdym razie znajomy. Próba krwi dowiodła, że on był sprawcą. Płacił nieborak alimenty przez lat 18, aż dziewczuszka podrosła.

Dodam jeszcze, że pod Kąkolewem było z początku bardzo gorąco, o czym świadczyły przerażone pogłoski, które obiegały błyskawicznie całą okolicę. Przy wojsku, jak to przy wojsku, pętało się sporo młodzików, dużo różnej halastry żadnej wojennych przygód, a może i łupów. Zeby bodaj postrzelać z karabinu, żeby pociągnąć za cyngiel, żeby choć lyknać łyżkę stawy z kotła! Dla nich było to wielkie przeżycie. Byli za młodzi, żeby brać udział w mordowni i okopach dalekich frontów. Teraz mieli wojnę pod nosem. Ale przeliczyli się z nerwami. Gdy z lasów kąkolewskich wynurzył się pociąg pancerny, dyszący ogniem jak smok, gdy zagrzmiał działami, halastra i gołowasy w nogi, opuścili żołnierzy i wiali do tyłu. Gdy znojeni, spoceni, przerażeni dotarli do swoich rodzin, rozgłaszali fantastyczne plotki o bitwie. Wtedy co tchórzliwi zdejmowali polskie chorągwie z dachów, bojąc się powrotu Niemców. Protestowali przeciwko temu ludzie dojrzałsi: Łapy preg od flagów!

Wszystkie wydarzenia, nawet te najgorętsze, od 7 do 11 stycznia, groźne chwile paniki, a także trium-

falne momenty, gdy bliski front mógł się czymś pochwalić, zbladły u nas w domu dnia chyba 20 kwietnia. Tego dnia pierwsze eszelony armii generała Hallera przejechały przez Niemcy, z wiedzą i wolą Francji, zatrzymały się na godzinę w Kąkolewie na dworcu, witane okrzykami hurra! hurra! przez naszych żołnierzy i cywilów. Któż mógł pomyśleć, że w pierwszej zaraz serii wagonów, co wiozły naszych żołnierzy, broń i amunicję, znajdzie się mój starszy brat, Jan. Gdy tylko dostał się na front francuski do niewoli, i dowiedział się, że tam we Francji formowano ochotników do armii Hallera, zaraz do nich wstąpił.

Przejeżdżając znajome, prawie rodzinne Leszno, czekał w Kąkolewie, czy pociąg ruszy w stronę Kosowa, naszej i jego wsi, i Gostynia. Dowiedział się, że nie jadą w tym kierunku.

Cóż więc robi? Wyrwa kartkę z notosu i kreślił parę słów do domu, wręcza ją jakiemuś chłopcu i prosi o doręczenie według adresu: Tomasz Skorupka, Kosowo.

Chyba nigdy żaden list ze świata nie wywołał takiego poruszenia jak ta karteczka naszego Jana wracającego z Francji.

Nie było końca pytań pod adresem niezwykle gońca:

- Widziałeś go na własne oczy?
- Jak wyglądał? Dobrze czy zmizerowany?
- W jakim mundurze? Naprawdę w błękitnym?
- W rogatywce?

Matczysko rozplakało się i nuże lamentować a zawodzić, aż jej się trzęsła głowa posiwiła od zmartwienia:

— Cóż ja pocznę biedna, taka utrapiona przez tę nieszczęsną wojnę! Urodziłam na swe nieszczęście sześciu synów, w sam raz na rzeź w tych bitwach! Już nie wróci mój Antek spod ziemi, pewnie tam w Belgii spróchniały. Teraz Jan przejechał obok nas, a nie mógł ani na chwilę wpaść do domu. On takie chucherko, najdrobniejszy ze wszystkich, a ma najciężej! Stach na nas się pogniewał i poszedł do wojska, wcale się nie pognęgnawszy, pewnie mocno obrażony. Chciałam dobrze, a wypadło źle z tym odpisem u reagenta. Jeszcze też go gdzie zabiją, mógł być księdzem, co do wojska iść nie musi, a on nie i nie. A tu znowu ten pedziwiatr Wasiek, co ledwie rusza się na swych kulasach, też wybiera się do Stacha do Poznania, do wojska. Kto u nas z nami na roli zostanie? Ten dzieciuch Franek? Jestem najniezwyklejszą matką z całej naszej wsi. Jezu, Jezu!

Lamenciła tak dzień po dniu. Spać nie mogła po nocach. Zrywała się ze snu, że znów któregoś z jej synów zabijają. Dała na mszę św. do kościoła o zachowanie synów przy życiu. Modliła się do Matki Boskiej Starogostyńskiej i sama wyglądała jak Matka Bolesciowa na ołtarzu z siedmiu mieczami przebijającymi jej serce.

Ukrywałem w tym stanie rzeczy swoje dojrzejące niecne zamiary, które mogły pogorszyć jej stan. Po lekarstwa zwracałem się nie do niej, lecz raczej do ojca, wysyłając go do apteki i do felczera. Przyniósł różne rady i różne maści. Najwięcej pomogły mi płaty cebuli i wywar z rumianku. Gdy matka chciała mi pomóc, kreśliła kredą święconą, okadzała kadziłem, nie sprzeciwiałem się.

— Już i tak mi jest lepiej — zapewniałem rodzicielkę. — Jutro wybiorę się nawet do kościoła, a w następny piątek do Gostynia. Nie wiedziała, że Gostyń był mi potrzebny, żeby zapisać się do wojska. Noga była już w takim stanie, że mogłem opuścić dom.

Dodam, że przed pójściem do regularnego wojska powstańczego, mimo defektu w nodze, brałem udział w stróżowaniu nocnym w rodzinnej wsi oraz w sąsiedztwie. Obszarnicy organizowali tę straż z byłych żołnierzy, aby przytrzymywali waleśających się podejrzanych osobników. Niektórzy powiadali, i szło o powstrzymanie infiltracji ze strony „wyrotowców bolszewickich”. Dwory szlacheckie były bardzo uczulone na to niebezpieczeństwo.

W czasie nasilonych walk pod Leszmem w pierwszej fazie powstania, kiedy sytuacja pod Leszmem wydawała się zagrożona, przyłączyłem się mimo niezupełnie jeszcze zagojonej nogi do ruchawki ochotników-cywilów, prowadzonej z Gostynia do Kąkolewa przez niejakiego Ulrycha, pół-Niemca, ale i wroga Niemców, murarza, osobiście mi znanego, bo w roku 1914 budował w Dembowym stajnię i oborę u mego ojca w Kosowie. Nie uzbrojona hurma, hulaśliwa, składająca się z młodzieży przedpoborowej, nieprzydatna na froncie, a tylko straszająca niemiecką ludność w okolicy Garzyna i Krzemieniawa, została rychło odesłana do domu.

Jako stary żołnierz, uczestnik regularnej armii, przyszedłem do przekonania, że moje miejsce jest w szeregach wojskowych w Poznaniu.



## La semaine des Jeunes

„ces sentiers ne sont pas destinés à faire «manger du kilomètre», ni à accomplir des performances pédestres, mais à faire profiter au maximum les amateurs des richesses archéologiques ou naturelles de notre pays”. Et: „Nous avons réalisé une

pas que „quand on ne veut qu'arriver, on peut courir en chaise de poste; mais, quand on veut voyager, il faut aller à pied”? Et Rimbaud? Connaissez-vous l'admirable poème de Rimbaud intitulé „Sensation”? En voici le premier et les derniers vers:

une clairière des objets qui aiguissent l'appétit (des fourchettes rouillées, des boîtes de sardines vides, etc.), ou rencontrer un trésor vivant (une belle fille ou un garçon bien sous tous les rapports), ou encore tomber sur un camp de nudistes clandestin... Que sais-je?

Naturellement, on peut aussi faire la rencontre d'une femme qui vend des fruits au bord de la route. Si jamais cela vous arrivait, ne lui demandez surtout pas: „Avez-vous des cuisses — madame?” Surtout si vous êtes un garçon. Toutes les marchandes de fruits ne savent peut-être pas que les cuisses-madame sont des poires allongées et de couleur fauve. Votre interlocutrice pourrait fort bien se fâcher et se mettre à vous traiter de satyre et à crier: „A l'aide!”... Vous comprenez?

Je vous fais une grosse bise.  
**MARTINE**

## LES JOIES DE LA MARCHÉ A PIED

**V**OUS rentrez? Non? Vous vous apprêtez seulement à partir? Vous avez de la chance. Et comment allez-vous gagner le lieu où vous avez choisi de passer vos vacances? En train? En voiture? A bicyclette? Peut-être votre père ou votre oncle exercent-ils la profession de marin d'eau douce et peut-être allez-vous vous y rendre en péniche? Ou bien en avion? Ou bien pédestrement?

Plait-il? Vous me demandez si je plaisante? Pas le moins du monde. Il paraît que le tourisme pédestre connaît en France une faveur grandissante, que notre pays compte en ce moment 80.000 adeptes de ce genre de vacances et que bon an mal an, le nombre des Français qui jouent les piétons en été augmente de vingt-cinq pour cent. J'ai lu récemment dans un quotidien une interview du secrétaire général du Comité National des Sentiers de Grandes Randonnées. M. Chevalier — c'est ainsi que ce secrétaire général s'appelle — a rappelé qu'il existe actuellement en France quelque 10.000 kilomètres de sentiers réservés aux piétons et que — je cite —

quinzaine de grands itinéraires allant de 150 à 1.200 kilomètres, le plus long étant celui qui relie la Méditerranée à la Hollande a-t-il ajouté. — Le départ peut avoir lieu de Saint-Tropez, près de Ramatuelle. Vous ne rencontrerez là, dans cette garrigue provençale, personne ou à peu près”. Le savez-vous?

Que pensez-vous de ce genre de tourisme? Vous prétendez que vous êtes faibles et recrus de fatigue et que quand bien même les sentiers réservés aux piétons seraient semés de photos représentant l'adorable rédactrice, en chef de „La Semaine des Jeunes” dans le plus simple appareil ou de billets de cent francs, vous leur préféreriez les rails et les autoroutes? Allons, allons, du courage. Ecoutez ce que je vais dire, s'est pour votre bien. Nul n'a besoin d'être un athlète pour découvrir les joies de la marche à pied. Jean-Jacques Rousseau n'avait rien d'un sportif, et pourtant ne lui est-il pas arrivé de faire deux lieues par jour durant presque tout un printemps „pour aller écouter à Berci le rossignol à son aise”? N'affirmait-il

„Par les soirs bleus d'été, j'irai dans les sentiers (...). Je ne parlerai pas, je ne sentirai rien: Mais l'amour infini me montera dans l'âme, Et j'irai loin, bien loin, comme un bohémien, Par la Nature, — heureux comme avec une femme”.

Pourquoi ne suivrions-nous pas les brisées de l'illustre auteur de „La Nouvelle Héloïse” et du génial poète des „Illuminations”?

La marche, c'est la santé. En marchant, on ne risque pas de s'endormir au volant et de provoquer un accident. La marche, c'est aussi la liberté. On peut s'arrêter quand on veut et où l'on veut. On peut à tout moment s'asseoir sous un arbre ou se coucher sur la rive verdoyante d'une rivière et lire — ah! quel délice! — „La Semaine des Jeunes”. On peut enlever ses chaussures et ses chaussettes et se parler à soi-même etc. Tandis que dans le train ou en voiture... La marche, c'est également l'aventure. On peut faire toutes sortes de trouvailles. On peut par exemple découvrir dans

## Co czwarty człowiek będzie narkomanem?

Na świecie żyje obecnie 20 milionów narkomanów. Większość z nich to mieszkańcy krajów Azji (Indochiny, Malajzja, Indonezja) oraz Stanów Zjednoczonych. Biuletyn ONZ pisze, że główną przyczyną stale rozszerzającego się nałogu jest napięcie wywołane przez problemy gospodarcze i społeczne. Uważa się, że w przyszości 25 proc. ludzi w krajach wysoko rozwiniętych będzie używało narkotyków, jeśli nie podejmie się **energicznej akcji** uświadamiającej.

Warto dodać, że obecnie co roku produkuje się na świecie do 30 tys. ton kokainy i 2 tys. ton opium.

## WYMIENIAMY KORESPONDENCJE

**GRAŻYNA CUDOWSKA** — Białystok, ul. Hetmańska 18 m 1 — lat 16. uczennica liceum ekonomicznego im. Mikołaja Kopernika w Białymstoku. Interesuje się turystyką, geografiami, zbiera widokówki oraz fototy aktorów i piosenkarzy. Chętnie nawiąże przyjacielską korespondencję.

**JERZY GROBAREK** — Katowice 22. ul. Ułańska 7 — od dawna marzy o nawiązaniu przyjacielskiego kontaktu z młodzieżą francuska lub belgijska, by dowiedzieć się bliżej o jej życiu i zainteresowaniach. Interesuje się także astronautyką i muzyką jazzową.

**ELŻBIETA BEDNARSKA** — Przemków, ul. Szkolna 2, woj. zielonogórskie — ma 18 lat i różnorodnie zainteresowania m. in.

interesuje się filatelistyką. Posiada dość dużą kolekcję znaczków pocztowych, które chętnie wymieni na widokówki kolorowe. Zna język esperanto.

**HELENA GIERS** — Legnica, ul. K. Liebknechta 17/2, woj. wrocławskie — pisze do redakcji: „Zwracam się do was z prośbą o ułatwienie mi nawiązania korespondencji. Pisałam już do wielu gazet ale jakoś nie mam szczęścia, nikt do mnie nie pisze. Mam 19 lat, interesuję się filmem, teatrem, muzyką, zbieram widokówki i nagrania płytowe. Będę bardzo szczęśliwa, jeśli ktoś do mnie napisze”.

Zyczymy naszej Czytelniczce aby za naszym pośrednictwem znalazła wymarzonej sobie korespondentów.



132

### PIGULARZ

Turkowski pozostał niezachwianym, ukrył się w sypialnym pokoju Tankenberga i w żadne z posłami pertraktacje wejść nie chciał.

Był szary, mroźny poranek grudniowy. Przed handel win i delikatesów Kulewskiego zajechał podłużny omnibus pocztowy. Władysław, opięty w letnim paltociku, z torebką w rękę, zęgnął się z Tankenbergiem. Stary poczytylion zatrzasnął drzwiczki, wskoczył na kozioł i zagrał przeciągle, żałośnie.

Władysław jechał sam. Wychylił się przez wpółopuszczone okno omnibusu. Kasia otwierała aptekę... w oknach materialni mignęło coś niby puciołowata twarz Wielickiego. Jednocześnie na przeciwległej stronie rynku odsłaniał podwoje swej oficyny Wielecki. I naraz westchnął puer.

Et, w rezultacie ten Wielicki nie taki był zły... Dziwak, rap-tus, ale... nie ma do niego pretensji... nie żywi urazy! Ano, może i szkoda, że już wyjeżdża? Tankenberg... Wila... Podciupski... dobry safandula!... Zżył się z nimi wszystkimi. Lubił i ten ogród z jedną ocienioną aleją, i kościoły dwa, i prastare, opuszczone ruiny, i Kulewskiego, i ten swój kąs za materialnią. Uniósł się może... niepotrzebnie i... kto wie, czy nie zrobił głupstwa... Gdzie się teraz podzieje?... Pół roku praktyki mu pozostało... Całe pół roku!...

Omnibus pocztowy toczył się leniwie, źle osadzone szyby dygotają, hucząc i dzwoniąc. Władysław patrzył, jak z wolna, stopniowo Rawa tonęła w mgłę, znikając.

Jeszcze kilka żwawszych obrotów kół i omnibus znalazł się w szczerym polu na szosie.

— Więc już wyjechałem z Rawy — szeptał do siebie Władysław — czy zobaczę ją jeszcze kiedy w życiu?...

Jakby w odpowiedzi na pytanie odezwała się smętna trąbka zamasztygo poczytylion:

*Ostatnią już nockę u matki będę spała,  
A jutro gospodarstwo swoje będę miała...*

Puer otrząsnął się z zadumy i, wyciągając papierosa, mruknął:

— Jeszcze kazaliby się człowiekowi ożenić! Zimno!... Napalmy sobie choć w twarży!...

(c.d.n.)

### PIGULARZ

129

— O! Du lieber Gott\* — westchnęła Niemka.

— Ależ! — zaprotestował Władysław.

— Nie ma „ale”! Zakradłeś się pan... podstępnie, nichonoro-wo, zbuntowałeś narzeczoną panny Wili! Nie zapieraj się, pan! Zbuntowałeś! Rozbudziłeś, jakby nie było... uczucie! Powiadają, że rozbudziłeś!... Zaprzysięgłeś jej miłość, a teraz chcesz porzucić?... To, jakby nie było... nie tego! Choroba, coś owoś, o!...

Władysława cierpliwość zaczęła stopniowo opuszczać. Zebrani nie dali mu przyjąć do słowa.

— Panie! — wtrącił się Wolanowicz — kiedy panu chlebowdawca, panie, pryncypał, zwierzchnik, panie, mówi, że nie tego... to, panie... paskudnie!... I ja byłem... słowo honoru, byłem młodym... ale, panie, takich nie, panie... bo to nieszlachetne, panie i... i...

— Bodaj ci, panie psiakrew, w karku trzasło!...

— Patrz pan... na tę, jakby nie było, matkę! — ciągnął dalej Wielicki. — Panu się zdaje, coś owoś, że to jest ciotka! Nie, to jest matka, bolejąca nad hańbą... tak, hańbą własnej córki. Czy pan to rozumie?! Czy pan był już kiedy matką bolejącą lub pohąnbioną, jakby nie było, córką?... Nie tłumacz się! Nie byłeś pan!... Stanowczo nie byłeś!...

— Do czego to wszystko zmierza? — przerwał Turkowski.

— Do czego zmierza... jakby nie było? Panie radco, do czego... to zmierza?...

— Do naszego ultimatum... panie psia...

— Właśnie, do ultimatum... albo, albo... wóz i przewóz!... Albo pan... przeprosisz bolejącą matkę...

Bolejąca matka w tej chwili, znużona przedłużaniem się rozprawy, wyciągnęła właśnie z kieszeni zaczęta pończochę i nastawiła druty.

— Albo... ja, panie, dłużej pana trzymać nie mogę!... Albo panna Wila panu, coś owoś, przebaczy czy porozumie się, albo... panie, moja, jakby nie było... apteka... nie będzie dłużej...

— Więc wybieram to drugie!... I zęgnam! Pan będzie łaskaw zapłacić mi zaległą za ostatni miesiąc pensję... i dziś wyjeżdżam!...

— Co zaległa? Jaką zaległa? Słyszycie, panowie? Pojedzie sobie... kiedy mnie się będzie podobało!... Patrzenie go! Uwodziel!...

\* Du lieber Gott! (niem.) — dobry Boże!



## ROŻNYCH Z ŻYCIA KOLONII NA CELE SPOŁECZNE

Zebrane przez przyjaciół datki z okazji zawarcia związków małżeńskich zostały na cele dobroczynne małżeństwa: Elisabeth Wojciechowska i Lucien Vasseur w **Marles-les-Mines**; Mauricette Breuil i Robert Sułkowski w **Metz**; Gisèle Jabłowska i Guy Ernest Bourguelle w **Pecquencourt**; Renée Pacaud i Władysław Koituniak, Annie Kochanek i Henryk Niedziałkowski, Marie-Claude Pelletier i Jean-Jacques Madej, Jacqueline Korbacińska i Roger Leger w **Montceau-les-Mines**; Pascale Charles i Jean Kubiak w **St. Vallier**; Daniel Demont i Jean-Marc Szczukowski, Thérèse Lepinay i Józef Kurczyński, Nicole Sevin i Bernard Waszczyński w **Noyelles-sous-Lens**; Nadine Lewandowska i Philippe Leborgne w **Loos-en-Gohelle**; Jeannette Kozbiał i Bernard Lefetz, Alfreda Nowacka i Jean-Claude Lecomte i Helena Guzkowska i Christian Segard w **Libercourt**; Nicole Demarque i Kazimierz Nowak, Josette Delva i Antoni Wojtaszek, Chantal Leroux i Henryk Bakowski w **Méricourt**; Chantal Walkowiak i Jean-Marie Pacini w **Dechy**; Michaline Gossau i Michał Tilkowski w **Waziers**; Esther Kruczek i Michał Małgowski w **Liévin**.

### NOWE ZARZĄDY — ZEBRANIA

**METZ.** Znajdująca w Metz swoją siedzibę francuska federacja szkół nauki jazdy samochodowej odbyła ostatnio swoje walne zebranie. Na zebraniu postanowiono nadawać specjalne wyróżnienia dla dobrych szkół pod nazwą „Les maîtres à conduire”. W skład nowego zarządu wybrano jednomyslnie p. Mariana Libera, właściciela dwu szkół w Metz i Montigny-les-Metz.

**ST. VALLIER-ST. AMADÉE.** W związku z zamknięciem kopalni w St. Amadée istniejący sportowy klub został rozwiązany. Walne zebranie klubu postanowiło kontynuować działalność pod nazwą „ex St. Amadée”. Sekretarzem nowego klubu został wybrany p. Szymon Tysek.

**OIGNIES.** Przyjaciele klubu ASSB, posiadający własny klub, odbyli swoje doroczne walne zebranie. Sprawozdanie z całorocznej działalności złożył sekretarz klubu p. Józef Belko, przedstawiając równocześnie plan działania na przyszłość. W szczególności uroczyste obchodzony będzie jubileusz zasłużonego gracza i czynnego członka klubu p. Henryka Maliny. Do nowego zarządu zostali wybrani m.in. p. J. Belko jako sekretarz oraz pani Józefa Zbińska — jako skarbnik.

**MAZINGARBE.** Walne zebranie stowarzyszenia „La Jeune France” wybrało na trenera klubu p. Stanisława Kowala.

**DOUAI.** Miejscowy klub lekkoatletyczny „Athletic-Club-Douai” odbył ostatnio swoje walne zebranie. W wyniku uchwały walnego zebrania opiekunem sekcji piłki ręcznej został p. Wawrzyniak.

**BILLY-BERCLAU.** Tutejsza sekcja medalistów pracy odbyła swoje doroczne walne zebranie, w którym uczestniczył prezes regionalny Federacji Medalistów p. Wasielewski. W imieniu mera miasta przemawiał p. Gruchała, zastępca mera, wręczając równocześnie dyplomy nowym medalistom.

### NA BUDOWĘ CENTRUM ZDROWIA DZIECKA

Za pośrednictwem redakcji „Tygodnika Polskiego” wpłaciła 50.— franków na budowę Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie pani **Kwiatkowska z Paryża**. Ofiarodawczyni serdecznie dziękujemy.

### ODZNACZENIE P. KAZIMIERZA WOJSZYŃSKIEGO

**LANDAS.** Z okazji święta narodowego Francji medalem de sécurité et maintien de l'ordre en AFN został odznaczony p. Kazimierz Wojszyński.

### CIEKAWA WIADOMOŚĆ DLA FILATELISTÓW

Nasz korespondent Ślimak z Burgundii, który często bierze udział w wystawach filatelistycznych w Dijon, wystawiając plansze z pięknymi polskimi znaczkami, podaje do wiadomości naszych Czytelników, że w dniach **25 i 26 września 1971 roku w Marles-les-Mines** (Pas-de-Calais) z okazji 50-lecia przybycia robotników polskich do

Francji czynne będzie tymczasowe biuro poczty ze znacznikiem, specjalną pieczęcią i ilustrowanym datownikiem pierwszego dnia.

Znaczek z tej okazji na pewno zainteresuje wszystkich polonijnych filatelistów.

### EGZAMINY ● EGZAMINY

**PÓŁNOC FRANCJI.** Pomyślnie złożyli egzaminy na poziomie bac de techniciens: Marc Janczewski i Ryszard Wojtaszek z L.T. Armentières, Gerard Podworny z L.T. Arras, Ryszard Wierzbński, Daniel Łukaszewski i Franciszek Stachowiak z L.T. Bruay-en-Artois, Christian Sobczak i Jean-Pierre Kaźmierczak z L.T. Denain, Gérald Adamczak, Jean-Pierre Kubiak, René Pawlicki, Daniel Pilarczyk, Roger Szymura i Patrick Seydlic z L.T. Douai, Czesław Bis, Rose Grundszeck, Jean-Pierre Kowalski, Ryszard Matusiak i Jean-Marie Walczak z L.T. Hémin-Liétard, Andrzej Lusiewicz, Teodor Borowczak, Alex Litwiński, Daniel Janziak, Sylvain Peñkała, Daniel Głowacki, Michał Gochno i Patrick Patuszek z L.T. Lens, Pierre Grześkiewicz i Jacques Szyndler z L.T. Valenciennes, Stefan Borkowski z L.T. Lille Baggio, Jacques Bolozak i Jean-Marie Gnady z L.T. Roubaix, Christine Augustyniak, Arlette Kęsa, Monique Kozieł, Marian Ruszała, Patrick Joniuk, Aline Swięjkowska, Jacqueline Topczyńska,

Anne-Marie Szudy, Martine Majchrzak i Alina Olejnik z L. Adm. w Douai.

**DOUAI.** W zakresie elektrotechniki pomyślnie złożyli egzaminy zawodowe w tutejszym C.E.T na poziomie C.A.P.: pp. Alain Gluchowski, Edward Rudnik, Ryszard Krzeszowski, Daniel Stelmaszyk, Franciszek Zdrojewski, Marc Miękus, wszyscy z **ANICHE**; Ryszard Grzegorzczak, Henryk Grodod, Ryszard Łaczewny i Jean-Claude Kokos, wszyscy z **WAZIERS**; C.A.P. w zakresie mechaniki otrzymali pp. Pierre Chojnacki, Jean-Pierre Kawala, Gw Kominek, Tadeusz Wolniczak, Michał Drzewicki, Freddy Słodczyk, Franciszek Kruzka, Christian Krzysiak, Jean Yves Nowak, Kazimierz Czyż, Marc Radziński z **ANICHE**. Dyplom CAP w zakresie stenodaktylo w języku niemieckim otrzymała p. Stanisława Siwak z **ANICHE**.

### KONKURS DOMÓW PRZYBRANYCH KWIATAMI

**MONTCEAU-les-MINES.** Dorocznym zwyczajem, jury powołane przez tutejszy zarząd miejski, dokonało wizytacji zgłoszonych do konkursu domów. W kategorii pierwszej dom wraz z ogródkiem — p. Ginette Michalak zajęła miejsce 10, a p. Edmund Olszewski 17. W kategorii pierwszej poza konkursem pierwszą nagrodę otrzymał p. Edmund Skrzypczak.

**GENELARD.** Miejska komisja kwalifikacyjna przyznała 5 nagrodę za dom przybrany kwiatami p. Marianowi Buczkowskiemu.

### KONKURS MODELARSTWA SAMOLOTOWEGO

**LENS.** Tutejszy „Aéro-Club de Lens” zorganizował konkurs modelarstwa dla młodzieży. W kategorii „planeur international” zwyciężył p. Eugeniusz Markuszewski z Lens. Zajął on również 4 miejsce w kategorii „moteur élastique, coupe senior”.

## NASZA KRONIKA RODZINNA

### NIECH ZDROWO ROSNĄ!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

**LE CREUSOT:** Christine Klaja. **ST. ETIENNE:** Laurence Zmyślony. **MONTCEAU:** Thierry Pawlak (Le Creusot). **LA BASSE:** Herve Zygarowicz (Meurchin). **LIEVIN:** Christelle Pośpieszny, Waleria Banaszekiewicz, Borys Kokoszko. **DOUAI:** Zofia Kwaśniewska, Fryderyk Mikołajczak, Estelle Kucharska, Fryderyk Dembowski. **BULLY-les-MINES:** Matylda Micyńska. **WINGLES:** Agnieszka Dudek. **MERICOURT-sous-LENS:** Christophe Knechciak. **NOYELLES-sous-LENS:** Mikołaj Nowak, Christian Gorczyński. **AVION:** Sabina Pietrzak. **GRENAY:** Christophe Zandtowski. **HERSIN-COUPIGNY:** Albert Kajzer. **BULLY-les-MINES:** Myłene Wawrzyniak. **HARNES:** Filip Budziak. **SALLAUMINES:** Patrick Kozłowski. **ROUVROY-sous-LENS:** Dominique Biernacki. **LENS:** Laurence Konował (Avion), Wirginia Chlebowska (Bully), Karine Zawada, Dawid Jędrusiak (Sallaumines).

Szczęśliwymi Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszymi.

### STO LAT DLA NOWOŻEŃCÓW!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół małżeństwa zawarli ostatnio:

**MONTCEAU-les-MINES:** Anne-Marie Kędzia i Roger Conry, Martine Pohier i Jean-Claude Pałiczuk. **BULLY-les-MINES:** Beatrice Lhermite i

Gilbert Smokowski, Maryse Pawłowska i Claude Condette. **LIEVIN:** Jeanne Marie Thirion i Yves Mańska, Edyta Kowalkowska i Claude Lebas. **LENS:** Annie Chochowias i Jan Bator (Bully). **BRUAY-en-ARTOIS:** Michele Koluśniewska i Patrick Lecointe. **SANVIGNES-les-MINES:** Maria Lech i Daniel Lecour, Anne-Marie Andrzejewska i Joël Monneret (Montchanin).

Nowożeńcom życzymy pomyślności i tradycyjnych stu lat!

### Z ŻAŁOBNIEJ KARTY

Z żalem donosimy że ostatnio odeszli od nas:

**PARLIN:** Jan Picheta, lat 55. **MONTCEAU-les-MINES:** Walenty Marciniak, lat 78. **BRUAY-en-ARTOIS:** Edmund Maślankiewicz, lat 45. **FOUQUIERES-sous-LENS:** Wanda Brzezińska, lat 47. **LENS:** Frymka Hersztal, lat 48. **AVION:** Józef Urek, lat 58. **METZ:** Stanisław Liber, lat 76. **BOUSSE:** Jan Batóg, lat 82. **BEAUZAC** (H. Loire): Wanda Krawczyk z domu Koczka, lat 58. **GORZE:** Etienne Cielecki, lat 57. **POUILLOUX:** Jadwiga Świąt z domu Gonda. **MONTIGNY-en-GOHELLE:** Walenty Gościński. **PONT-de-la-DEULE:** Adolf Kordelas, lat 66. **ANICHE:** Józef Owczarczak, lat 54. **LOISON-sous-LENS:** Stanisław Pawlaczyk, medalista pracy, lat 75. **VENDIN-le-VIEIL:** Marcejan Wojtczak. **CALONNE-RICOUART:** Teofil Michalski. **LENS-BARLIN:** Ignacy Galewski, lat 49.

Rodzinom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

# PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème

Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

BANK  
POLSKA KASA OPIEKI S.A.

■ Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne

■ Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.

■ Przekazuje wkład/ na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.

■ Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.

■ Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

### WPLATY NA ODBUDOWĘ ZAMKU KRÓLEWSKIEGO

Z okazji wyjazdu dzieci na kolonie letnie do Kraju wplacił za pośrednictwem Konsulatu Generalnego PRL w Paryżu 100.— franków na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie p. **Kazimierz Drewniak z Paryża**.

Ofiarodawcy serdecznie dziękujemy.

\*

Za pośrednictwem redakcji „Tygodnika Polskiego” wpłacił 10.— franków na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie p. **Piszczyk z Sonchamp**.

Ofiarodawcy serdecznie dziękujemy.

### KONKURSY TOWARZYSKIE

**AUCHY - les - MINES-HULLUCH.** Do tradycyjnego konkursu „drwali” stanęło 12 uczestników w rejonie Auchy. W ciągu 10 minut przerwał swój pień p. Franciszek Majorek — młody górnik. Wkrótce potem dokonali tego samego dwaj jego współtowarzysze z Hulluch. Liczne zgromadzona publiczność go-

raço oklaskiwała młodego drwala. Zastępca mera p. Glorian złożył trzem zwycięzcom konkursu okolicznościowe upominki.

**FOUQUIERES - les - LENS.** W zorganizowanym z okazji święta 14 lipca konkursie strzelania przez stowarzyszenie „Amicale Laique” p. Michał Roziński zajął miejsce 7 w kategorii seniorów.

**BETHUNE.** Z okazji święta narodowego Francji zostały zorganizowane na tutejszym basenie tzw. indywidualne bitwy morskie na łodziach. W ostatecznej klasyfikacji p. Michał Worko zajął miejsce 14 na 27 uczestników.

**DOUAI.** Stowarzyszenie „Club de la Commune Libre du 4 Septembre” zorganizował ostatnio swój letni konkurs petanki. W konkursie miejsce drugie zajął p. Kamiński z Club de Waziers, 4 p. Winnicki z Douai, 5 p. Mania z Guesnain.

**CALONNE-RICOUART.** Regionalny konkurs miłośników wędkarstwa, zorganizowany na starwie Guenehem przez tutejszy komitet uroczystościowy, wygrał p. Stefan Jakubowski z Calonne przed p. Ryszardem Leśniakiem z Bruay-en-Artois.

**COURRIERES.** Pierwszy tegoroczny konkurs wędkarski stowarzyszenia „Amicale des Pêcheurs Courrières-Carvin-Oignies” wygrał p. Z. Kaczyński z Courrières. Kierownictwo konkursu spoczywało w ręku p. Kazimierza Naleśniaka — prezesa stowarzyszenia oraz p. Alfreda Glinkowskiego — skarbnika zarządu.



Jerzy Wyrobek

### Piłkarskie tradycje

Katowickie pismo „Sport” prowadzi w każdym sezonie piłkarski challenge o „Złote buty”. W ciągu całych rozgrywek punktuje się wszystkich zawodników, podobnie jak w szkole stawia się stopnie. Następnie sumuje się te oceny i kto może pochwalić się największą sumą — zdobywa „Złote buty”. To piękne trofeum w piętnastym już konkursie rozstrzygniętym w połowie lipca zdobył Jerzy Wyrobek z drużyny chorzowskiego Ruchu.

Dla kibiców piłki nożnej ze starszego pokolenia nazwisko to nie jest obce. Wszypoc z pewnością dobrze przypominają sobie Ryszarda Wyrobka, który przez wiele lat z powodzeniem bronił bramki tego samego Ruchu, a dwukrotnie nawet występował w reprezentacji Polski. Obecnie jest trenerem, a jego syn Jerzy podtrzymuje tradycje rodzinne. Urodzony 19 grudnia 1949 roku jest jeszcze kawalerem, z zawodu zaś mechanikiem precyzyjnym. Pracuje w hucie „Batory”, ma wzrostu 171 cm i waży 58 kg.

W piłkę można grać od 1963 roku. W meczu ligowym debiutował w roku 1968 w barwach Zagłębia Wałbrzych. Od 1969 roku gra na pozycji stopera w jedenastce Ruchu. W reprezentacji Polski wystąpił dotychczas 9 razy. Debiut nastąpił w roku ubiegłym w Warszawie w zwycięskim (5:0) meczu z Danią.

Z okazji zdobycia „Złotych butów” zapytano Jurka, czy nie myślał nigdy o pójściu w ślady ojca i zajęcia pozycji bramkarza. Odpowiedział:

— *Właśnie przykład ojca nie stanowił dla mnie zachęty. Po meczach często wracał on do domu mocno poturbowany i posiniaczony. Przrzekłem sobie, że nie pójdę w jego ślady.*

Tu trzeba wyjaśnić, że Ryszard Wyrobek był niezwykle odważnym i ryzykancko broniącym bramkarzem, stąd częste kontuzje, o których wspomina jego syn.

W ślady ojca poszedł inny młody piłkarz. Przed wielu laty najpierw w Lechu Poznań, a następnie w Polonii Bytom bronił bramki Henryk Skromny. Na boisku był on przeciwieństwem Wyrobka — spokojny, zrównoważony, unikał starć z napastnikami. Wrodzony refleks i szybkość stawiały go w tych pojedynkach w lepszej sytuacji. Henryk Skromny siedem razy grał w reprezentacji Polski. Niestety, już nie żyje. Zmarł niedawno po długotrwałej chorobie. Ale żyje w pamięci kibiców, którzy zawsze darzyli go wielką sympatią.

I oto przed niewielu tygodniami w bramce Polonii znów zagrał Skromny. Był to oczywiście syn Henryka — Adam. Trzeba jednak przyznać, że ma ruchy podobne jak ojciec, a fachowcy wróżą mu dalszą karierę.

Jeszcze jedna udana kariera — to młody Wieczorek, grający w rybnickim ROW. Jego ojciec, Teodor Wieczorek, dziewięć razy reprezentował

# NIEDALEKO PADA JABŁKO od JABLONI

Podobno przysłowia są mądrością narodu. Jeżeli tak, to niech nam będzie wolno posłużyć się jednym z wielu pięknych i mądrych polskich przysłów, tym razem w odniesieniu do sportowców. Często bowiem niedaleko „jabłko pada od jabłoni”. Gdy ojciec lub matka schodzi ze sportowej areny, po pewnym czasie ich miejsce zajmują dzieci: syn lub córka, a czasem nawet dwoje następców wielkich mistrzów. Dlatego też to, co poniżej, drodzy Czytelnicy, przeczytacie, będzie jeszcze jednym dowodem na poparcie tezy, że przysłowia mówią prawdę.

barwy Polski na środkowej i lewej pomocy. Przez wiele lat był zawodnikiem chorzowskiego AKS.

Nie wszyscy synowie dorobi do tego, by godnie zastępować swoich ojców. Weźmy dla przykładu dwóch najsławniejszych piłkarzy polskich: **Gerarda Cieślaka** i **Władysława Szczepaniaka**. Ani syn pierwszego, ani żaden z trojaczek drugiego nie wznosił się na wyżyny kunsztu piłkarskiego, choć wyniósł z domu zamiłowanie do tej popularnej dyscypliny sportu.

### Na podniebnych szlakach

Szybownictwo, podobnie jak lotnictwo, jest narodowym sportem Polaków. Nie jest to czoza przechawka — najlepiej świadczą o tym wykazy kompletu diamentów do złotej odznaki, rekordy międzynarodowe, medale Lilienthala oraz tablice wyników na mistrzostwach świata. Na tych tablicach, jako jedno z pierwszych po II wojnie światowej, widnieje nazwisko **Adama Zientka**. W 1947 r. na międzynarodowych zawodach szybowcowych, które następnie przekształciły się w mistrzostwa świata (w Samedan — Szwajcaria) zajął on pierwsze miejsce w konkurencji przedkościowej. Latał on wtedy na pierwszym, skonstruowanym po wojnie polskim szybowcu „Sep”. Po zakończeniu kariery zawodniczej Adam Zientek przeszedł do pracy w przemyśle szybowcowym i jest oblatywaczem nowych polskich konstrukcji.

Ostatnio na mistrzostwach Polski rozgrywanych w Lesznie zwrócił na siebie uwagę fachowców młody pilot o znanym nazwisku. Okazało się, że **Stanisław Zientek** jest rodzonym synem Adama, a jego pierwszy występ w silnej konkurencji zapowiada szybownika wielkiego formatu.

Przy okazji sportów lotniczych warto dodać, że syn **Henryka Żwirki**, zwycięzcy Chalange'u lotniczego w 1932 r. a wkrótce potem zmarłego w wyniku katastrofy pod Cierplickiem, też jest pilotem, choć nie wyczynowym. Nosi on imię ojca — **Henryk** i jako inżynier zajmuje się sprawami lotnictwa sportowego, jest również działaczem Aeroklubu Polskiego.

### Od kosza do łuku

Kiedy prezesem Sądu Najwyższego został mianowany dr **Zbigniew Resich**, wszyscy miłośnicy koszykówki w Polsce doskonale wiedzieli o kogo chodzi. On to bowiem w czasach swojej młodości, gdy jeszcze studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, należał do sławnego klubu Cracovia i był podporą drużyny koszykówki. Utalentowany koszykarz kilkadziesiąt razy występował w reprezen-

tacji Polski, a karierę swoją zakończył w roku 1947 rezygnując z czynnego uprawiania koszykówki po mistrzostwach Europy w Pradze, podczas których był jeszcze jednym z najlepszych zawodników w polskim zespole.

Prezesa Sądu Najwyższego oznaczała przeniesienie się z Krakowa do Warszawy. Tu, w stolicy, syn **Krzysztof** zaczął studia i kontynuował grę w koszykówkę, wybierając równie stary i z wielkimi tradycjami jak Cracovia klub — warszawską Polonię, popularnie zwaną „Czarnymi koszulami”. **Krzysztof**, który w grze do złudzenia przypomina swego ojca, robił szybkie postępy. Od dwóch też lat znajduje się w młodzieżowej reprezentacji Polski, a w meczach ligowych jest jednym z lepszych zawodników drużyny Polonii, będącej postrachem najlepszych nawet zespołów. A więc i w tym przypadku jabłko padło blisko od jabłoni.

Czy jednak tylko w tym? Niedawno pisaliśmy o doskonałej polskiej łuczniczce **Hannie Brzezińskiej** w fotoreportażu, zatytułowanym „Tere fere kuku, strzela baba z łuku”. Można spokojnie zmienić to powiedzonko na trochę inne: tere, fere kuku, strzela córka z łuku. Oto bowiem 18-letnia maturzystka, **Jolanta Brzezińska**, uzbierała w olimpijskiej konkurencji — wieloboju — aż 1211 punktów, co jest rekordem Polski junierek, ale co jednocześnie jest trzecim rezultatem w światowej historii tej dyscypliny sportu nawet wśród senierek. Wyniki lepsze osiągnęły tylko dwie zawodniczki, zresztą też Polki — **Irena Szydłowska** — 1229 pkt i **Maria Mączyńska** — 1217 pkt.

Jolanta wyprzedziła więc w rodzinnej rywalizacji swoją mamę, wielokrotną rekordzistkę i reprezentantkę Polski. Pani **Hanna Brzezińska** może być dumna ze swojej córki, której osiągnięcie każe stawiać na przyszłość pomysły horoskopy, być może już na Igrzyska Olimpijskie w Monachium. Jola zresztą jest bardzo ambitna i oświadczyła, że nie umując nic z szacunku należnego matce, będzie się starała — biorąc zresztą z niej wzór — prześcignąć ją w tym sportowym współzawodnictwie.

### Zatrzęsienie lekkoatletycznych „jabłek”

W ten sposób doszliśmy do królowej sportu — lekkiej atletyki. Młodzieży kontynu-

jącej rodzinne tradycje jest tu bardzo wiele, choć nie jest ona jeszcze w tak wysokiej formie, jak ci wszyscy, o których pisaliśmy poprzednio.

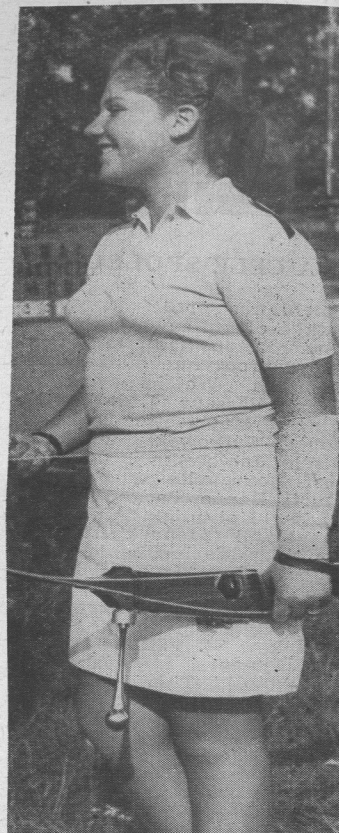
Brak miejsca nie pozwala nam na wymienianie wszystkich tych, którzy — być może — w Montrealu na XXI Igrzyskach Olimpijskich reprezentować będą barwy Polski. Wybraliśmy więc spośród wielu jedną dziewczynę i jednego chłopca. **Violetta Kardaś**, 16-letnia uczennica z Warszawy, zajęła pierwsze miejsce w skoku wżwży podczas igrzysk młodzieży szkolnej w stolicy Polski. Uzyskała ona bardzo dobry wynik 158 cm. **Violetta** jest córką **Sławomira Kardasia**, znanego przed laty specjalisty od biegu 110 m przez płotki, wielokrotnego reprezentanta Polski. Co prawda córka nie poszła dokładnie w ślady ojca, ale pozostała wierna królowej sportu. Podobnie zresztą przedstawia się sytuacja z **Andrzajem Ważnym**. Specjalizuje się w biegach krótkich, a przecież ojciec był znanym skoczkiem o tyoczce, po zakończeniu zaś kariery sportowej, w czasie której bił rekordy Polski i odnosił wartościowe sukcesy międzynarodowe, poświęcił się karierze naukowej w Akademii Wychowania Fizycznego.

### Na pływalni i strzelnicy

Podczas igrzysk młodzieży szkolnej w Warszawie doskonałe wyniki uzyskał **Marek Kriese**. Ogółem zdobył on jeden złoty medal i cztery srebrne, wykazując dużą wszechstronność, doskonałą technikę i wielką ambicję. Nic dziwnego. Jego ojciec **Edward Kriese** był przez wiele lat reprezentantem i rekordzistą Polski w pływaniu, następnie z powodzeniem grał w drużynie piłki wodnej. Przed zakończeniem kariery sportowej startował w maratonie morskim na trasie Hel-Sopot i zajął drugie miejsce.

Na Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie **Czesław Zajac** nie zdobył żadnego medalu w strzelaniu, ale zaprezentował się zupełnie dobrze. Był on jednym z czołowych strzelców kulowych Polski i przez wiele lat wchodził w skład reprezentacji. Jego syn **Bogdan** również idzie w ślady ojca i uzyskuje dobre wyniki na igrzyskach szkolnych.

Na zakończenie jednak kilka słów o dalszej przyszłości. Przecież wielu obecnych mistrzów ma już dzieci i wiąże z nimi wielkie nadzieje. I tak **Waldemar Baszanowski** wie-



Jolanta Brzezińska

lokrotnie mówi, że chciałby, aby jego syn **Marek** był równie sławnym jak i on sztan-gistą. **Włodzimierz Lubański** marzy o karierze piłkarskiej dla swego syna, podobnie jak **Ryszard Szurkowski** o sukcesach kolarskich dla swojego następcy tronu. Nie możemy też pominąć **Ireny Szewińskiej**, która uważa, że jej syn **Andrzej** musi stać się równie dobrym lekkoatletą jak ona. Za kilkanaście lat przekonamy się, czy te marzenia spełniły się, tak jak już wcielone w życie zbiegienia **Ryszarda Wyrobka**, **Zbigniewa Resicha**, **Teodora Wieczorka** i wielu innych, o których napisaliśmy i tych, dla których nie starczyło miejsca na naszych, bądź co bądź, skromnych łamach.

Krzysztof Resich



• SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT • SPORT •

AKTUALNOŚCI  
SPORTOWE

● W przeprowadzonych losowaniach mistrzostw piłkarskich świata, które odbędą się w ciągu najbliższych dwóch lat, Polska znalazła się w grupie V z Anglią i Walią.

● Piłkarscy kibice Górnika Zabrze, który wylosował w Pucharze Europy Mistrzów Klubowych zespół Olympique z Marsylii, uważają, że górnicy mieli pecha, gdyż Francuzi są trudnym przeciwnikiem. Poczuszają się jednak, że w sporcie nieraz bywały niespodzianki. Może więc i tym razem...

● Ze zmiennym szczęściem walczyli polscy piłkarze w kolejnej rundzie Pucharu Intertoto. Stal Mielec pokonała duński zespół Vejle 3:1, Szombierki zwyciężyły BK 03 Kopenhaga 3:0, natomiast Zagłębie Wałbrzych przegrało 0:4 ze szwedzkim Malmö FF, a ROW Rybnik uległ swemu najgroźniejszemu rywalowi w grupie — szwedzkiej drużynie Atvidaberg 1:4. Stal Mielec i Szombierki znajdują się nadal na pierwszych miejscach w swoich grupach.

● W Krakowie zakończył się XXXI Międzynarodowy Rajd Polski, który był eliminacją samochodowych mistrzostw Europy kierowców. Rajd był trudny i ze 102 samochodów, które stanęły na starcie do mety dojechało tylko 37. W klasyfikacji generalnej zwyciężył Sobiesław Zasada na BMW 2002 TI przed Władysławem Hubackim (CSRS) na Renault Alpine i Szwedem Lasse Jensenem na SAAB. Ryszard Nowicki na Polskim Fiacie 125 P zajął szóste miejsce. W klasyfikacji zespołów narodowych zwyciężyła Polska przed NRD, Danią i Węgrami. Wśród zespołów fabrycznych najlepiej spisał się Moskwicz przed Warburgiem i Polskim Fiatem.

● W Warszawie rozpoczął się tradycyjny, już dwudziesty ósmy kolarski wyścig dookoła Polski. Oprócz najlepszych kolarzy polskich uczestniczą w nim zawodnicy z Francji, Włoch i NRD. Po 10 etapach liderem wyścigu jest Szwed (Legia Warszawa). Na trzecim miejscu znajduje się Zakretta, Francuz polskiego pochodzenia.

● W finale międzynarodowych mistrzostw tenisowych Węgier doszło do niespodzianki. Polak Tadeusz Nowicki pokonał renomowanego tenisistę węgierskiego Istvana Gulyasa 8:6, 2:6, 1:6, 8:6, 7:5.

● W Duisburgu (NRF) odbyły się międzynarodowe zawody kajakowe z udziałem zawodników z Danii, Holandii, NRF, Polski, Rumunii, USA, Węgier, Francji, Szwecji i Japonii. Kilkunastoosobowa ekipa polska zanotowała wiele cennych sukcesów, zajmując w punktacji drugie miejsce za gospodarzami imprezy, kajakarzami NRF. Wicemistrz świata Grzegorz Siedziwowski wygrał wyścig jedynek na 1000 m i był drugi na 500 m. Na tym dystansie zwyciężyła polska dwójka Tomysław — Piszcz natomiast na 1000 m Piszcz z Szuszkiewiczem zajęli drugie miejsce. Drugie miejsca zajęły również: czwórka i sztafeta 4 x 500 m.

Z EUROPY  
I AMERYKI  
na olimpijski  
SEJMIK

Dokończenie ze str. 3

cie nam sił i ducha do walki o zwycięstwo, wspólnie z nami cieszyć się lub martwić, a zawsze — pomagacie. I za te właśnie gorące, polskie serca dziękujemy Wam Rodacy!

Tak przemawiał dr Młynarczyk wywołując wśród zebranych wzruszenie. Głos zabierali potem przedstawiciele władz PKOl: Tadeusz BREGUŁA, Józef RUTKOWSKI i Stanisław PICHLA. Omawiali sprawy, związane z przygotowaniem polskich sportowców do Igrzysk Olimpijskich w Sapporo i Monachium. Stwierdzono, że uchwały poprzedniego, I Sejniku, zostały w większości wykonane, co jednocześnie wskazuje na celowość organizowania takich spotkań.

Baza techniczna przygotowana olimpijskich w Polsce została wzbogacona przez wyposażenie, często unikalne, przekazane przez Rodaków z Francji, NRF, Anglii i innych krajów. Wpływają też ciągle wpłaty w gotówce. Na koniec Funduszu Olimpijskiego w Banku Handlowym w Warszawie znajduje się już 80 tys. dolarów. Społeczeństwo w Kraju zbiera co roku milionowe sumy na prowadzenie tych przygotowań.

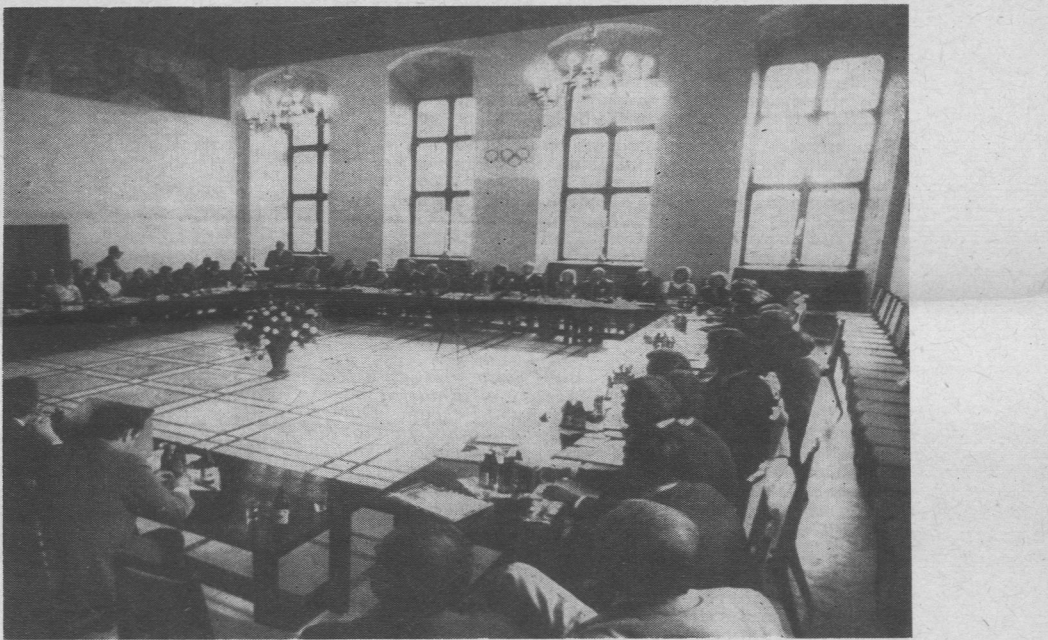
Następnie zabierali głos delegaci na II Sejmik, wyrażając swoje uczucia dla Polski i sympatię dla polskiego sportu. Przekazali oni kolejne wpłaty na Fundusz Olimpijski, wynoszące blisko 10 tys. dolarów. Nie zabrakło też sum, przeznaczonych na budowę Centrum Zdrowia Dziecka oraz odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Trudno jest z braku miejsca przytoczyć wszystkie wypowiedzi, ograniczamy się więc do jednej, p. Jana JEZERSKIEGO, prezesa sekcji Funduszu Olimpijskiego przy Towarzystwie France-Pologne w Lyonie:

— W imieniu Polonii francuskiej przekazuję serdeczne pozdrowienia władzom i mieszkańcom Gdańska. Jednocześnie składam głęboki hołd tym, którzy w 1939 roku jako pierwsi polegli w walce o wolność miasta, o to, by żyło ono i rozkwitało dla dobra Polski. Zapewniamy, że nie ustaniemy w pracy dla polskiego sportu, by jak najczęściej na stadionach świata rozlegały się tony Mazurka Dąbrowskiego.

II Sejmik obradował przez 10 dni w Cetniewie. Zwiedzano także polskie Wybrzeże, spotykano się ze sportowcami, oglądano różne imprezy kulturalne. Do wyników obrad wrócimy w następnym numerze.



Po staropolsku, chlebem i solą, witali polonijnych gości gospodarze ziemi gdańskiej (wyżej). Obrady zainaugurowano w gdańskim ratuszu (niżej)  
Fot. Wł. OCHNIO



DO dziś żywe są w Polsce tradycje wielkich rębajłów, którzy na polach bitew i w wielu pojedynkach usieklili dziesiątki przeciwników. Polacy zawsze lubowali się w szabli, przekładając ją nad broń kłującą, jaką były np. rapier lub szpada, między którymi zresztą różnica jest minimalna. Te tradycje tak umiejętnie podpatrzył i opisał w Trylogii Henryk Sienkiewicz, a mistrzem nad mistrzami był pułkownik Michał Wołodyjowski. Nic więc dziwnego, że co roku odbywa się w Polsce wielki, międzynarodowy turniej szablowy właśnie „O szablę Wołodyjowskiego”.

Niestety, potomkowie Pana Michała od kilku lat nie mogą przeciwstawić się szablistom z innych krajów. Natomiast zupełnie, wbrew tradycjom, bardzo dobrze rozwija się w Polsce floret i szpada. W ciągu ostatnich lat w obu tych broniach zanotowano znacznie więcej sukcesów niż w szabli. W sumie jednak po ubiegłorocznych mistrzostwach świata w Ankarze fachowcy i dziennikarze orzekli, że w polskiej szermierce zapanował głęboki kryzys, którego się tak łatwo nie przełamie. Z dużą troską oczekiwano więc na wyniki mistrzostw świata, rozgrywanych w lipcu w Wiedniu. Można ocenić, że były one lepsze niż oczekiwano, choć nie we wszystkich broniach napawają optymizmem.

Mistrzostwa rozpoczęły się od floretu męczyzn i pierwszą radosną niespodzianką, Marek Dąbrowski, 22-letni, najmłodszy uczestnik finału, wywalczył srebrny medal. Trzeba dodać, że dzięki swej sportowej postawie i nie-nagannemu zachowaniu się na plan-

## SREBRNE KLINGI

szy oraz poza nią Marek stał się ulubieńcem publiczności, która następnie przeniosła też sympatię na wszystkich polskich zawodników.

Kiedy Marek Dąbrowski, student III roku Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie miał wejść na podium zwycięzców, podszedł do niego zdobywca trzeciego miejsca Leonid Romanow (ZSRR) i powiedział:

— Zamieniliśmy medale z Ankary. Tam ja miałem srebrny a ty brązowy, tu, w Wiedniu, jest odwrotnie. A jak będzie w Monachium?

Polski florecista odpowiedział natchmianem:

— W Monachium będziemy mieć między sobą barań o złoty medal.

Oby te słowa się sprawdziły!

Drugi srebrny medal zdobył major Jerzy Pawłowski. W przeciwieństwie do Dąbrowskiego, był on najstarszym zawodnikiem w polskiej ekipie, jednakże pokazał młodym, że wcale im nie ustępuje. Powiowski zachwyił publiczność wiedeńskiej Stadhalle wypracowaną techniką, młodzieńczą świeżością i fantastyczną szybkością. Były to jego dwudzieste mistrzostwa świata, wliczając Igrzyska Olimpijskie, szesnasty finał mistrzostw świata i dziesiąty na nich medal indywidualny, nie licząc trzynastu drużynowych.

Międzynarodowa Federacja Szermierza prowadzi oficjalną punktację najlepszych

zawodników wszechczasów we wszystkich broniach razem i oddzielnie. Jerzy Pawłowski w szabli już dawno zdystansował swoich rywali. Zebrał on już 23 punkty (punktacja prowadzona jest tylko za medale: 3 pkt za złoty, 2 — za srebrny i 1 — za brązowy), a następnymi w kolejności: R. Karpati i A. Gerevich mają po 17 pkt, lecz dawno zakończyli już karierę sportową.

Najlepsi floreciści Iłona Elek wśród pań i Christian D'Orliola wśród panów mają po 22 punkty, tak więc właśnie w Wiedniu Pawłowski wyprzedził tę dwójkę, która też już raczej punktów nie uzyska. Polaka wyprzedza jedynie Edwarda Mangiarotti, który zebrał za dwie bronie — floret i szpadę łącznie 24,5 pkt. Jak więc z tego widać, Jerzemu Pawłowskiemu wystarczy jeszcze jeden srebrny medal, by zdobyć zaszczytny tytuł najlepszego szermierza wszechczasów. Wydaje się, że ten tytuł zostałyby przy Polaku bardzo długo, gdyż poziom szermierki bardzo się wyrównał i na razie nie widać tak utalentowanego zawodnika, który mógłby zachwiać pozycjami starych mistrzów.

Po raz trzeci polscy szermierze chcieli sięgnąć po złoty medal na wiedeńskiej planszy we florecie drużynowym. Rzeczywiście, byli bardzo blisko tego celu, gdyż tylko trzy trafienia dzieliły ich od tytułu mistrzów świata. Na przeszkodzie jednak stanęli zawodnicy Francji, którzy ostatecznie wygrali ten dramatyczny pojedynek 9:7. O tym, jak zaarta była ta walka świadczą wyniki poszczególnych pojedynków.

Francuzi prowadzili już 5:0 i wydawało się, że zdekларуują przeciwników. W tym momencie Polacy zerwali się do kontrataku poprawiając wynik na 5:2. Potem było 6:4, 7:6 i 8:7. Kiedy do ostatniej walki stanęli na planszy Dąbrowski i Mag-

nan wiadomo było, że zwycięstwo Polaka daje jego drużynie złoty medal, gdyż floreciści polscy wyżej wygrali swoje pojedynki i przy remisowym rezultacie meczu 8:8 im przypadło zwycięstwo lepszym stosunkiem trafień. Magnan musiał więc wygrać! Pojedynek był bardzo dramatyczny. Polak prowadził już 2:1 i od złotego medalu dzielił Polskę tylko trzy trafienia. Niestety, Dąbrowski nie zadał już ani jednego, natomiast cztery uzyskał jego przeciwnik.

Największą jednak niespodzianką sprawiły polskie florecistki. W turnieju indywidualnym walczyły bardzo słabo, ale za to w walkach drużynowych — doskonale. Najpierw pokonały Wielką Brytanię 12:4, następnie o pierwsze miejsce w grupie — Francję 8:8 przy lepszym stosunku trafień. W ćwierćfinale Polki pokonały Włoszki 8:7, dzięki czemu uzyskały realną szansę na medal. Nie pogrzebały tej szansy. W półfinale przegrały wprawdzie z doskonałymi zawodniczkami ZSRR 3:9, ale w meczu o brązowy medal pokonały ponownie Francuzki 9:3. Jest to pierwszy w historii polskiej szermierki medal we florecie pań.

Warto dodać, że wiedeńskie mistrzostwa były doskonale zorganizowane. Swoją skromną cegiełkę mają w tym sukcesie Polacy, którzy zostali zaproszeni przez gospodarzy do pracy w sekretariacie turnieju. Było ich tam dwóch — inż. Andrzej Gierczyński i mgr Zygmunt Kropidłowski. Jak przydatni byli oni na swych stanowiskach, niech świadczy następujący fakt. Oto w pierwszym dniu turnieju inż. Gierczyński obliczył współczynniki trafień i dostarczył komisji technicznej danych do rozstawienia kolejnych grup znacznie wcześniej niż komputer!

**LISTY** Józefa Grzybka

## Czy wierzyć w duchy?

PANIE REDAKTORZE!

Znany angielski pisarz Graham Greene jest między innymi autorem książki zatytułowanej „Podróże z moją ciotką”. W powieści tej opowiada Graham Greene o człowieku, który zaczął żyć dopiero po pięćdziesiątce, dopiero po latach nienagannej egzystencji, po długim bytowaniu na niby. Człowiekiem tym jest emerytowany dyrektor banku. W momencie, kiedy Graham Greene zapoznaje czytelnika z tą postacią przed owym dyrektorem nie ma już właściwie nic oprócz powolnego, systematycznego i dostojnego osuwania się w śmierć. Nagle jednak w życie jego wkrocza zaawansowana wprawdzie wiekiem, ale niestychanie jeszcze energiczna pani: jego ciotka. Ciotka dokonuje rzeczy niezwykłej, mianowicie ponownego porodu swojego siostrzeńca. Pod jej wpływem spokojny, zamyślony emeryt ulega niezwykłej przemianie: przeobraża się w przemyślnika, więc, w szefa gangsterskiej szajki.

Powieść tę przeczytałem w lipcu. Preczytałem ją, rzecz jasna, w przekładzie polskim. Niech, jak powiada poeta, „lew brytyjski się przeży, niech piękną koroną oślniewa” ja się angielskiej mowy nigdy nie uczyłem i nigdy uczyć się nie będę, i już. Lubię i szanuję Anglików, ale ilekroć uszu moich dobiega dźwięk angielszczyzny, zawsze odnosi wrażenie, że człowiek używający tego języka ma w ustach kluskę na parze. Może zmieniliby zdanie, gdyby królowa Elżbieta zapisała mi w testamentie kilka funtów szterlingów albo chociaż kilku funtów bekonu czy tego żyta, z którego wyrabia się whisky, ale ponieważ nigdy do tego nie dojadzie, tedy wracajmy lepiej do Grahama Greena i jego „Podróży z moją ciotką”. Utwór ten przeczytałem z prawdziwą satysfakcją, bowiem ja też od lat powtarzam, że niesłusznie pomawia się stare ciotki o sklerozę i o nudziarstwo, i że gdyby starym ciotkom dano pole do popisu i wolną rękę, one by jeszcze dokazały wielkich rzeczy i z niejednego umierającego z nudów pięćdziesięcio- czy sześćdziesięciolatka uczyniłyby żywe srebro.

Ja, niestety, żadnej starej ciotki już nie mam. Ostatnia z moich ciotek wyzionęła ducha w kwietniu bieżącego roku. Okropnie kapryśna i potwornie skąpa była to baba, no, ale świec tam jednak, Panie, nad jej duszą. Przykro mi strasznie, że nie mam już teraz żadnej ciotki, bo mnie też się nie raz marzy inne, barwniejsze, atrakcyjniejsze życie, ja też chciałbym nieraz przestać być starym, emerytowanym górnikiem i przekształcić się w osobę, której egzystencja obfitowałaby w niezwykłe przygody. Może zlituje się nade mną i zaadoptuje mnie jakaś obca, cudza ciotka?

Ale musiałaby to być nie byle jaka ciotka. Musiałaby to być ciotka inteligentna i w dodatku parająca się w wolnych chwilach guślarstwem. Dlaczego? Dlatego, że ja chciałbym, aby mnie ta ciotka przemieniła (na pewien czas, oczywiście — nie ma głupich) — w ducha. Nie myślcie czasem, że w łusce mojej głowy wyłaził się ostatnio jakiś ptaszek i że w związku z tym jęłem tęsknić za tak zwanym życiem pozagrobowym. Pragnienie takie żywię po prostu z tej przyczyny, że duch może dotrzeć dostojnie wszędzie. Gdybym był duchem, mógłbym sprawdzić jakiego mydła używają w czasie kąpieli Catherine Deneuve albo pulchna piosenkarka imieniem Régine, mógłbym opublikować dzieło zatytułowane „Lista wybitnych lekarzy, którzy, wieczorem zapominając o tym, że należy myć nogi”, mógłbym — byłbym przecież lekki jak pióro — siadać na brwiach albo nawet i na innych częściach ciała różnych wytwornych panusi i udawać, że jestem przeciągiem albo motylkiem; wiedziałbym jakich wyrazów używa Ojciec Święty w momentach, kiedy zdejmuje go gniew, czy królowa Fabiola czesze się w koronie czy też nie i wiele innych arcyciekawych rzeczy.

Ponieważ jestem człowiekiem wesółym więc w strasznie bliźnich bym się oczywiście nie bawił. Wręcz przeciwnie: nie szczeniłbym starań, aby sniły im się rzeczy przyjemne i zabawne, a tych, którzy boją się upiórów i w każdym ciemnym zakątku widzą jakieś widma, laskotałbym po piętach i szepiałbym im do ucha, że żadnych straszdyt nie ma, że strach ma wielkie oczy i że widziadła, zmyory i inne fantomy są tworem ich własnej wyobraźni. Powie ktoś może w tym miejscu, że Grzybek jest taki odważny, gdyż pisze swój „List” w biały dzień i we własnym domu, ale gdyby ten felieton o duchach układał w jakimś — dajmy na to — niewiedzanym przez pokutujące dusze ciemnym szkockim zamczysku, to trząsłby portkami i szczenił zębami aż miło. Co ja na to?

Nie twierdząc, że jestem człowiekiem nieustraszonego, a nawet gdybym się niczego nie bał, to i tak bym się do tego nie przyznał, bo serce mam słabe i nie chcę, aby mi ktoś spłatał takiego figla jak ten, o którym słyszałem niedawno od jednego znajomego z Béthune. Ten mój kumpel opowiedział mi następujące zdarzenie: w leżącej za Béthune miejscowości Annezin było trzech kolegów. Jeden z nich ustawicznie się przechwalał, że niczego się nie boi. Pewnego razu jeden z nich zmarł i wtedy dwaj jego pozostali przyjaciele postanowili czuwać w nocy przy jego zwłokach. Kiedy nadeszła północ, zaczęła ich ogarniać senność, więc ten, który niczego się nie bał, poszedł do kuchni sparzyć trochę kawy. Wówczas czuwający wraz z nim kumpel wstał z fotela, wyciągnął z trumny nieboszczyka i posadził go na swoim miejscu, a sam zajął miejsce zmarłego. Po chwili tamten wrócił z kuchni z kawą. Zbliżył się do fotela i nie patrząc nawet, kto na nim siedzi, powiedział: „Masz kawę”. Nie otrzy-

mawszy żadnej odpowiedzi, zaczął nieboszczyka szturchać: „Co? Spisz?” — zawołał. Wtedy ten, który wlaź do trumny, podniósł się i powiedział: „Skoro on nie chce kawy, to daj ją mnie”. Podobno ten nieustraszonego wypadł z domu jak oparzony i jęł tak wiać, że o mało nóg nie pogubił...

Ale żarty na stronę. Nie twierdząc — powtarzam — że niczego się nie boję i że zarówno w przyrodzie, jak i w naszym ludzkim świecie wszystko wydaje mi się jasne i zrozumiałe. Nie należą do tej kategorii osób, które uważają, że nauka wszystko już spenetrowała, zbadana, opisana i wyjaśniła, zaś zjawiska, których mechanizmu rozum ludzki nie zdołał jeszcze odkryć, kładą między bajki i urojenia. Sądzę na przykład, że o prawdziwości teleportacji trudno wątpić z tą samą energią co o istnieniu krasnoludków. Albo duchów. Czy to znaczy, że ja w duchy nie wierzę? Pytanie! Oczywiście że nie. Zjemy przecież w drugiej połowie dwudziestego wieku. Człowiek rozbił atom i zaczyna oto zdobywać przestrzeń kosmiczną, a ja miałbym wierzyć w duchy? Chyba żartujecie. A może macie na myśli takie duchy jak ten, którego wymyśliłem w tym dzisiejszym „Liście” celem przyprawienia Was o przyjemny dreszczyk? Jeśli tak, to co innego. W takie duchy to ja wierzę i Wam też — jeśli nie macie nic lepszego do robienia, a chyba nie macie, bo przecież teraz jest sierpień i wszyscy wypoczywają po całorocznej pracy — Wam też radzę w nie wierzyć...

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek

## §§ MEGENAS RADZI §§

Pani PONTKUL (Isère).

W razie powrotu do Polski, jak będzie mi przeliczona renta oraz moje oszczędności? Jestem wdową i pragnęłabym również tam znaleźć mieszkanie.

W sprawie mieszkania radzimy zwrócić się do Towarzystwa „POLONIA” — ul. Bracka 5, w Warszawie, z wyszczególnieniem miejscowości, gdzie Pani pragnęłaby się osiedlić. — Przelew franków na złote odbywa się po kursie oficjalnym 24 zł za dolara, czyli 4,35 zł za 1 franka. Przy przeliczeniu rent do 4,35 za 1 franka, 50% dokłada ze swych funduszy Państwowy Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

Co do przelewu oszczędności, radzimy zwrócić się do Konsulatu Generalnego w Lyonie — 8, rue Tête d'Or-69-LYON 6-ème; którego interwencja w każdym razie jest konieczna zarówno do przekazania renty do Polski, jak i do uzyskania potrzebnej wizy. W każdym razie przelew oszczędności odbywa się po kursie PKO, to znaczy za 1 franka 12,94 złotych.

## Z igłą obok serca pojechał na urlop

W przemyskim szpitalu operowano 51-letniego Jana W. mieszkańca Jastrzębia Zdroju. Pacjent stał się ofiarą niecodziennego zdarzenia. Wychodząc z mieszkania, wpiął w koszulę igłę z nitką, z zamiarem przyszycia w pracy guzika. W drodze potknął się i przewrócił. Przy upadku poczuł ukłucie w klatkę piersiową. Zaczął szukać igły, ale znalazł tylko kawałek z główką i nitką. Był przekonany, że pozostała część zagubiła się.

W pracy poczuł się jednak źle i o przygodzie opowiedział swoim kolegom. Za ich namową udał się do przychodni. Prześwietlenie klatki piersiowej rozwiało obawy, igły nie było.

Uspokojony Jan W. wyjechał na kilka dni do swojej siostry, mieszkającej w Paździacu w powiecie przemyskim. Ponieważ nie czuł się dobrze, udał się z wizytą do chirurga. Przy ponownym prześwietleniu klatki piersiowej, w płucu, w pobliżu serca ukazała się ... igła.

Nazajutrz znalazł się na stole operacyjnym. Zabiegu jednak nie dokonano z uwagi na stan serca chorego. Trzeba było je wzmocnić i przygotować do operacji.

## TV DU 8 AU 14 AOUT

### PREMIERE CHAINE

- TELE-MIDI — 13.00, TELE-SOIR — 19.45, TELE-NUIT à la fin du programme  
 „MA SORCIERE BIEN AIMEE” — 12.30 (lundi, mardi, mercredi et jeudi)  
 „LE SERVICE DES AFFAIRES CLASSEES” — 12.30 à partir de vendredi 13 août un nouveau feuilleton réal. Yannick Andrei.  
 CHAMPIONNATS D'EUROPE D'ATHLETISME — 15.55 à partir du mardi 10 août tous les jours — transmission d'Helsinki  
 EMISSIONS POUR LES ENFANTS — 18.30 (mardi — 17.15, jeudi et samedi — 15.25)  
 ANNONCES ET METEO — 19.20 (sauf le dimanche)  
 RIEN QUE LA VERITE — 19.25 (sauf samedi et dimanche)  
 CES ANIMAUX QUE L'ON APPELLE DES BETES” — 20.15 (sauf lundi et dimanche) — un nouveau feuilleton réal. Jacques Soumet, producteurs: Jean Richard, J. P. Blondeau

### DIMANCHE 8 AOUT

- 8.55. Télé-Matin  
 12.02. La séquence du spectateur  
 13.15. Musique en 33 tours  
 13.45. Le Francophonissime  
 14.15. Paris — Vacances  
 18.10. „Arrêtez le Massacre” — un film d'André Hunebelle (Jean Richard, Corinne Marchand, Harold Kay)  
 20.40. „Sept ans de réflexion” — un film de Billy Wilder — (Marylin Monroe, Tom Ewell, Sonny Tufts)  
 22.20. „Charles Peguy — réal. Bernard Corre

### LUNDI 9 AOUT

- 13.35. Je voudrais savoir  
 14.30. „Crésus” — un film de Jean Giono (Fernandel, Marcelle Ranson, Paul Preboist)  
 20.15. Du Tac au Tac  
 20.30. Arguments  
 21.20. „Je veux vivre” — un film de Robert Wise (Susan Hayward — Oscar la meilleure interprétation)

### MARDI 10 AOUT

- 20.30. „L'homme de fer”  
 21.20. Les conteurs

### MERCREDI 11 AOUT

- 20.30. Entrevilles — Cambai/Soissons  
 22.00. Concert

### JEUDI 12 AOUT

- 20.30. Au théâtre ce soir:  
 „Joyeuse Pomme” de Jack Pulman  
 22.30. Le temps de lire

### VENDREDI 13 AOUT

- 20.30. Le Proscrit N° 8  
 „Le docteur Miller”  
 21.00. Le club de la presse  
 22.00. D'hier et d'aujourd'hui

### SAMEDI 14 AOUT

- 20.30. „Le voyageur des siècles” — „Julvernerie moderne” N° 2  
 22.00. Cath

### DEUXIEME CHAINE — COULEUR

- (C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, (N) — noir et blanc  
 ACTUALITES REGIONALES (N) — 19.00 (sauf le dimanche)  
 COLORIX (C) — 19.20 (sauf le dimanche)  
 24 HEURES SUR LA DEUX (C) — 19.30 — Magazine, 20.00 — Journal  
 24 HEURES DERNIERE (C) — à la fin du programme

### DIMANCHE 8 AOUT

- 14.30. (C) „Une fille à bagarre” — un film de Sidney Salkow (Rock Hudson, Yvonne de Carlo, W. Connor)  
 19.30. (C) „Tang” nr. 9  
 20.30. (C) „Arcana” — „La chanson populaire”  
 21.30. (C) L'Islam nr. 6 — „L'Islam et L'Orient”  
 22.25. (C) Harmoniques

### LUNDI 9 AOUT

- 20.30. (C) Variétés: Clair de la Lune sur la 2<sup>e</sup> — Maugebe. (Virginia Vee, Alain Barrière, Michel Polnareff, Adamo)  
 21.30. (C) La Bridage des Maléfices nr. 2 — „La Septième chaîne”  
 22.30. (C) „T Comme théâtre” — Spécial Festival d'Avignon

### MARDI 10 AOUT

- 14.30. (C) „Le Harpon Rouge” — un film de Howard Hawks  
 20.30. (C) Les animaux du monde — spécial vacances  
 21.00. (N) „Le Chant de Bernadette” — un film d'Henry King (première partie)

### MERCREDI 11 AOUT

- 20.30. (C) Les Dossiers de l'Ecran:  
 (N) „Le Chant de Bernadette” (deuxième partie) — un film d'H. King  
 (C) Débat

### JEUDI 12 AOUT

- 14.30. (N) „Aventure à Manhattan” — un film de W. S. Van Dyke (Clark Gable; William Powell Myrna Loy)  
 20.30. (C) Match sur la 2  
 21.30. (C) „Vampyr” — film d'art et d'essai de Carl Dreyer

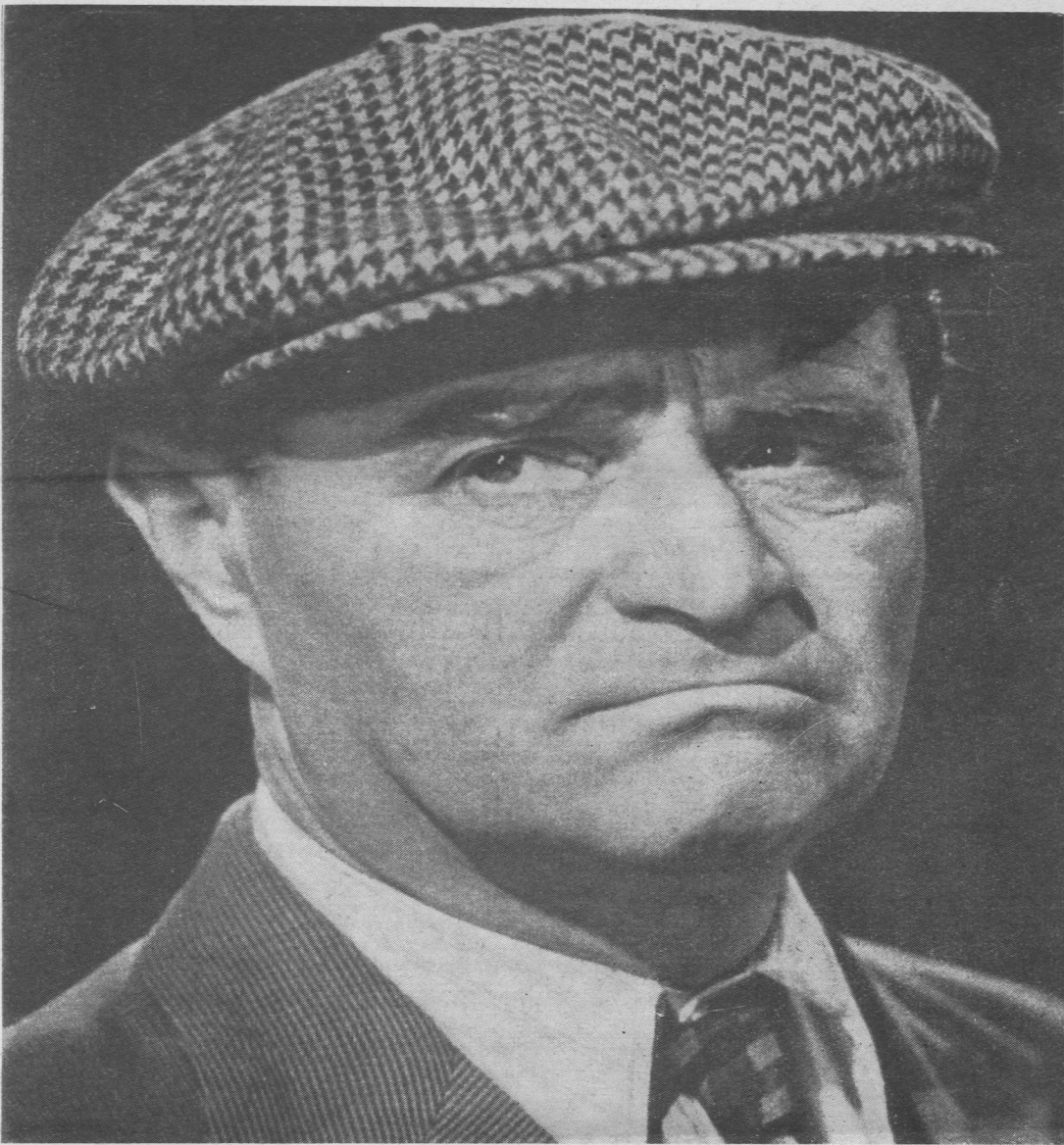
### VENDREDI 13 AOUT

- 23.30. (C) „Juliette et des Esprits” — un film de Federico Fellini (Giulietta Massima, Sandra Milo, Valentina Cortese, Mario Pisu)

### SAMEDI 14 AOUT

- 17.35. (C) Tous en forme  
 17.45. (C) Le temps du sport  
 18.20. (C) Pop 2  
 20.30. (C) Grand Amphi  
 22.30. (C) „Les Champions” nr. 5 — „L'Expérience”  
 23.20. (C) Grand Amphi (suite)





## WIELKA REWIA PANA DODKA

**A**DOLF DYMSZA! Któż w Polsce nie zna tej arcyśmiesznej i arcyprawdziwej postaci, warszawiaka z krwi i kości, ulubieńca całej przedwojennej generacji Polaków. Świetnego aktora charakterystycznego, bohatera filmów, w których stworzył wiele niezapomnianych kreacji, podziwianego przez miliony kinomanów i który wciąż jeszcze przy ogromnym aplauzie publiczności, tłumnie uczęszczającej do warszawskiego teatru „Syrena” — występuje i odnosi sukcesy. Wielu widzów odwiedza zresztą ten teatr głównie dla niego. Zobaczyć Dodka chce każdy, kto go pamięta lub chociażby coś o nim słyszał. Zobaczyć Dymszę na scenie, usłyszeć jego charakterystyczny głos i te komiczne gesty zacierań rąk, postukiwania się w czoło, całe bogactwo mimiczne twarzy... W dalszym ciągu posiada Dymsza umiejętność nawiązywania z miejsca kontaktu z widownią. Wbrew pozorom typ humoru, który reprezentuje, wcale się nie przejadł, ani nie stał się anachroniczny i — co ciekawsze — aktor ten do dziś nie ma w Polsce ani swych godnych następców, ani naśladowców.

najzabawniejszego — moim zdaniem — „Antka policmajstra”. Demonstruje w nich Dymsza swoje rozległe emploty wcielając się w kilkadziesiąt najrozmaitszych postaci i zawodów, z jednakową swobodą prezentując się nam w mundurze z orderami, we fraku, pośród wydekoltowanych dam czy jako typowy warszawski chłopak z przedmieścia. Motywem wiodącym filmu są stare piosenki, które nie straciły swego uroku pod patyną czasu, w których aktor wypowiedział się najchętniej i które towarzyszyły niemal każdej jego roli. „Gdzie twój humorek, co z tobą Florek...” „Bo ja jestem genialny Wacus...” i inne szlagiery z tekstami Tuwima, Jurandota, Starskiego, do których muzykę komponowali Henryk Wars czy Władysław Dan — piosenki przywracające klimat dawnych lat, specyficzna gwarę i cwaniacki humor warszawiaków; piosenki, których sentymentalno-liryczne, niekiedy z łezką w oku nutki mówią nam o tym, że inna była wtedy miłość, że mężczyźni byli dżentelmenami...

Wydobyte na światło dzienne stare, archiwalne filmy stanowią zarazem rzadką okazję do spotkania z wieloma innymi ulubieńcami przedwojennej sceny i ekranu, pokazując w okresie świetności takich aktorów jak: Cwiklińska, Krukowski, Sempoliński, Zimińska, Kondrat, Bodo, Chmurkowski. Te nazwiska tworzyły przecież historię polskiego filmu. Film Łomnickiego ma więc wartość bezcenną jako przypomnienie, zwłaszcza młodym widzom — gwiazd polskiej kinematografii, znanych jedynie z opowiadań.

Krystyna KOPROWICZ

Niemalą uczcą dla wielbicieli talentu znakomitego aktora jest nowa polska komedia filmowa „Pan Dodek” — powstała według scenariusza Krzysztofa Teodora Toeplitza w reżyserii Jana Łomnickiego. Najmocniejszym przeżyciem jest ten film dla tych wszystkich widzów, którzy dobrze pamiętają przedwojenny okres, żyjących legendą przeszłości, bowiem główną część „Pana Dodka” stanowią fragmenty znajdujących się w niezłym stanie technicznym przedwojennych filmów, m. in. „Niedorajdy”, „Dodka na froncie”, „Sportowca mimo woli”, „Roberta i Bertranda”, „Każdemu wolno kochać” i



Pour les Polonais, Adolf Dymsza est l'exemple même du Varsovien, et il leur est proche comme en France l'a été Fernandel par exemple, c'est dire qu'il est le comédien chéri de plusieurs générations car sa carrière a commencé bien avant la guerre et n'est pas terminée. Ainsi il vient de tenir le principal rôle dans un film réalisé par Jan Łomnicki d'après un scénario de K. Toeplitz, „Pan Dodek”. Ce Dodek est un personnage imaginaire bien connu lui aussi car il lui arriva des tas d'aventures. C'est un pot-pourri de ces aventures qui est la base du film où l'on verra également d'autres étoiles de la scène et du théâtre de l'avant-guerre. Une grande et pétillante revue en somme, pour la joie de tous.



# LES AMBASSADEURS POLONAIIS DANS LA VILLE DE PARIS

Suit de la page 31

Trois jours plus tard, le dimanche 13 septembre, se déroule au Louvre, avec un faste tout particulier, la présentation et le décret de l'élection, devant une immense assemblée:

„Et après, ont présenté ledit décret qui a été lu par le castellan Herburt, accompagnés des castellans Tomicki et Gorka, qui tenaient les deux bouts du décret, scellé de vingt six sceaux. Et après la lecture faite, Konarski et Radziwill parlèrent. Après les réponses des chanceliers on a commencé à chanter le Te Deum en musique, et après, le décret qui était dedans un coffre d'argent doré, mis dedans une gaine de velours vert et couvert d'un drap d'or frisé a été repris sur ladite table et porté par les castellans Tomicki et Gorka, qui le portèrent sur leurs épaules jusque dedans la Sainte-Chapelle où l'on a dit les vêpres. A la fin, l'artillerie a tiré de toutes parts, tant à l'arsenal qu'à l'Hôtel de Ville, et la cloche du Palais sonna. Le roi a mené souper au Louvre tous lesdits sieurs ambassadeurs polonais”.

Le lendemain, Charles IX voulut que son frère fit une entrée solennelle à Paris: „Le nouveau roi étant sorti de Paris y rentra par le faubourg Saint-Antoine, précédé de deux mille hommes de pied et deux cent cinquante maitres. A la porte de la ville, tout le magistrat en corps lui présenta les clefs...”

Henri Ier de Pologne commença triomphalement son règne à Paris. Il rejoignit son royaume en février 1574 et le couronnement se déroula le 21 du même mois à Cracovie. Le règne polonais d'Henri de Valois ne fut pas heureux. La mort de Charles IX fournit à Henri la possibilité de retourner en France. Il s'enfuit tout simplement après avoir donné un festin suivi d'un grand bal, le 18 juin 1574. On connaît la suite, Henri III régna jusqu'en 1589 et mourut assassiné. Son successeur devait être Henri IV...

Pourquoi ne pas chercher à reconstituer dans la Paris d'aujourd'hui l'itinéraire des ambassadeurs polonais? Il vous entraînera dans des quartiers chargés d'histoire et votre imagination aidant, vous entreverrez le séjour des ambassadeurs du siècle d'or de la Pologne.

W. NOWAKOWSKA

## ŚMIECH TO ZDROWIE

Czy potrafimy się śmiać z samych siebie? Przypomnijmy, że Molier także rzuca ze sceny do publiczności pytania: „Z KOGO SIĘ ŚMIEJECIE? Z SAMYCH SIEBIE SIĘ ŚMIEJECIE!” Tak, my zawsze bardzo lubimy się śmiać z innych, a nie lubimy na ogół śmiechu z samych siebie. To zaś dowodzi, niestety, braku poczucia humoru.

Nim więc nauczymy się sztuki śmiechu z samego siebie, przyjrzyjmy się różnym wydarzeniom, które albo wzbudzają uśmiech, zaciekawienie lub wesołość, zebranych z różnych gazet i źródeł.

### Poczucie humoru

Niełatwo o prawdziwe poczucie humoru. Bardzo często wydarzenie jest śmieszne — lub człowiek jest śmieszny, choć wcale tego nie zamierzał osiągnąć. Pewien rolnik z pow. Zielona Góra kupił sobie na przykład aparat rentgenowski i postawił go w stodole, gdyż chciał uniknąć chodzenia na męczące prześwietlenia. Wydarzenie, o którym pisała warszawska „Polityka” jest śmieszne, gdyż odbija kontrast między powszechnością nowoczesnej techniki — a nieświadomością owego rolnika z „rentgenem w stodole”.

Ludzie, którzy sporządzili wykwiśkę we wrocławskim sklepie mięsnym, także nie mieli zamiaru ośmieszyć się. Chcieli tylko — jak pisze „Słowo Polskie” poinformować: „Zakład świadczy usługi dla ludności — rąbie nogi, kształtuje kotlety, wyrębuje kości”. Trzeba się uśmiechnąć, bo nie wiadomo — o czyje nogi i o czyje kości chodzi.

Z kolei kieleckie „Słowo Ludu” opisuje takie oto wydarzenie: Mocno zdenerwowany klient wbiega do apteki i prosi o 200 metrów leuoplastru czyli przylepca do opatrunku. Zdziwiona nieco pani magister chce się dowiedzieć, jak taką wielką ilość zapakować. Słyszy odpowiedź: „Nie trzeba, zaraz skleję swego Trabanta”. Dla Polaków w Kraju dowcip jest pyszny, bo wszyscy wiedzą, że chodzi o samochód z masy plastycznej, który rzeczywiście w razie drobnej kontuzji można doraźnie skleić w sposób opisany.



To samo pismo opisało głównego księgowego, który nie chciał uznać rozliczenia z delegacji służbowej pewnego małżeństwa. Nie wierzył przedstawionemu rachunkowi za oddzielne pokoje. Prowadził mozolną korespondencję z hotelem, by w końcu dowiedzieć się, że rzeczywiście w tym konkretnym dniu wizyty małżonków, nie było ani jednego pokoju dwuosobowego. Stał się przez swoją nadzwyczajną gorliwość w spełnianiu funkcji kontrolnych — śmieszny.

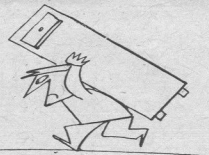
### Wiadomości z paragrafem

Dotychczas tylko rysownicy stroili sobie żarty z wierzchowców, przyczepiając im czasem do ogona tabliczki rejestracyjne. Teraz stało się to poniekąd urzędowym faktem. Otóż władze egipskie postanowiły oznaczyć numerami (wypalonymi) wszystkie wielbłądy, które żyją w tym kraju, a jest tego kilka milionów. Przyczyna numeracji garbatych czworonogów jest dość praktyczna: przemytnicy o-

pium i haszyszu wypuszczali poprzez granicę samotne wielbłądy z ładunkiem narkotyków. Nigdy nie można było ustalić, do kogo ładunek należy. Władze spodziewają się, że nowa metoda ułatwi sciganie przemytników.

Gerhard Enno Rost został aresztowany na podstawie odcisku uzebienia pozostawionego na serze. Rost, w czasie włamania do sklepu spożywczego we Frederikshavn (Dania) odgryzł kawałek smacznego sera i niebacznie go pozostawił. Policja zabezpieczyła ser, odciski gipsowe ułatwiły ustalenie tożsamości pechowego włamywacza.

Pewien obywatel Wuppertalu (NRF) otrzymał wypisany przez komputer rachunek za elektryczność. Nie byłaby to żadna osobliwość, gdyby nie „kwota” należności. Maszyna wysłała nakaz zapłaty „0,0 Dm 0,0 Pfenig”, a po dwu tygodniach wystosowała do zatwardziałego dłużnika monet z żądaniem uiszczenia „8,7 DM” kosztów zwłoki. Okazuje się jednak, że maszyna biologiczna pracująca na białym chlebusiu, befsztykach, ziemniaczkach, kiełbasie i innych smakołykach — jest bardziej niezawodna od tej sztucznej.



W czasie procesu w Kopenhadze świadek Ole Hansen został zapytany czym zwrócił jego uwagę oskarżeni.

— Początkowo myślałem, że są to robotnicy transportowi, którzy ładują meble. Jednakże, gdy zobaczyłem jak szybko to robią, powziąłem podejrzenie.

### Ludzie dowcipni

Pewien myśliwy z pow. opatowskiego lubił się chwalić rzekomymi trofeami. Ostatnio fantazja znów go poniosła — chwalił się kolegom, że w pojedynkę ustrzelił olbrzymiego odyńca. Określił nawet miejsce, gdzie ten fakt się wydarzył. Nie przewidział jednego. Zarząd koła łowieckiego nakazał mu uiścić 250 zł tzw. strzałowego, a także wytłumaczyć się, dlaczego nie zgłosił faktu ustrzału zwierzęcy.

Słynny komik amerykański, Jerry Lewis opowiada następującą historię: Pewien Amerykanin wyzywa swego rywala na pojedynek. Jego przeciwnik odpowiada mu listem: „Nie mogę zaakceptować pańskiej propozycji. Jeżeli ja pana zabiję lub pan mnie, szkoda będzie również wielka, jak nie do odrobienia. A oto co panu proponuję: niech pan wybierze drzewo tej samej grubości, co ja i ustawi się z pistoletem w odpowiedniej odległości. Jeżeli pan trafi w drzewo, wówczas przyznam panu, że jestem idiotą i kretyńcem i pana

przepraszę. Jeżeli pan nie trafi, uczyni to pan wobec mnie.”

Richard Eakin (61 l.), profesor uniwersytetu, pragnąc wzbudzić jak największe zainteresowanie swoimi wykładami, przebiera się w kostiumy oraz charakteryzuje na postaci znane z historii. Eakin występuje w „rolach” Grzegorza Mendla, odkrywcy praw dziedziczenia, jako anatom William Harvey, wreszcie jako Karol Darwin. Sześciuset studentów przyjęło pomysł swojego profesora z wielkim uznaniem.



### Osobliwości

Strażników ogrodu zoologicznego w Łodzi zaalarmował przeraźliwy wrzask pawia. Przybiegli do jego klatki i zobaczyli, że drzwi są wyłamane, a ptak oskubany do gołej skóry. Pies służbowy milicji łódzkiej z łatwością wytropił sprawcę czynu. W jego mieszkaniu znaleziono 120 piór pawich i 3 pióra strusia. Złodziej, 24-letni mężczyzna pióra zamierzał sprzedać... producentom filmów. Oskubany paw pokaże się na wybiegu dopiero w przyszłym roku, gdy pióra mu odrosną.

W czasie badań archeologicznych w Liptowskiej Marze na Słowacji, przy odkrywaniu średniowiecznego cmentarza kościelnego natrafiono na oryginalny warsztat fałszerzy pieniędzy.

Znaleziono tam liczne skrawki miedzi i podobione matryce mennicze. Oblicza się, że fałszerze monet działali tu na przełomie XV i XVI w.

### Życie rodzinne

#### Nigdy za późno

Pan Goolcharran Doobar, czarny mieszkaniec Port, of Spain na wyspie Trynidad zwrócił się z prośbą do miejscowej prasy, by mu pomogła w znalezieniu nowej małżonki, gdyż niedawno został wdowcem. Prasa spełniła bezpłatnie prośbę mr Doobara ze względu na jego wiek. Wdowiec ma 105 lat!

#### Niebezpieczne lądowanie

Dużą sensację wywołało lądowanie na warszawskiej Pradze pocziwego boćka, który spacerował ulicami, nie dbając o ruch uliczny. Pozwalał podawać sobie jedzenie. Lądowanie bociana było o tyle interesujące, że odbyło się na ul. Panieńskiej. W Polsce zaś, jak wiadomo, dzieci nie znajdują się jak we Francji w kapuście — tylko je przynosi bocian. Na ul. Panieńskiej?

#### Superslub 2000 par naraz

Blisko 2 tys. par stanęło na ślubnym kobiercu w stolicy Peru — Limie. Ceremonię tę zorganizował biskup katolicki Limy — Luis Bambaren, znany jako wielki działacz na rzecz mieszkańców dzielnic nędzy. Zaoszczędzone po zorganizowaniu masowego ślubu pieniądze przekazał on najbardziej potrzebującym mieszkańcom Limy. Poza tym tak olbrzymi ślub był wielką gratką dla dziennikarzy, a przede wszystkim fotoreporterów, tym bardziej że nowożeńcy postanowili zorganizować wspólne wesele. Bawiono się

do rana. Reporter agencji Reutersa dowiedział się, że najstarszą osobą, która wzięła ślub był 92-letni p. Perez, a jego wybranka liczyła 64 lata. Natomiast najmłodsza była Carmen Salinas lat 14 i 19-letni Florentino Paz.

#### Praprababcia ma „dopiero” 88 lat

W górniczym Lubinie żyje rodzina, która liczy aż pięć pokoleń. Kilkumiesięczna Małgosia — córeczka Marii i Mariana Muszyńskich może odwiedzać zarówno babcię, prababcie, a także ... praprababcie. Wszystkie mieszkają na Dolnym Śląsku: babcia — 46-letnia Jadwiga Burdy w Lubinie, prababcia Maria Faszynkiewicz (68 lat) zamieszkuje koło Brzegu Dolnego, zaś ciesząca się dobrym zdrowiem praprababcia — 88-letnia Zofia Ziemiańska — w Lubinie. Dodajmy, że praprababcia wyszła za mąż wcześniej — w wieku 16 lat i urodziła dziewięć dzieci!

Szwedzcy lekarze zbudowali aparat, który służy do odczytywania krzyków niemowlęcych. Mikrofon zawieszony na szyi dziecka, kieruje krzyki do komputera, który sortując je orzeka, czy dziecko jest chore lub czy sobie czegoś życzy.

Pewien pan w Gdańsku przybył do sąsiada mieszkającego w domu naprzeciwko prosiąc, żeby w trakcie intymnych zbliżeń, jakie odbywa w domu codziennie o szesnastej, zasłaniał okna, gdyż jemu, sąsiadowi z przeciwka, lekarz zabronił się podniecać. Nagabywany sąsiad wyjaśnił, że o szesnastej nigdy nie bywa w domu i wystąpił o rozwód.

### Rekordy

Największym na świecie poliglotą jest tłumacz w ONZ, Georges Schmidt, który mówi 30 językami i tłumaczy z 60 języków.

Największy kot na świecie waży 84 kg. Nazywa się Gigi i żyje w Anglii.

Nadłuższe nazwisko wśród polityków ma premier wyspy Fidżi. Nazywa się Ratu sir Kaminesse Kapaiwai Tuimailai Mara Uli-El-Lakemu.

Rekordzistką w uzyskiwaniu prawa jazdy jest Angielka Miriam Hardgrave, która uzyskała je po 40 obłanych egzaminach.

Pewna 15-letnia dziewczyna ziewała bez przerwy przez 5 tygodni i nikt nie potrafił wykryć powodu jej znużenia.

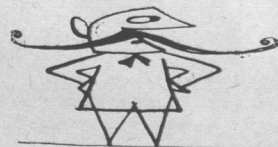
Rekordzistką świata w zabim skoku jest żaba Amerykanina Leonarda Hala, która skoczyła 36 razy dalej niż wynosi jej długość.

Najdłuższą rzeką na świecie nie jest Nil, ale Amazonka, bo jak wykazały ostatnie badania, jest ona o 45 km dłuższa.

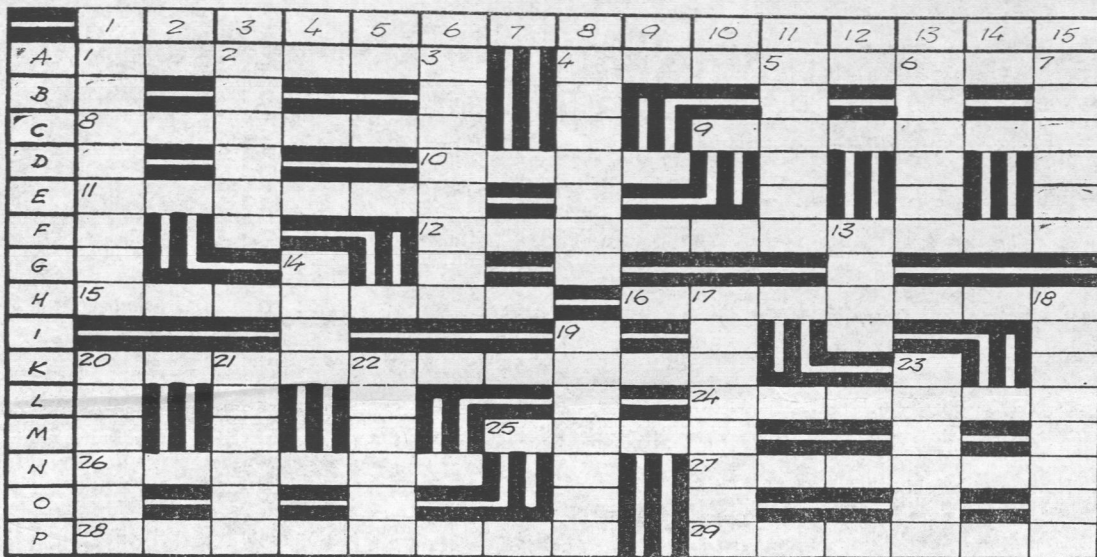
Najwyższy hotel świata otwarto niedawno w Tokio, liczy 47 pięter i 170 metrów wysokości. W 1057 pokojach hotelowych pomieścić można 2000 gości a w specjalnych apartamentach może odbywać się równocześnie dwadzieścia przyjęć lub konferencji dla 10 tysięcy uczestników.

Najmłodszą matką w Europie (1971 r.) została 12-letnia dziewczynka, która urodziła w Vammala (Finlandia) zdrowe dziecko, ojciec ma 17 lat.

Na konkursie wazaczy w Anglii tytuł mistrza i rekordzisty kraju uzyskał John Ray. Rozpiętość jego wazów wynosi 125 cm.



# Rozrywki umysłowe



## Krzyżówka z morałem

**POZIOMO:** 1) rodak, ziomek, 4) oddział piechoty lub grono przyjaciół, 8) dobytek, majątek, 9) gatunek bardzo dokuczliwego komara, rozsądny malarii, 10) polowanie, 11) okop obronny Ordoń, 12) sportowa walka na białą broń, 15) lada sklepowa, 16) filmowa znakomitość świecąca na ekranie, 20) polecenie, zarządzenie, 24) materiał stolarski, 25) doły po wybuchu bomb lotniczych, 26) biedak żyjący z jałmużny, 27) kwiat, 28) piaszczysta warstwa gruntu nasycona wodą, 29) dookoziemska droga statku kosmicznego.

**PIONOWO:** 1) sekwestrator, egzekutor, 2) dzierzawa, 3) utrata względów, niezyczliwość, 4) tak kraje, jak mu materii staje 5) kłamliwe pogłoski oczerniające kogoś, 6) słodki sok kwiatów, 7) stan majątkowy w bilansie, 13) odcinek

trasy wyścigu, 14) powolny krok koński, 17) kubetek, 18) oglądanie, stwierdzenie własnymi oczyma 19) szmata, 20) gruba tyczka, żerdź, 21) zasuwana kanału kominowego, 22) wyrobienie towarzyskie, polot, 23) szwelskie szpilki drewniane, sztyfty.

Tekst rozwiązania utworzą litery wypisane w następującej kolejności: A—6, A—3, A—4, B—11, B—13, A—11, C—12, F—7, D—9, C—1 F—6, K—4, B—1, K—3, D—7, P—12, C—3, C—10, E—15, D—15, M—7, C—6, K—8, H—13, E—2, F—1, B—6, A—15, G—4, C—14, I—4, K—6, M—15, E—1, L—3, K—7, P—1 P—3, M—8, M—9, N—12, E—6, K—1, M—3, K—9, N—2, N—15, K—15, P—4, K—10, I—15, P—6, P—5, N—1, D—9, K—13, O—15, M—1, P—2, P—7, K—5, H—9, L—15, I—8, P—13, H—3, L—14, N—11, L—5, P—10.

## Rozwiązanie krzyżówki z przysłowiem z nr 29

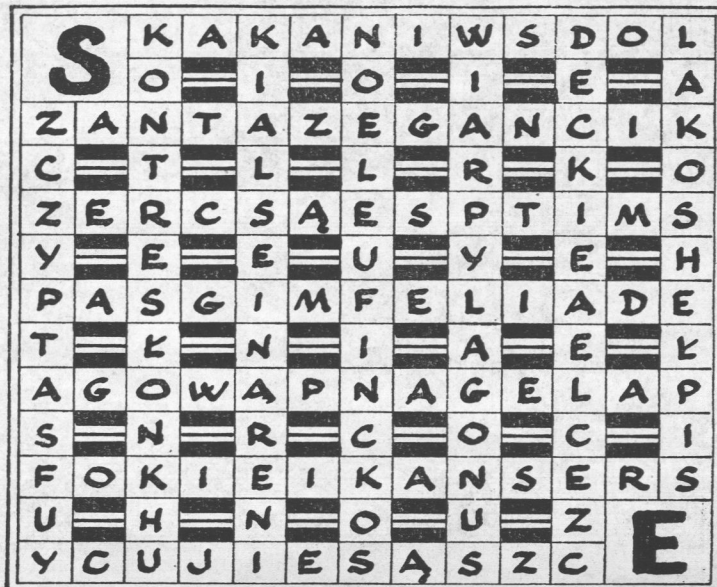
KUPIC NIE KUPIC, POTALGOWAC MOŻNA.

**POZIOMO:** 1) podstęp, 5) powieść, 8) zanik, 9) zapalnik, 11) stery, 12) biust, 13) podatek, 14) nalepka, 16) bakun, 18) kukia, 20) wiatrak, 22) konkret, 25) uczta, 26) afera, 27) balagan, 28) zyski, 29) czynele, 30) starość.

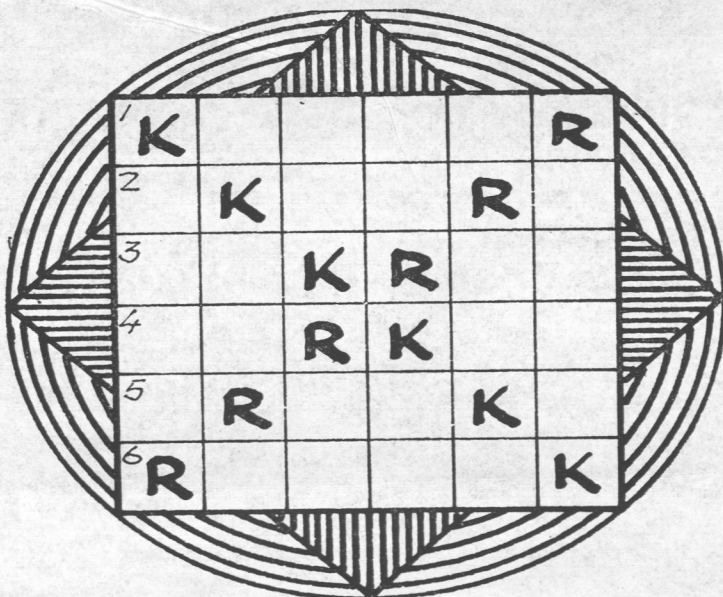
**PIONOWO:** 1) przybytek, 2) donżuan, 3) tekstylia, 4) poleć, 5) przyprawa, 6) wypad, 7) ćwiek, 10) latek, 15) powstanie, 16) burżuazja, 17) nienawiść, 19) kanał, 21) krzesło, 22) kibić, 23) regle, 24) Metys.

## LABIRYNT

Rozpoczynając od litery „S” w lewym górnym rogu rysunku i posuwając się białymi polami po liniach prostych (nie na ukos), należy dojść do litery „E” w prawym dolnym rogu w ten sposób, aby z liter napotkanych po drodze powstał tekst rozwiązania. Jak to zwykle w labiryntach — dróg jest wiele i łatwo zabiłdzić, ale w naszym labiryntowym zadaniu wybór właściwej drogi nie jest taki trudny jak by się na pierwszy rzut oka wydawało. Dla orientacji podajemy, że tekst rozwiązania liczy 50 liter. Życzymy przyjemnej zabawy. Warto się trochę potrudzić, bo rozwiązanie zawiera złotą myśl z mądrości Wschodu.



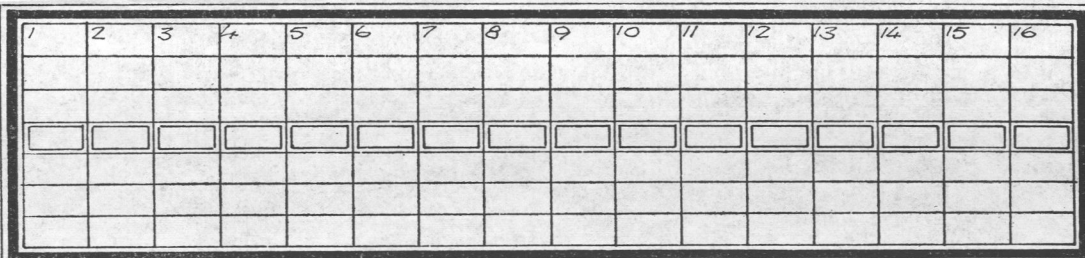
## DOPEŁNIANKA



Do wolnych kratek podanego rysunku prosimy wpisać poziomo brakujące litery w ten sposób, aby w rzędach poziomych powstało 6 wyrazów 6-literowych, których znaczenia zamieszczamy niżej.

**ZNACZENIE WYRAZÓW:** 1) biuro fabryki lub kancelaria kupca, 2) skąpiec, liczykrupa, kutwa, 3) wiraż, 4) hałas pracującego motoru, 5) sprzyjająca okazja, niespodziewana przyjemność, 6) roślina oleista o żółtych kwiatach.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu czterech tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają bezbłędne rozwiązania, rozlosujemy NAGRODY KSIĄŻKOWE.



## Logogryf z przysłowiem

Prosimy odgadnąć 16 wyrazów 7-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je pionowo do odpowiednich kratek rysunku, mając na uwadze, że początkowe litery wszystkich wyrazów są jednakowe. Litery, które się znajdują w polach o podwójnej ramce, czytane poziomo dadzą rozwiązanie.

win, 9) beniaminek, ulubieniec, 10) piosenka sezonu, szlagier, 11) obuwie sznurowane bez cholewek, 12) panika, 13) jest zajęta przy kołowrotku, 14) wyrób, wytwór pracy ludzkiej, 15) wielki las odwieczny, 16) codzienna modlitwa.

## B. DOWOJNA-BIENAIMÉ

**TEUMACZKA PRZYSIĘGŁA PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU**  
Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji  
23, quai de la Tournelle  
PARIS (5<sup>e</sup>)  
TELEFON ODEon 41-17  
METRO PONT-MARIE

## Wierny jak... kot

Państwo Arati, zamieszkał w Rzymie, miał w swojej letniej posiadłości odległej o 83 km od stolicy Włoch, małego kotka. Przywieziono go pewnego dnia do ich rzymskiego mieszkania, aby mogła pobawić się nim ich najmłodsza córeczka.

Po kilku dniach państwo Arati odwieźli kotka z powrotem. Po dwóch tygodniach kotka znaleziono na schodach prowadzących do ich rzymskiego mieszkania. Przebity 83 km drogi, której nie znał, bowiem w obie strony wieziony był samochodem.

**ZNACZENIE WYRAZÓW:** 1) podłoga ułożona z drewnianych klepek, 2) energiczny sprzeciw, 3) inaczej peonia, 4) prerie w Ameryce Południowej, 5) docinek, złośliwa aluzja, 6) uczony francuski, twórca szczepionki przeciw wściekliznie, 7) samolotka, potrzask, 8) magazyn

## Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE  
23, rue Talboub, Paris IX  
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51  
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chausteur, Lodellinsart  
Mme Ol. Kuc  
C.C.P. 66.69.45 Belgique

**Cena prenumeraty:**  
kwartalnie: 9 F. — 90 Fr. B  
półrocznie: 15 F. — 150 Fr. B  
rocznie: 25 F. — 250 Fr. B

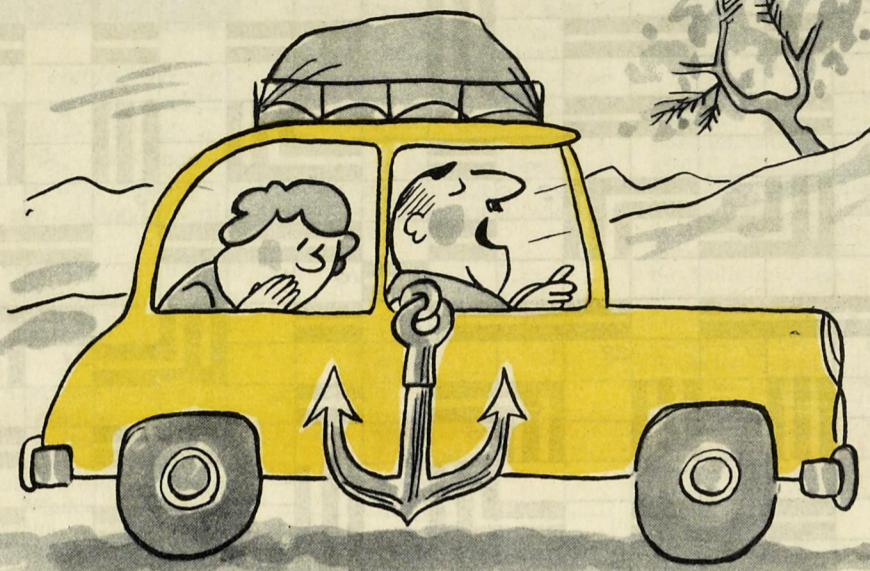
Président Directeur  
Général: Danuta  
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE  
Zakłady Graficzne „Tamka”.  
Zakł. nr 1, Varsovie, „Tamka 3”.  
magazyn

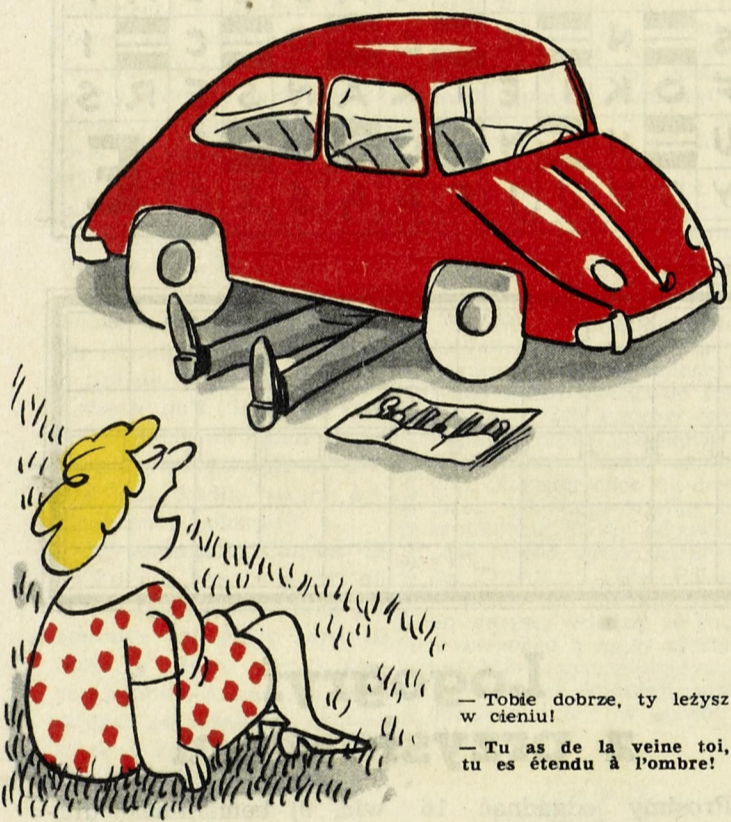
# Samochodem na wycieczkę!



— A teraz szczęśliwej drogi i niech Bóg ma pana w swojej opiece!...  
 — Et maintenant bonne route, que Dieu vous garde!



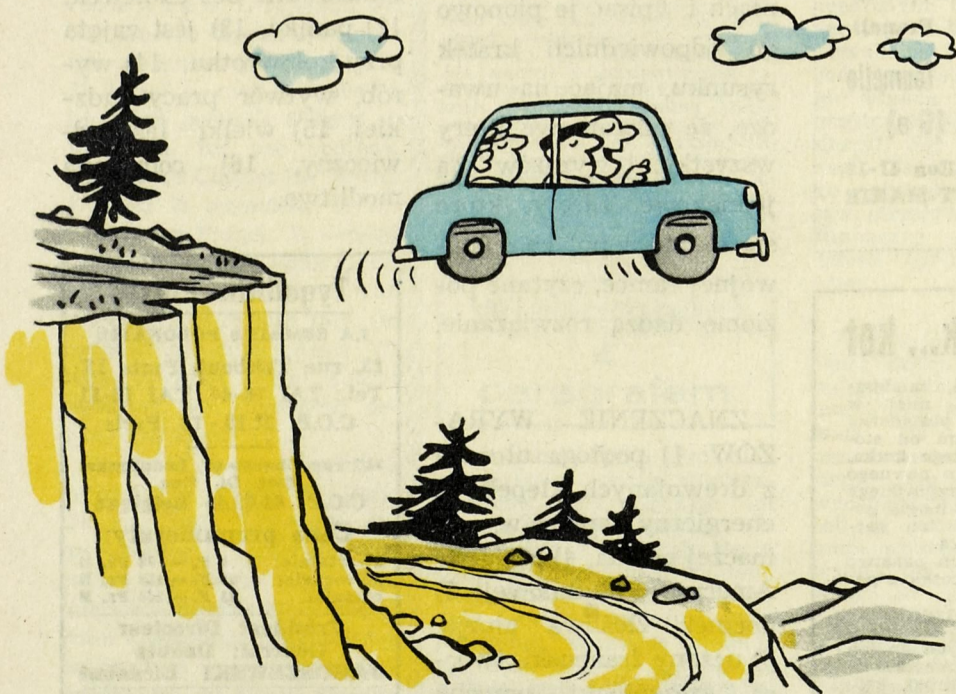
— Kupiłem to od jednego marynarza, bo hamulce są zepsute!  
 — Comme les freins sont cassés, un marin m'a vendu ça!



— Tobie dobrze, ty leżysz w cieniu!  
 — Tu as de la veine toi, tu es étendu à l'ombre!



— Nie ma to jak w niedzielę za miasto, na zielonej trawce!!  
 — Un coin d'herbe verte, rien ne vaut le dimanche loin de la ville!!



— Doskonałe resory! W ogóle nie czuje się drogi!  
 — Excellents ces ressorts, on ne sent absolument pas la route!



— Zabrakło nam benzyny na drogę powrotną!  
 — J'suis tombé en panne d'essence sur le chemin du retour!